

SPÓJNIK

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦

NAPISAŁA MARYA HR. TYSZKIEWICZÓWNA

WARSZAWA ♦♦ SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘ-
GARNI STEFANA DEMBEGO. ♦♦ MARSZAŁ-
KOWSKA 72 ♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦♦ 1902

SPÓJNIK.

Warszawa, Druk Piotra Laskauera i S-ki.

A 69627

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Октября 1901 года.



Л. К. 30

В 541/71/38



ROZDZIAŁ I.

Aczkolwiek zbliżał się już ku końcowi listopad, pierwszy raz dopiero, w dzień ów, puszysta warstwa śniegu pokryła dachy i ulice miasta. To też, jakby na komendę, przestały turkotać po wileńskim bruku wszystkie hałaśliwe dorożki, a ozwały się natomiast setki dzwoneczków od sanek, krzyżujących się w pędzie, lub goniących jedne za drugimi.

Ulicą Nadbrzeżną, od strony Zielonego mostu, ks. Wojciech wracał do swego skromnego mieszkania w murach byłego klasztoru Bernardynek, zwanego ogólnie, choć niezbyt właściwie »plebanią,« kościół bowiem św. Michała, którego ks. Wojciech był proboszczem, nie miał odrębnej parafii, gdyż znajdował się tuż obok kościoła pobernardyńskiego i św. Anny. W zastępstwie biskupa, którego Wilno naówczas nie miało, konsystorz ofiarowywał ks. Wojciechowi inne probostwa,

nawet przy Ostrej-Bramie, ale on się zawsze wymawiał od tych godności. Dawny klasztor, prócz kilku pokoi z oddzielnem wejściem, które zajmował, już obrócono na tanie mieszkania dla najbiedniejszych rodzin miasta. Dla tych to biedaków przeważnie odprawiał mszę co rano, ale, dzięki bliskości innych kościołów, niezbyt go krępowały duchowe potrzeby tych jego nielicznych owieczek. Działalność swą mógł rozszerzać na wszystkie dzielnice miasta. Dziś właśnie zastępował ks. Karaniewicza w celebrowaniu solennej mszy w kościele św. Mikołaja i po skończonem nabożeństwie, odwiedziwszy chorego na Łukiszkach, szedł do domu.

Gęsty szron pokrywał gałęzie młodych lip, wysadzanych wzdłuż lewego brzegu Wilii. Rzeka nie stanęła jeszcze dotąd, ale bystry jej prąd unosił już znaczną ilość kry. Na przeciwległym brzegu wrony nawoływały się głośnem krakaniem. Niektóre zanurzały się kilkakrotnie w wodzie i zdawały się rozkoszować tą lodowatą kąpielą. Inne pojedynczo, lub gromadami, spuszczały się na płynące bryły lodu i przechadzały się po nich swobodnie, na wzór flisaków, kierujących tratwami. Ksiądz Wojciech stanął i przyglądał się im chwilę z zajęciem.

Wtem z Zamkowej góry rozległ się huk armatni, zwiastujący południe, a jednocześnie z wież kościelnych uderzono w dzwony. Mocą nawyknięcia, wspólnego wszystkim Wilnianom, ksiądz Woj-

ciech sięgnął po zegarek dla przekonania się o jego akuratności i nagle przypomniał sobie, że na dwunastą zapowiedział był mu swe odwiedziny pan Wołyński na jakąś poufną rozmowę, o której treści nie miał najmniejszego wyobrażenia. Przyśpieszył więc kroku, a spostrzegłszy dzieci hr. Augusta Lidzkiego, używające przechadzki pod opieką bony, przeszedł na drugą stronę ulicy, udając, że ich nie widzi.

Witek, sześciolatek, i Gusia o rok młodsza, znali go dobrze i czyhali z upragnieniem na każdą sposobność spotkania »naszego księdza,« jak go nazywali, a gdy się ona zdarzała, zwykli zabiegać mu drogę i brać przemocą ze sobą, aby im opowiadał cudowne powiastki, które przejmowały ich podziwem. I teraz zoczyli go już o pół wiorsty i chcieli biedz ku niemu na wyścigi; niestety, surowy głos bony powstrzymał wnet te zapędy.

— Zobaczysz nas, czy nie zobaczysz, jak myślisz? — pytał Witek.

— Nie obaczy! — zdecydowała Gusia!

Posłusznie drepcząc obok dozorczyńni, dzieci wykreślały szyjki, śledząc za każdym ruchem oddalającej się sutanny. Witek nawet obrócił się cały i zaczął iść wstecz, nie bacząc na przechodniów. Gusia naturalnie uczyniła zaraz to samo, aż oboje, poślizgnąwszy się, upadli w miękki śnieg, śmiejąc się wesoło.

Tymczasem ks. Wojciech spiesząc dalej, skręcił na lewo ulicą Botaniczną. Tu natrafił na dok-

tora Okołowicza, wychodzącego ze swego mieszkania.

Był to człowiek w sile wieku, bez zarostu na twarzy, o rysach jakby wykutych z kamienia. Orli nos i trochę występujący podbródek dawały mu piętno niezłomnej energii, a ledwo dostrzegalne podniesienie górnej wargi — wyraz sceptyczny i nieco pogardliwy.

— Dobry dzień księdzu dobrodziejowi, przepraszam że zatrzymuję w pośpiechu, ale z Narwalem źle.

Ksiądz Wojciech stanął jak wryty.

— Gangrena się wywiązała. Lichy musiał być pierwszy opatrunek — ciągnął dalej doktor.

— Więc amputacja ręki konieczna?

— Zapóźno!

— To okropne!... cóż teraz pocznie biedna rodzina!

— Bogaccy powinni dopomóc; przecież pracował w ich browarze.

— Powinni — tak... ale czy zechcą? zresztą dopiero od kilku miesięcy był u nich na służbie.

— A chociażby; ale nie zatrzymuję dłużej, do miłego zobaczenia się.

Uklonił się i odszedł.

Ks. Wojciech podążył już dalej wolniejszym krokiem, rozmyślając nad losem zagrożonej sierocątwą rodziny.

Każde cierpienie, każdy ból ludzki, byle prawdziwy, przejmowały go głębokiem współczu-

ciem. Czy to rozgoryczenie troską o chleb powszedni w klasach ubogich, czy przeczulenie uczuć lub udręczenie rozdelikacyonnych nerwów w sferach wyższych — na wszystko był wyrozumiały, wszystkich ogarniał wielką serdeczną litością. Jednych nazywał: „moje małe dziatki“! drugich: „moje wielkie dzieci!“ Sam pochodził z rodziny zamożnej, powszechnie znanej i szanowanej. Na kapłana wyświęcił się dopiero po śmierci rodziców, gdy już był dojrzały wiekiem i umysłem. Funduszu oraz rodzinnej wsi Zapola zrzekł się na korzyść brata, Zdzisława Huzyny, który zobowiązał się wzamian wypłacać mu po trzy tysiące rubli rocznie. Z tych ledwie kilkaset wydawał na siebie. Pani inżynierowa Rymszycowa, jego siostra, zamieszkała w głębi Rosyi, rozporządzała zbyt małemi środkami, aby dać gruntowne wykształcenie swym dzieciom; a że jej syn, Stefan, okazywał niepospolite zdolności do rysunków, więc go ks. Wojciech posłał własnym kosztem do Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, a następnie do Paryża, gdzie młodzieniec dotąd przebywał. Reszta gotówki szła na biednych, mury zaś Święto-Michalskie były taką otchłanią ubóstwa, że dla nędzy po za nią nie wiele już zostało, a kieszeń ks. Wojciecha była wiecznie pustą. Rozważając tedy nad sposobami wspomżenia Narwałowej i jej czworga dzieci, ks. Wojciech znalazł się niebawem na schodach, wiodących do swego mieszkania.

Na głos dzwonka, stara Maryanna otworzyła

drzwi. Była dzisiaj, jak to sama określała, «bez humoru,» czyli w usposobieniu gderliwym. Stosunek jej do ks. Wojciecha grzeszył czasem zbytnią poufałością, ale, że mu była z duszy oddana i że go znała od kilku dziesiątków lat, będąc klucznicą w Zapolu, więc też wiele jej było przebaczone. Spełniała obowiązki kucharki, lokaja, praczki i szwajcara, ale w ostatnich czasach bardzo się posunęła, więc jej ks. Wojciech dał chłopca do pomocy.

— To desperacya z tym proboszczem—mruzczała teraz—jak nie dopilnować, to i zrobi głupstwo. Czy kto widział wychodzić w taki śnieg bez kaloszków, przeziębi się i dość!

Ksiądz Wojciech zawsze puszczał mimo uszu podobne utyskiwania.

— Nie przychodził tu nikt do mnie Maryanno?—zapytał, idąc do gabinetu.

— Jak nie miał nikt przyjść tak i nie przyszedł—ofuknęła starowina i odeszła do kuchni.

Mieszkanie ks. Wojciecha składało się z trzech pokoi, kuchni i stancyjki dla Maryanny. Obszerna sień była obrócona na poczekalnię dla różnych biedaków, cisnących się tam chętnie, gdyż, jeżeli nie zawsze wsparcie, to dobre słowo zachęty i pociechy otrzymywali stale. Maryanna, pomimo całej szorstkości w obejściu, miała serce z wosku. Kiedy ks. Wojciech czasem się opóźniał i czekanie zbyt się przedłużało, częstowała klientów swego pana gorącą herbatą i słuchała z zajęciem ich żałos-

nych opowieści, bo Maryanna przepadała za zwierzynami i ploteczkami różnego gatunku. Dostyc było powierzyć jej jaką tajemnicę, aby zaskarbić łaski na zawsze. Wielu wiedziało o tem i wyzyskiwało jej słabostkę.

Z poczekalni prowadziły drzwi do jadalni, a raczej gabinetu, gdzie ks. Wojciech najczęściej przebywał. Po środku stał duży okrągły stół, zarzucony książkami, których imponującą ilość przysyłali mu liczni znajomi — rozpacz Maryanny, zmuszonej porządkować to przed każdym nakryciem do obiadu. Nad stołem wisząca lampa; przy oknie biurko, kilka foteli i krzeseł, kredens, zegar kurantowy, pamiątka rodzinna, oraz oszklona szafa z ulubionemi dziełami ks. Wojciecha. Umeblowanie skromne, poważne i sympatyczne, harmonizujące z postacią samego księdza.

Obok gabinetu pokój bawialny, używany tylko w rzadkich uroczystościach, kiedy się dużo gości zbierało, najczęściej zamknięty, a zimową porą nawet nie ogrzewany.

Po odejściu Maryanny, ks. Wojciech pokryjomu zmienił obuwie, nie chcąc pokazać, że gderanie było po części zasłużone, poczem zamierzał pisać list do pani Bogackiej w sprawie Narwałowej, lecz w tejże chwili dał się słyszeć dzwonek, a wkrótce potem Maryanna oznajmiła:

— Pan adwokat Wołyński.

Starannie zamykając drzwi za sobą, wszedł starzec o długiej śnieżnej brodzie i przenikliwych,

choć łagodnych, oczach. Rówieśnik księdza Wojciecha, bo liczył lat pięćdziesiąt, wyglądał o wiele starzej. Praca, ciężkie koleje losu, wreszcie śmierć ubóstwianej żony czyniły go przedwczesnym starcem.

Po serdecznem przywitaniu, ks. Wojciech umieścił gościa w wygodnym fotelu, uczęstował cygarem i zasiadł naprzeciwko niego, oczekując z zajęciem rozwiązania zagadki. Wiedział bowiem, że ranne odwiedziny człowieka tak zapracowanego nie mogły mieć błażej przyczyny.

— Córki moje — zaczął p. Wołyński — doszły do wieku, w którym najbardziej potrzebne opieka i wpływ matki. Ojciec, chociażby najtroskliwszy, nie pojmie, nie dostrzeże nawet tego, co w ich młodych sercach i głowach niedoświadczonych kiełkuje.

— Zdaje mi się, że panu można tylko powinszować takich córek, jak pańskie — wtrącił ks. Wojciech.

— Wiem, wiem! Nie wyrządziły mi nigdy cienia przykrości, ale zastrasza mię moja odpowiedzialność, gdy idzie o postanowienie ich przyszłości.

— Na pańskie żądanie, panie Wołyński, zajmowałem się od dawna ich moralnym kierunkiem i jestem najmocniej przekonany, że potrafią rozumnie pokierować swym losem.

— Hanka — jeszcze takie dziecko — zaprote-
stował ojciec.

— Ha, trudno wymagać doświadczonego rozsądku od szesnastoletniej główki, ale materiału tam dużo.

— O jej przyszłości jeszcze nie myślę—ciągnął dalej p. Wołyński — Krystyna, najstarsza, ma też najbardziej wyrobiony charakter i pogląd na życie, ale Wanda, zajęta muzyką, malarstwem, literaturą, wszystkim co piękne, a tak oddalone od smutnej rzeczywistości może łatwo pozwolić wyobraźni wywieść się w pole. Zrobić pomyłkę nie trudno, ale gdy życie będzie złamanem, kto za to odpowie?

— Od ojca zależy usunąć z życia córki wszelką sposobność zrobienia złego wyboru — rzekł poważnie ks. Wojciech.

Na te słowa rozjaśniła się twarz p. Wołyńskiego.

— Cieszę się, żeś mię tak dobrze zrozumiał, księżę proboszczu — odezwał się radośnie — będę teraz mówił swobodniej, bez obawy, aby ojcowska troskliwość nie była wziętą za próżność. Usunąć wszelką sposobność zrobienia złego wyboru — powtórzył z naciskiem — o to właściwie mi chodzi. Nie chcę dopuścić do bliższej znajomości z moimi córkami człowieka, o którego zasadach i przeszłości nie byłbym wpierw korzystnie poinformowany.

Tu zatrzymał się i patrząc bystro w oczy księdza zapytał nagle.

— Czy pan Czesław Jarmunt zasługuje na takie zaufanie.

Na pytanie, o tak doniosłem znaczeniu, ksiądz Wojciech prosił o chwilę zastanowienia. Z ojcem Czesława siedział niegdyś na jednej szkolnej ławie, a jego samego znał od dzieciństwa. Przez ciąg najburzliwszych lat życia młodego człowieka stracił go z oczu. Lecz od pewnego czasu Czesław zmienił się do niepoznania: ustalił się, zaczął pracować szczerze i odtąd sam chętnie poszukiwał towarzystwa i rad dawnego przyjaciela ojca. Czy reforma ta była o tyle gruntowną, żeby dozwalała powierzyć mu los jednej z tak wyjątkowych dziewcząt, jakimi były córki pana Wołyńskiego — nad tem pogrążył się w zadumie ks. Wojciech.

Przez parę minut obaj milczeli. Wśród ciszy słyhać było miarowe tik-tak staroświeckiego zegara i kroki Maryanny w przyległym pokoju. P. Wołyński, odrzuciwszy głowę w tył, puszczał gęste kłęby dymu w powietrze.

— Człowiek, nawet świątobliwy, upaść może nisko, skoro nastanie godzina pokusy — zaczął wreszcie ks. Wojciech — tem trudniej na drodze obowiązku utrzymać się temu, kto przywykł rządzić się namiętnościami i fantazyą. Jeżeli jednak można zaufać trwałości jakiegokolwiek nawrócenia, to ja za Czesława zaręczam. Chociaż powtarzam raz jeszcze — dodał, nie dając panu Wołyńskiemu przyjść do słowa — przeszłość jego nie bez zarzutu. Głośnym był w swoim czasie jego stosunek z tak zwaną »piękną Julią.« Musiał pan sły-

szeć o tem, bo złośliwe języki długo się na tem ostrzyły.

Tu ks. Wojciech opowiedział panu Wołyńskiemu co mu było znanem z dawnych dziejów Czesława.

— Mniej zepsuty od wielu innych, wbrew ogólnemu zwyczajowi, paradował z tem, co jemu podobni usiłują pokryć tajemnicą. Przehulał niewielki fundusz, odziedziczony po rodzicach; zostało mu zaledwie kilka tysięcy, może nawet nie tyle. Ale przyszła chwila opamiętania. Z energią, podziwu godną, położył tamę rozhukanemu prądowi używania i skierował się ku szlachetnym celom. Dla zrehabilitowania się i zapewnienia sobie środków do życia objął skromną posiadłość w Banku Handlowym, a że ma umysł rzutki i wielkie zdolności rachunkowe, został wkrótce kasyerem. Wynagrodzenie wystarczyło by mu nawet teraz dla zapewnienia bytu rodzinie; z biegiem lat może zostać jednym z dyrektorów. Jeżeli więc wzajemna sympatya wywiązała się między nim a Wandą, to wedle zdania ks. Wojciecha, poważnych przeszkód być nie powinno.

— Do tego jeszcze daleko — rzekł, powstając i wyciągając dłoń do proboszcza pan Wołyński — może i nigdy nie dojdzie, ale dziękuję z całego serca za wyjaśnienie wątpliwości. Pan Czesław nie oświadczył swych zamiarów, Wanda nie analizuje jeszcze swych uczuć, tylko obawy ojca potrzebowały uspokojenia. Moje pożycie małżeń-

skie — mówił dalej, wychodząc już do sieni — było wyjątkowo szczęśliwe, więc nie dziw, że pragnąlbym podobne moim córkom zapewnić.

— Niechże Pan Bóg błogosławi — zakończył ksiądz Wojciech, zamykając drzwi za odchodzącym.





ROZDZIAŁ II.

Z powodu odwiedzin p. Wołyńskiego spóźnionym był tego dnia obiad; późno też zabrał się ksiądz Wojciech do brewiarza. Krótki dzień listopadowy zbliżał się wcześniej ku końcowi i zmrok zapadł tak nagle, że ksiądz był zmuszonym podejść do okna dla odczytania kilku słów officyum. Odłożywszy na bok książkę, patrzył na niknącą w cieniach nadchodzącej nocy ulubioną wieżyczkę świętej Anny, u której szczytu błyszczał jeszcze mosiężny krzyż— i na wysmukłą dzwonnice, pod którą znajduje się »Scala Sancta.« Dotąd dawnym obyczajem pobożni kolanami wstępują na święte stopnie w każdy piątek.

Patrzył na nie w tej chwili ks. Wojciech i zdawało mu się, że widzi niezliczone rzesze ludzkie, pnące się skwapliwie ku niedościgłym wyżynom— w pogoni za wciąż usuwającym się, zwodniczym magnesem, który się szczęściem zowie. I żał mu

się zrobiło tych zadyszanych i strudzonych tłumów; myślał, jakby skierować je raczej ku wieczystemu magnesowi miłości Bożej. Rozumiał, że być kapłanem, to znaczy być tą stałą wybraną w rękę Boga, przez którą prąd łaski ciągnie serca ku Niemu. Więc błagał z uniesieniem, aby go nigdy nie opuściło to poczucie swego posłannictwa, aby z jego winy prąd ów nie ustał ani na chwilę.

Z taką modlitwą na ustach rzucił się na ziemię i rozkrzyżował ramiona, jak gdyby chciał nimi objąć ziemię całą, zjednoczyć serca ludzkie w miłości nadprzyrodzonej i podnieść je ku Bogu; a dusza jego siłą wyobraźni uleciała do onej krainy nadziejskiej, gdzie będzie jeden tylko pasterz i jedna owczarnia.

* * *

Maryanna weszła do gabinetu, chcąc zapalić lampę, lecz, znalazłszy swego pana w zamodleniu, cofnęła się dyskretnie. Zbudzony z zachwyty powstał ks. Wojciech i przypomniał sobie obowiązek wstawienia się za Narwalową, więc odwołał Maryannę i zasiadł do napisania listu.

Przy tem zajęciu zastał go brat jego Zdzisław, przybywający z zamiarem zabrania go ze sobą na herbatkę do »Słonecznej.« Tak nazywał prześliczną wille, którą świeżo zbudował na Antokolu i powoli ją teraz wykańczał.

— Najchętniej — odpowiedział na zaproszenie ks. Wojciech — ale siadaj i zaczekaj chwilę, nim skończę pisanie. W ostatnim »Przeglądzie« ciekawy artykuł »O stosunku kapitału do pracy« — dodał, wskazując na zeszyt.

Dwaj bracia byli do siebie z powierzchowności podobni. Te same wydatne rysy, ten sam łagodny uśmiech, nadający urok całej twarzy, te same jasne oczy, pogodne u ks. Wojciecha, z wyrazem przygnębienia i rezygnacyi u jego brata. P. Zdzisław nosił długie i zawiesziste wąsy, młodszy od księdza o lat kilka, nie zaczynał jeszcze siwieć, ale był otyły i ciężki, co go najbardziej różniło od zawsze gotowego do ruchu i marszu proboszcza.

— Cóż słyhać u was? — odezwał się wreszcie ten ostatni, adresując spieszenie kopertę.

— Nic nowego pod słońcem! — westchnął pan Zdzisław.

— Dopóki im Pan Bóg dzieci nie ześle, nie będzie u nich szczęścia — mówił nawpół do siebie ks. Wojciech.

— W ciągu lat sześciu nie zesłał, to już nie wielka nadzieja — podchwycił p. Zdzisław. — Ale wiesz, Wojciechu — dodał, chcąc zmienić temat rozmowy — ja się na ogół wcale nie dobrze czuję, ale to wcale nie dobrze.

— Nowe, czy stare dolegliwości, co?

— Dobrze to żartować takiemu, kto zawsze zdrów.

Książd Wojciech znał od dawna skłonności brata do chorób imaginacyjnych, ale wiedział, że w takich razach lepiej jest okazać mu współczucie, nie rozdrażniać go niedowierzaniem, pytał tedy u kogo się leczy.

— A, mój drogi! czyż sądzisz, że ja tym esku-lapom wierzę? Wypróbowałem ich cały tuzin po kolei. Wystukiwali, wysłuchiwali, kiwali głowami i ostatecznie zdecydowali, że nerwy. Pal ich dyabli! Nerwy, czy nie nerwy — niechby przynajmniej ból odjęli.

— Dr. Okołowicz uchodzi za znakomitość co do chorób wewnętrznych. Może on ci co doradzi?

— A może... — zamyślił się p. Zdzisław. — Gotów jestem zawezwać go na konsultację; no, ale nie z przekonania, ot tak sobie, żeby mieć czyste sumienie, że się wszystko zrobiło co mogło, dla podtrzymania kruchego żywota. Skończyłeś list? to jedźmy.

— Zaraz, tylko zawołam Maryannę — odrzekł ks. Wojciech, a gdy ta nadeszła marudząc z kuchni dał jej list, mówiąc: — Niech Antek to zaraz zanie-sie do państwa Bogackich.

— A gdzie on tam zanie-sie, kiedy jego od rana nie było.

— Jakto nie było? — dla czego nie przyszedł do roboty?

— Albo ja wiem! Musi nie zechciało się paniczowi — odparła, ruszając ramionami.

-- Może zachorował?—trzeba będzie to jutro sprawdzić.

— Taka tam jego choroba — i machnęła ręką Maryanna.

— List wrzucę sam do skrzynki, przejeżdżając — kończył, nie bacząc na jej komentarze ksiądz. — A teraz sługa Pana Dobrodzieja — rzekł, zwracając się do p. Zdzisława i zeszli razem do sanek.

Gładką, utartą drogą rumaki biegły wyciągniętym kłusem; mijali latarnię za latarnią z odurzającą szybkością, a gwałtowność pędu uniemożliwiała rozmowę. Jechali więc w milczeniu, tylko od czasu do czasu odzywał się p. Zdzisław: »Tęgo idą; niczego sobie szkapki, co?« bo chciał wywołać pochwałę dla swych nowo-nabytych rysaków. Po kwadransie tej jazdy stanęli nagle: »Hej, brama!« krzyknął stangret. Zgrzytnęły żelazne podwoje konie ruszyły i, okrążając spory dziedziniec, stanęły, przed gankiem »Słonecznej.«

Obszerny, niezmiernie wysoki przedsiónek, do którego weszli, mógł się nadawać do świetnych przyjęć i hucznych zabaw, ale nie był wykończony, gdyż nic odpowiedniego nie znalazł dotąd p. Zdzisław na jego ozdobę.

W rogu paliła się jedna tylko lampa, której światło zaledwie wystarczało dla małej części tego ogromu. Było tu pusto, ponuro, zimno jakoś i przychodziło na myśl, że ludzie tu mieszkający powinni koniecznie zbierać gości, bawić się, ruszać się

i szaleć bez przerwy, żeby nie ogarnęła ich martwota grobowa.

— A wiesz Wojciechu — mówił p. Zdzisław, zdejmując futro—te ściany dłużej stać pustkami nie będą.

— Naprawdę?

— A tak; już Esterka dobija ze mną targu o dwa śliczne gobeliny. Arcydzieło powiadam ci! Tylko przed Augustem sza! — dodał, wprowadzając brata do saloniku żony.

Na widok szwagra, pani Irena, klasyczna piękność z rysów i postaci, w ciemnym aksamitnym stroju, wstała z kanapki i podeszła ku niemu z uprzejmym uśmiechem powitania.

— Jak się masz Wojciechu? nie godzi się tak długo o nas zapominać.

Ks. Wojciech tłumaczył się brakiem czasu, poczem usiedli we troje przy kominku.

Salonik pani Ireny w najczystszyim stylu Ludwika XVI nie pozostawiał nic do życzenia zarówno pod względem artystycznych dekoracyi, jak wygody i umiejętnego ustawienia kosztownych przedmiotów. Pan Zdzisław był mistrzem w tej sztuce. Nad zawieszeniem jednego portretu damy dworu Stanisława Augusta przemęczył się pół dnia. Raz wisiał on trochę za wysoko, co psuło rysunek sztukateryi, potem znów za nisko, przez co mniej okazałe wyglądał, aż w końcu natrafił na właściwy punkt i odtąd najsurowszy krytyk nie znajdzie mu nic do zarzucenia.

— Milszego i ładniejszego zakątka chyba niema na świecie — rzekł ks. Wojciech, rozglądając się z upodobaniem po pokoju.

— Pochwała z ust Wojciecha? a to ciekawe! — zawołał p. Zdzisław. — Sądziłem, że będziesz się zżywał na wszelkie zbytki.

— Nie, nie braciszku — zaśmiał się ks. Wojciech — nie myślałeś, że ja się na tem poznam.

— Hołdować pięknu zawsze można — wtrąciła z zalotnym uśmiezkiem pani Irena.

— Przyznać muszę — mówił dalej do brata ks. Wojciech — że możność zadosyć uczynienia poczuciu piękna jest jednym z wielkich przywilejów ludzi majątnych.

— Więc nie dziwisz się, że z niego korzystamy?

— Byle w miarę. Czego nie pojmuję tylko, to tych obszarów bez końca, przedsiionków, salonów, saloników wiecznie pustych, które chłodem przejmują codzienne życie.

— No, reprezentacya tego wymaga — tłumaczył się pan Zdzisław.

— Aa! Otóż i Augustowie! — zawołała radośnie pani Irena, spostrzegając wchodzących siostrę z mężem, a za niemi Zochnę, siostrę hr. Augusta i jej nierozdzielną towarzyszkę, Hankę Wołyńską.

Hr. August Lidzki, brunet, średniego wzrostu o śpiczastej bródce i krótko przystrzyżonych wło-

sach, witał się z p. Ireną i wyjaśniał przyczyny opóźnienia.

— Moja siostra oddawna pragnie pokazać Hance fonograf Zdzisława, więc wstąpiliśmy po nią.

— Ach, tak, Reniu!— zawołała Zochna, całując ją, — Hanka aż się pali do wszystkich nowych wynalazków! A u nas to przecież dopiero pierwszy okaz.

— Dobry wieczór ks. Wojciechowi!— mówiła tymczasem hr. Iza Augustowa, lekkim ruchem pochylając się ku ramieniu proboszcza.

— Dobry wieczór państwu! A jakże zdrowie hrabiny matki?

— Dziękujemy. Już wychodzi. W przyszły piątek u niej szycie.

— Czy znowu na gwiazdkę dla biednych?

— Tak, i księdza Dobrodzieja zaprasza z nowym spisem ubogich.

— Postaram się. A panienki czy będą? — spytał ks. Wojciech, zwracając się do Zochny i Hanki.

— Naturalnie — odpowiedziały jednogłośnie i rozpoczęły z nim pogawędkę.

Dwie prayjaciółki były do siebie podobne, jak dzień do nocy; może właśnie dla tego tak sympatyzowały ze sobą. Zochna osiemnastoletnia blondynka o przezroczywej cerze, zdradzającej skłonność do anemii, w żrenicach odzwierciadlała jasność błęki-

tu, Hanka o parę lat młodsza, istna kulka żywego srebra, pulchniutka, o długim czarnym warkoczem i dużych ciemnych oczach, błyszczących jak dwa rozżarzone węgielki; pełna zapału i niespodziewanych pomysłów. Obie przepadały za księdzem Wojciechem i miały do niego zaufanie bez granic.

— Śliczny masz dzisiaj żabocik — chwaliła pani Irena, posuwając się na sofce.

— Podoba Ci się? — odrzekła siostra, siadając przy niej.

— Pewnie od Jaroszyńskiego?

— Otóż nie! sama uszyłam z wyprawnej koronki.

— Jakież z ciebie skąpidełko!

— Mając tyle wydatków, trzeba czasem zaoszczędzić trochę.

Tymczasem hr. August rozpytywał pana Zdzisława, czy nie wynalazł jakich starożytności i otrzymał same wykrętne odpowiedzi.

— Nim podadzą herbatę, przynieś twój fonograf Zdzisławie — odezwała się po chwili pani Irena — chyba słyszałeś, jak cię o to proszono.

Zmieszany małżonek pospieszył do palisandrowej komódki, ozdobionej bronzami i wy dostał z niej ów pożądaný aparacik. Wszyscy się ugrupowali wokoło niego, a Hanka usłyszawszy pierwsze nuty piosnki z »Gasparona«: »Mąż panem domu...« wykrzyknęła: »Aj! co to jest! skąd ten głos pocho-

dzi?—i nie posiadała się z radości. Fonograf występował i wygrywał wciąż nowe kawałki ku jej największej ucieście, aż wreszcie prosiła pana Zdzisława o wytłomaczenie jej mechanizmu. On uczynił to w sposób o ile mógł najprzystępniejszy, ale białe cylindry o czułych błonkach, na których uwieczniają się dźwięki orkiestry i głosy ludzkie, nie mieściły się w jej głowie. Lubiła wszystko zbadać do głębi, więc gdy wniesiono srebrny kociołek i p. Irena zajęła się rozlewaniem herbaty, a Zochna podawała tartinki i ciastka, zamiast im dopomódz, siedziała na stronie milcząca i zafrasowana.

— Ks. Wojciech bez cukru pije.—To dla ciebie Auguście — mówiła gospodyni domu. — Opowiedzcie nam co o waszym »jour.«

— Jeszcze nikogo niema w Wilnie—zapewniła hr. Iza.

— Zjadą się dopiero na święta, a niektórzy dopiero na karnawał — potwierdził jej mąż.

— Czy nie odwiedził was p. Piotrowin Horakiewicz?—zapytał p. Zdzisław.

— Nie wiedziałem, że on już wrócił z Monte-Carlo.

— A wrócił. Spotkałem go na ulicy i nie chciałem oczom wierzyć.

— Pewno zgrał się i nie miał za co dłużej siedzieć.

Nagle Hanka krzyknęła ze swego kącika:

»Już wiem!« Wszyscy obrócili się wnet ku niej i żartobliwie rozpytywali, co ona wie.

— Już ja wiem, na co służy powietrze!

— Jakto, nie wiedziałaś tego dotąd?—drażnił ją ks. Wojciech.

— Że służy do oddychania?... wielkie rzeczy!— odcięła się Hanka.—Nie, ono ma jeszcze inny cel— dodała z przejęciem się.

— Pamiętajże odrazu patentować swój wynalazek!— wtrąciła Zochna.

— Jak będziecie mi tak dokuczać, to nic nie powiem.

— Hanko, no Haneczko, Hanusiu!—błagano chórem.

— Powietrze w ciągłym ruchu, wciąż się zmienia, nieprawda?—mówiła dalej.

— A zatem?

— I cóż stąd?

— To, że powietrze może być taką samą, tylko nieskończenie czulszą błonką, jak w fonografie, notującą wszystkie nasze myśli i słowa.

— Brawo Hanko! — a to concept »fin de siècle« — wołano.

— Przypuśćmy, że taka błonka powietrzna istnieje — rzekł uszczypliwie hr. August — to nawiąza się chyba tylko na języczek panny Hanki.

— Otóż nie, bo na księżyc! — odpaliła mu bez wahania, pąsowiejąc jak wiśnia.

— Dobrze! wyśmienicie! nie poddawaj się Hanko!—zachęcali wszyscy.

— Krąży księżyc naokoło ziemi — ciągnęła tedy dalej z udaniem namaszczeniem — a krążąc, nawija bez końca pasma powietrznych błon; ale w dzień sądu, w ów dzień, co to »płomienny w gniewie, puści świat cały w zarzewie,« gdy mój księżyc odśpiewa pańską piosenkę, panie hrabio — tu dygnęła przed hr. Augustem — to będzie ciekawe posłyszeć!

Głośne śmiechy i oklaski rozległy się wśród towarzystwa, nawet hr. August serdecznie im wtórował, uznając się za pobitego. Gawędzono jeszcze czas jakiś i omawiano nadzwyczajne wynalazki ubiegającego stulecia, ich doniosłości i korzyści. Pan Zdzisław dowodził, iż jakkolwiek interesuje się każdym postępem w dziedzinie nauk i cywilizacji, woli jednak czasy naszych pradziadów, bo koleje żelazne psują krajobrazy, druty elektryczne szpecą wygląd miasta, telefony nie mogą być zastosowane do żadnego stylu, a nadto wszystko razem rozstraja nerwy i strasznie szkodzi zdrowiu... na które to zarzuty wręcz odpowiadała mu p. Irena, iż »prawi niedorzeczności.« Ks. Wojciech spojrzął na zegarek, ce też dało hasło do ogólnego żegnania się.

Stały już u drzwi sanki dla odwiezienia go do plebanii. Księżyc świecił i widniutko było na dworze. W drodze, patrząc na srebrzystą tarczę na niebie, przypomniał sobie z uśmiechem, że to olbrzymi fonograf Hanki: »Dowcipnie się Augustowi odcięła! Zuch dziewczeczka,« mówił do

siebie. »Byleby rozbijała wyobraźnią potrafił
kto pokierować, a będzie z niej skarb nieocenio-
ny — ale czy się taki znajdzie? czy się znajdzie
wśród naszej młodzieży?...« I już do końca drogi
myślał tylko o przyszłości tej przemiłej Hanki!





ROZDZIAŁ III.

Gwałtowne szorowanie podłogi i przesuwanie mebli w przyległym pokoju zbudziło księdza Wojciecha nazajutrz rano. Pewny, iż przespał swą zwykłą godzinę, wstał i począł ubierać się śpiesznie. Ale na dworze świtało zaledwie i zegarek wskazywał dopiero siódmą.

»Aha!« pomyślał sobie »pan Antoni chce wynagrodzić wczorajszą nieobecność.« Jakoż wychodząc do kościoła, zastał chłopca w sieni, z miną skruszoną i nieco zmieszaną.

— Gdzie waszeć włóczyłeś się wczoraj? — zagadnął ostro.

— Ja nie włóczył się, ja... ja...

— No więc cóż robiłeś?

Schyliwszy się pokornie do ręki księdza, Antek wybąkał:

— Mama spadła ze stołka — bo to tak było, ja powiem prawdę. Mama chciała dostać butelkę,

co ona na szafie stała, proszę księdza proboszcza. Tymczasem i spadła i nogę złamała.

— Może tylko zwichnęła? — uspakajał ksiądz Wojciech ze współczuciem. — A czy wzywaliście doktora?

— Nie.

— To szkoda! wracajże chłopcze do matki, możesz jej być pomocnym.

Studzińscy, rodzice Antka, należeli do klasy rzemieślniczej. Matka poczciwa kobieta, ale ojciec pijak bez czci i wiary. Ksiądz Wojciech próbował go poprawić i w tym celu niegdyś odwiedzał, Antka zaś wziął na służbę dla usunięcia z pod wpływu ojcowskiego. Ale pewnego razu słowa prawdy wypowiedziane Studzińskiemu wywołały tak obelżywą odpowiedź, że odtąd nigdy już ksiądz Wojciech nie przestąpił ich progu. Dowiedziawszy się teraz z ust Antka o smutnym wypadku z jego matką, był mocno zakłopotany, jakby jej przyjść z pomocą. Maryanna już się krzątała w kuchni, więc zaszedł do niej.

— Słuchać, co on gada! — zawołała, zrozumiawszy, o co rzecz idzie — ale, kiedy taka wola proboszcza, to pójdę wywiedzieć się.

— Idź Maryanno i zanieś jej trochę rosółu. Weź też ze sobą pieniądze, bo mogą być potrzebne na doktora i lekarstwo.

Po tem zleceniu pośpieszył ksiądz Wojciech na mszę.

Kościół świętego Michała, jako była własność ubogich zakonnic nader skromny, choć mурowany, zewnątrz miał wygląd prawie wiejskiego kościołka. Wewnątrz główną ozdobę, po prawej stronie wielkiego ołtarza, stanowił, zasługujący na uwagę pod względem sztuki, marmurowy grób pobożnego fundatora, księcia Lwa Sapiehy i jego dwóch żon, Firleyówny i Radziwiłłówny, z pięknym napisem:

»Krótko żył, bo i nieprzyjaciele po nim płakali.«

W ołtarzu zaś, po lewej stronie, kościół posiadał cenną po tymże fundatorze pamiątkę, obraz przez niego ofiarowany Matki Boskiej z Dzieciątkiem, złocistą blachą pokryty, cudami słynący, i szczególnie ukochany przez lud miejski, który też tu ubogie swe vota składał. Wszakże do skarbonki, zawieszanej u drzwi, z napisem »na kościół« zbyt mało ofiar wpadało i dla tego odnowienie świątyni, ku żalowi proboszcza, do skutku przyjść nie mogło.

Mszę św. odprawił jak zwykle ks. Wojciech w obecności kilkudziesięciu biedaków, rozpoczynających pobożnie dzień pracy i znoju. Wrócił do domu na śniadanie, poczem niezwłocznie wybrał się odwiedzić rodzinę Narwała, zaniepokojony groźnym wyrokiem dr. Okołowicza.

Narwałowie mieszkali w pobliżu dawnego klasztoru OO. Misyonarzy, na stromej wyniosłości, u której stóp bystro płynęła Wilejka. Można było

skrócić o połowę tę odległość, idąc wąską ścieżką, wiodącą przez górę wzdłuż Zarzeckiego zakładu ogrodniczego, ale chłopcy okoliczni tak ją wygładzili, zjeżdżając po niej saneczkami, że w ciągu zimy dostęp dla pieszych był tam niemożliwy. Z tej racji musiał ks. Wojciech dołożyć fatygi i przejść wzdłuż całej ulicy Sierockiej, która tak, jak wszystkie główne arterye ruchu wileńskiego, ciągnęła się niepomierne, zaginając się to w prawo, to w lewo, a zachowując pomimo to tę samą nazwę.

Dzień był jasny i mroźny, jeden z całego szeregu dni słonecznych, które wreszcie nastąpiły po słońcu i wichrach zeszłego miesiąca. Ks. Wojciech cieszył się z pogody, bo nieraz odczuwał wpływ jej, przygnębiający lub ożywczy, ale teraz przede wszystkim myślał o mikrobach zaraźliwych, które mróz wytepi, i uwolni od nich ubóstwo wileńskie.

Doszedłszy do znajomej furtki, na której był napis: »Dom Lejby Zuckermana,« otworzył ją i znalazł się w podwórku, przez które dwie obok siebie położone deski, niby chodnik, prowadziły do stojącego w głębi budynku. Był to stary dwupiętrowy dom, podparty z jednej strony bierwionami dla podtrzymania walącej się ściany. Gęste dziury w dachu i powybijane szyby na piętrze świadczyły, że górne mieszkania stoją pustkami; na dole zato było bardzo ludno. W niektórych oknach zawieszono kolorowe łąchmanki, niby zasłony; winnych do-

niczki wystawione z mirtem i geranium kazały się domyślać, że tam mieszka jakaś »delikatniejsza osoba,« albo może nawet »sama chazajka.« Właściciel zdzierał z lokatorów ile się dało, ale reparaacyi nie przedsiębrał, bo z wiosną owa rudera miała być zniesioną, a na jej miejsce postawiona »fein kamienica,« na którą już teraz zwożono kamienie i cegły.

Ks. Wojciech obszedł dom wokoło i stanął po drugiej stronie u wnijscia do suterren. Kilka prostopadłych schodków, za nimi ciemny kurytaryk, z którego numerowane drzwiczki prowadziły do oddzielnych mieszkań. Jedne z nich otworzyły się niebawem i ks. Wojciech przywitał wysoką, okutaną w chustę kobietę słowami:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków -- odpowiedziała wzruszonym głosem — proszę ojca do chaty. Tędy, kiedy łaska.

Usłyszawszy wewnątrz głośne rozmowy, wstrzymał ją na chwilkę ks. Wojciech:

— Powiedźcie mi naprzód, co z waszym mężem?

— Nie masz go więcej na świecie.

— Jaktol już umarł? — zawołał ks. Wojciech w osłupieniu.

— Tej nocy — odrzekła i gęste łzy spłynęły po jej twarzy.

— Panie świeć nad jego duszą! Moja ty biedna, biedna kobieto! — mówił ksiądz, ze współczuciem, kładąc rękę na jej ramieniu.

W tej chwili wybiegła z izby czteroletnia dziewczynka jasnowłosa i otaczając rączkami kolana matki, ukryła twarzyczkę w fałdach jej sukni, a ksiądz Wojciech, nie bacząc na nią, pocieszał wdowę słowami, które mu szczerą litość na usta kładła.

Przez otwarte drzwi widać było teraz wnętrze izby, oświetlonej z góry małym, zadymionem okienkiem. Największą tu rolę grał piec z blachą, na której codziennie trzy rodziny strawę gotowały, słusznie też najwięcej miejsca zajmował w mieszkaniu. Stał z fajką w ustach przed nim zgrzybiały starzec, grzejąc swe skostniałe palce. Na jednym z łóżek gromada dzieci spożywała łąpczywie kartofle ze słoniną, której zapach mieszał się z wonią parzącej się w drewnianym kubie bielizny. Dwie kobiety zajęte były praniem, trzecia wyczesywaniem głowy córeczki. Przy ścianie blade dzieciaki, chłopczyk i dziewczynka, przyglądali się zazdrośnie obiadowi szczęśliwych towarzyszy.

— Pan Bóg was nie opuści — mówił ksiądz Wojciech — ufajcie w Jego opatrzność. On krzyże zsyła, ale zarazem siłę daje do ich niesienia.

Tymczasem zgłodniała dziewczynka zdobyła się na odwagę i sięgnęła do miski po kartofel; dostała za to drewnianą łyżką po paluszkach i rozbe-

czała się w niebogłoty. Inne dzieci zawtórowały krzykiem, przyczem powstał rejwach nie do opisanania, wśród którego rozlegało się łajanie starszych. Narwalowa pobiegła na ratunek swojego dziecka, a za nią wkroczył poważnie ksiądz Wojciech.

Na jego widok uciszyło się w izbie, zmieszane kobiety pochwyciły mniejsze dzieci na ręce i usunęły mu z drogi stołki i porozrzucane na ziemi graty. Teraz dopiero spostrzegł ks. Wojciech za piecem, na drewnianem łożu rozciągnięte zwłoki Narwala.

U nóg jego kilkomiesięczne dziecko leżało uśpione. Twarz zmarłego była jakby z wosku ulana, a głęboki spokój, malujący się na niej zdawał się wyrażać, jak niezmiernie szczęśliwe są te oczy, że się już nigdy nie otworzą, ku widzeniu otaczającej nędzy; uszy, że nie usłyszą już wrzasku i kłótni dokoła; usta, że nie będą już w tem podziemiu wciągały zepsutego powietrza.

Ks. Wojciech pomodlił się nad nieboszczykiem, poczem półgłosem zapytał Narwalowej czy przygotowała trumnę.

— Na trumnę złożyli się sąsiedzi i ja samowar zastawiłam, ale z pogrzebem to nie wiem jak będzie.

— Nie frasujcie się o to, jutro odprowadzę zwłoki na mogiłę i nabożeństwo żałobne sam odprowadzę.

— Niech Mateńka Boska wynagrodził —

dziękowała kobieta, odprowadzając księdza do drzwi.

Wydstawszy się na świeże powietrze, ksiądz Wojciech odetchnął głęboko i z rozkoszą powiódł wzrokiem po szerokim świecie. Bo też dziwnie pięknym był ten świat i to właśnie w tem miejscu, o parę stóp nad przybytkiem najczarniejszej nędzy. Tuż głęboki parów krzewami zarosły i niewidzialna, lecz szumiąca w dole, Wilejka; po za nią hen daleko, aż ku Kalwaryi, szeroka dolina Wilii, otoczona wzgórzami. Góry Bekieszowa i Trzykrzyska zasnieżone lśniły się w oddali, a na »Zamkowej« ruiny staroświeckiej baszty, opromienione słońcem odbijały się czerwono na błękitnie nieba. Między górami gród Gedymina: śniegiem pokryte domy i ulice, gdzieniegdzie z kominów białym słupem unoszący się dym i mrowisko ludzkie, ruszające się w różne strony, jak ziarnka maku, rozsiane na białym obrusie.

Wesoło, jasno, pogodnie! Nawet wróble na dachach świergotały radośnie.

»Liszki mają jamy, a ptacy niebiescy gniazda, lecz syn człowieczy nie ma gdzie skłonić głowy« westchnął ks. Wojciech i skierował swe kroki ku domowi.

Na rogu ulicy Wielkiej spotkał się niespodziewanie z panną Krystyną Wołyńską. W barankowym futerku i czapeczce, z mufką w ręku szła prędkim krokiem, różowa od chłodu i ruchu. Z pod woalki wyglądały inteligentne oczy,

nadające dużo wyrazu skądinąd dość pospolitej twarzy.

— A pani skąd tak pospiesznie wraca?

— Z lekcyi, księżę proboszczu — odpowiedziała dumnie — wykładam język francuski córkom pani Katapowej, które pragną nabrać w nim większej biegłości.

— Któż to są te panie? — zapytał ks. Wojciech zdziwiony.

— To córki komendanta pułku, w którym służy p. Witold Bogacki, i zdaje mi się — dodała z figlarnym uśmiechem — że p. Witold jest też na dnie tego raptownego entuzjazmu do francuszczyzny.

— Nie wiedziałem, że pp. Bogaccy znajomi pani.

— Tylko młodzi ludzie. Poznaliśmy ich w zeszłym roku podczas karnawału. Właśnie od p. Jerzego słyszałam o powodzeniach jego brata w towarzystwie rosyjskiem.

— Dawno to pani rozpoczęła pedagogiczną karyerę? — rozpytywał ks. Wojciech.

— O nie! to dopiero początki. Tak jest miło choć trochę zapracować dla drugich, skoro samej na niczem nie zbywa.

— Czołem, czołem, przed takimi zasadami! — rzekł ks. Wojciech, uchylając kapelusza. — Do widzenia u hrabiny na szyciu, wszak prawda?

— Z pewnością — odpowiedziała panna Wołyńska, oddalając się.

Ksiądz Wojciech wrócił do domu zmęczony i przygnębiony. Rozpaczliwe położenie Narwałowej wciąż mu stało przed oczyma. To też zapomniał o sprawie Antkowej, aż dopóki Maryanna nie przyniosła mu rachunków kuchennych i nie zażądała dziesięciu kopiejek na klej stolarski dla naprawienia nogi Studzińskiej. Ksiądz się oburzył na takie żarty, ale Maryanna wnet mu wytłomaczyła, że matka Antka, spadając, złamała tylko nogę od stołka. Przywołany chłopiec zaczął dowodzić, iż prawdę mówił, tylko, że go ksiądz proboszcz nie rozumiał. Nie pomogły jednak wykręty, i ksiądz Wojciech zdecydował, że, jeżeli Antek dba o swą służbę u niego, to nie wolno mu odtąd będzie powracać na nocleg do rodziców, ale będzie sypiał w kuchni i wychodził na miasto tylko za pozwoleniem.

Na tem też stanęło.

Po obiedzie ks. Wojciech zapalił cygaro, co mu się zdarzało tylko wtedy, gdy się czuł bardzo rozstrojonym. Usiadł na starym fotelu przed biurkiem i myślał — wreszcie przymknął oczy i zdawało mu się jakoby widział na jawie olbrzymie, rozciągające się aż po za widnokrąg złociste łąny dojrzałe do żniwa. Tyle do zrobienia! Garstka robotników pracuje, ale tak ich mało, że przy największych wysiłkach setnej części nie zbiorą, a przytem tak nieudolnie idzie praca! Wtem przeciała wiatr od Wschodu do Zachodu i rozkołysał żółte kłosa, które mu zawtórowały szumem. Prze-

leciał wiatr przez pole, jak gwałtowne, a bezsilne pragnienie, coby jednym zamachem cały obszar zgarnęło, a przelotem ani jednego ździebełka zżąć nie zdolne.

Tymczasem słońce się zniża i noc powoli zapada...





ROZDZIAŁ IV.

Następnego dnia, po pogrzebie Narwala, udał się ksiądz Wojciech do pani Bogackiej w nadziei otrzymania od niej obietnicy wzięcia pod opiekę osieroconej rodziny.

Bogaccy zajmowali na Wielkiej Ś-to Jerskiej jedno z najwykwintniejszych mieszkań Wilna. Browar założony przed kilku laty, coraz większe dawał zyski, a w miarę tego i właściciel browaru rósł w znaczenie i ambycję. Ksiądz Wojciech znał go osobiście, ale tym razem wolał udać się do jego żony, licząc na czulsze serce kobiece.

Otrzymawszy u wejścia odpowiedź, że pani »prosi«, przeszedł za poprzedzającym go lokajem w liberyi przez kilka kosztownie umeblowanych komnat.

W pompejańskim saloniku, wśród mnóstwa gracików, porozrzucanych na stoliczkach, komódkach i etażerkach oczekiwała go pani Bogacka,

kobieta okazałej tuszy i nieco wymuszona, lat czterdziestu z »górami«, czyli w wieku, który najdyplomatyczniej daje się określić »wiekiem dojrzałym.« Zanim ksiądz Wojciech zdołał wymówić pierwsze słowa powitania, już cały potok przesadzonych grzeczności z ust jej się wylewał:

— Jakaż to wielka łaska, jaki zaszczyt rzadki, że oglądamy księdza proboszcza w naszym domu. Prawda, nie wszystkim дано obcować ze świętymi...

— Ależ szanowna pani!...

— Wiemy, wiemy — ciągnęła, siadając na fotelu naprzeciw księdza — pokora ewangeliczna nie pozwala się przyznawać, ale to przecie »vox populi«.

— Przepraszam panią, ale chciałem...

— Takie poświęcenie, takie zaparcie się siebie! to przecie wzbudza uwielbienie i zaufanie bezgraniczne we wszystkich sferach!

— Otóż, licząc trochę na zaufanie łaskawej pani — udało się przerwać księdzu Wojciechowi — przyszedłem po odpowiedź w sprawie...

— Któżby mógł się oprzeć żądaniom takiego kapłana! Od niego przyjmuje się nawet bolesny wyrzut o zaniedbywaniu najprostszych obowiązków względem podwładnych.

— Wybacz pani, jeżeli się w liście źle wyraziłem — tłumaczył się ksiądz Wojciech — ale miałem na myśli tylko prośbę nie wyrzuty.

— A więc tak! — zawołała uradowana pani Bogacka. — Więc ksiądz proboszcz sam przyznaje, że nie mamy obowiązku żadnego wspierania całej rodziny dla tego, że ojciec pracował tam kiedyś u nas przez kilka miesięcy. Ale wspaniałość myślności względem maluczkich, litość dla ubogich, to prawa Chrystusowe, od tego nie wymawiam się nigdy.

To mówiąc, powstała i pełnym godności wolnym krokiem zmierzała do biureczka.

Ksiądz Wojciech zacisnął zęby i milczał.

Tymczasem z przyległego pokoju weszli dwaj młodzi ludzie, głośno rozmawiając. Obaj blondyni, wysokiego wzrostu. Młodszy o śpiczasto zakręconych wąsikach i śniadej cerze miał na sobie płaszcz oficerski i przerzucone przez ramię łyżwy; starszy w ubraniu cywilnem, mniej barczysty, nie tak rezolutny, ale z wyrazem dobrodusznym i pełnym otwartości.

— Czemu nie idziesz na ślizgawkę Jerzy? — mówił porucznik.

— Dla mnie to jeszcze zawcześnie, pójdę o trzeciej.

— Aha! Rozumiem. Nie opóźniaj się tylko, bo gotów jestem wyręczyć cię przy pannie, po bratersku.

Tu, spostrzegłszy księdza Wojciecha, obaj stanęli. Wojskowy uklonił mu się zdaleka i wyslizgnął się prędko. Pan Jerzy zaś zbliżył się i rzekł uprzejmie.

— Dzień dobry księdzu proboszczowi — sły-
szałem o krytycznem położeniu protegowanej przez
księdza dobrodzieja rodziny.

— Właśnie dla niej składam moją skromną
ofiaraę — ozwała się p. Bogacka, kładąc różową
dziesięciorublówkę przed księdzem.

— Bóg zapłać — podziękował bez entuzyaz-
mu ksiądz Wojciech. — Ale niech mi wolno bę-
dzie wyrazić zdanie, że ludziom, nie mogącym za-
pracować na chleb powszedni mniej zależy na jed-
norazowym, chociażby większym datku, niż na
zapewnieniu jakiejś stałej pomocy i opieki na przy-
szłość.

— Wszystko dla księdza dobrodzieja gotowa
jestem zrobić, wszystko — odpowiedziała pani do-
mu, tylko, broń Boże, żadnego zobowiązania nie po-
dejmuję się. W tych dniach jeszcze mąż mój mię
ostrzegał: »Leońciu, dawaj, ile ci tylko serce każe,
ale pamiętaj z zasady nie krępować się żadnemi
obietnicami, żadnej odpowiedzialności nie brać na
siebie, bo to później same pretensye: a to nie za-
płaciłaś w porę, a to za mało, a to nie wystarcza.
Przykrości co niemiara!...«

— Jeżeli takie niezłomne są zapatrywania
szanownej pani, nie będę nalegał dłużej — odparł
ksiądz Wojciech i począł żegnać się z gospodynią
trochę prędko i nerwowo.

Jerzy towarzyszył mu przy wyjściu.

W bilardowej sali zatrzymał księdza na chwi-

łę i kładąc mu nieśmiało dwie złote monety do ręki, rzekł zmieszany:

— Proszę przyjąć to dla wdowy i wierzyć, że serdecznie współczuję tym biedakom.

Ksiądz Wojciech wziął ofiarę z podzięką i rozjaśnił czoło, ale wnet je zmarszczył ponownie, skoro Jerzy z coraz większym zakłopotaniem dodał:

— Tylko o jedno proszę — niech to między nami zostanie.

— Jakto między nami? Przecież to ma być dla Narwałowej — zawołał ksiądz Wojciech, udając, że nie rozumie.

— Oczywiście — ale, że tak powiem, lewica nie powinna przecie wiedzieć...

— Co daje prawica — dokończył z żywością ks. Wojciech. — Ej, wierzaj mi młodzieńcze, gdyby lewica prowadziła ściślej rachunki prawicy, stokroć lepiej byłoby na świecie. A gdybyśmy wzięli pod kredkę, co wydajemy na siebie, a co dla drugich, tobyśmy się z tem ukrywali nie przez pokorę, ale — ze wstydu!

Rzadko zdarzało się księdzu Wojciechowi unieść się w ten sposób, więc wyszedł od Bogackich nie kontent z drugich, ale nie mniej i z siebie. »Święty, święty ze mnie człowiek, nie ma co mówić!« --myślał» — a na zakończenie wylazły pazury, oj wylazły.«

»Ale czyż nie miałem nieco racji?» uspra-

wiedliwiał się sam przed sobą, żał mu było bowiem rzetelnej intencji Jerzego. »Jak oni Ewangelię na swój sposób tłumaczą, to osobliwość! Gdyby święty Piotr zechciał z nieba zstąpić i wysłuchać ich katechizmu, toby dopiero był zdziwiony!«

»Syn milionera — mówił dalej do siebie, idąc przez plac katedralny—ofiarowuje kilkanaście rubli biednej wdowie i sierotom, a że widocznie rzadko mu się to zdarza, prosi o tajemnicę, jak gdyby czegoś heroicznego dokazał. Czy mało takich na świecie i to wśród najlepszych! Zdobędą się kiedy na jałmużnę, to wnet szukają powetowania w słodkim poczuciu swej »wspaniałomyślności,« jak to pani Bogacka nazwała, i nie chcą zrozumieć, że spełniają tylko prosty obowiązek. O zaślepiency...« — zawołał już prawie głośno.

— Komuż to tak ksiądz proboszcz pragnie oczy otworzyć? — odezwał się tuż za nim wesół głos męski w odpowiedzi na ten wykrzyknik.

— Tobie—im, wam, całemu towarzystwu!— odrzekł ksiądz Wojciech, obracając się z uśmiechem ku pytającemu.

Był nim Czesław Jarmunt, człowiek jeszcze młody, w sile wieku, ale na którym znać było, że nadużywał młodości i że mu się ona przedwcześnie wymykała. Nosił binokle i wysoki cylinder, co dodawało powagi jego rozjaśnionej wrodzoną wesołością twarzy.

— I owszem, niech się stanie światło w oczach moich — odrzekł żartobliwie p. Czesław i towarzyszył księdzu ku plebanii.

— Jesteście wszyscy do siebie podobni — mówił już teraz głośno ksiądz Wojciech, rozwijając wątek swych myśli -- ukrywacie samolubstwo pod płaszczykiem skromności i niweczycie przez to potęgę opinii publicznej. Formułka: »mam swoich biednych« najczęściej tylko skąpstwo maskuje i każdemu jest znana. Aby ją uczynić nieszkodliwą, vox populi powinienby mieć prawo żądać wyjaśnienia: jacy to są ci biedni? i co się dla nich właściwie robi?

— Nie ulega wątpliwości — potwierdził pan Jarmunt, że opinia ludzka wielką gra rolę w świecie i że powstrzymuje się od niektórych czynów jedynie dla tego, że je świat uznaje za niehonorowe.

— A zatem — ciągnął dalej ksiądz Wojciech -- niechby tylko świat zechciał zaliczyć pomiędzy prawidła honoru obowiązek, aby każdy dopomagał potrzebującym wedle swej możliwości, toby się ta możliwość dziwnie elastycznie rozciągnęła i wielu czyniłoby hojne jałmużny byle nie uchybić temu swemu nietykalnemu honorowi.

— Niestety, świat buduje tylko takie prawidła, które są jemu samemu korzystne, a troska o proletaryat w ten zakres nie wchodzi — zauważył pan Jarmunt.

— Ale wejść musi — z przekonaniem mówił ksiądz Wojciech — bo jeśli świat się nie opamięta i dobrowolnie nie wróci do pierwiastkowego przykazania: »Miłuj bliźniego, jako siebie samego,« to w końcu ów zapomniany bliźni dojdzie do świadomości swej krzywdy, a wówczas, daj Boże, aby i on w zapamiętywaniu nie zapomniał o prawie miłości braterskiej w teorii często mu wykładanej, a w praktyce bardzo rzadko okazywanej.

— Czy jednak sądzi ksiądz proboszcz, że taki przymus, wywarty na naszą szczodrośliwość przez publiczną opinię, nie ograniczyłby działania miłosierdzia iście chrześcijańskiego, które się nie rzuca w oczy i jest zasługą? — zagadnął pan Czesław.

— Nie, podniósłby je tylko do wyższego poziomu. Dając otwarcie z tego, czego mamy nadmiar, zachowałibyśmy dla oczu Boga prawdziwe poświęcenie się i zaparcie się siebie, to jest, dawanie drugiemu czegoś z ujęciem sobie samym.

Wpadłszy na ulubiony temat reform chrześcijańsko - socjalnych, ksiądz Wojciech zapalał się coraz bardziej i przechodząc z jednego wniosku na drugi, wyłuszczał swoje teorie bez końca.

Pan Jarmunt słuchał z wielką uwagą, ale dał się wreszcie opanować problematom całkiem

kosobistym, tóre go w tej chwili goręcej obchodzily.

— ... Dzisiaj zaś do czego doszliśmy? — mówił ksiądz dalej. — Posiadając miliony, rozdajemy grosze i wyobrażamy sobie, że niebo przez to zdobywamy.

— Ma się rozumieć... — odezwał się pan Jarmunt z roztargnieniem.

— Co?! — zawołał ksiądz, uszom swym nie wierząc.

— To jest — chciałem powiedzieć — wyjął Czesław złapany — że się zupełnie zgadzam ze zdaniem księdza proboszcza.

Ksiądz Wojciech roześmiał się serdecznie.

— Obecny, ale nie przytomny — rzekł, patrząc mu w oczy. — Oj, panie Czesławie! za karę musisz mi wyznać, nad jakim przedmiotem myśli twe krążyły.

— Nad zaklętem kołem, które się dla mnie za miesiąc ma otworzyć — odpowiedział.

— Doprawdy? a cóż potem będzie?

— Żebym ja wiedział:

»Ma być tak,
Ma być nie,
Ma być tak,
Jak ona chce.«

Zanucił.

— Domyślałem się — rzekł ksiądz Wojciech — i życzę pomyślnej odpowiedzi. Może zaj-

dziesz do mnie — zapraszał, gdy stanęli przed plebanią.

— Nie mogę. Już czas wracać do banku. Dziękuję! — odpowiedział i odszedł w zamyśleniu.





ROZDZIAŁ V.

Książdz Wojciech, słowny w obietnicach, wybrał się w następny piątek do starej hrabiny Lidzkiej, matki Augusta i Zochny. Dom, którego parter zajmowała hrabina, od dawien dawna należał do rodziny Lidzkich i przez kilka pokoleń przechodził z ojca na syna. Obecny właściciel, hr. August, mieszkał z rodziną na piętrze, gdzie się znajdowały obszerne salony i gdzie kilka razy do roku podejmowano towarzystwo wileńskie na wszelkich balach i rautach. Bezpośrednie sąsiedztwo z matką ułatwiało codzienne widywanie się, i wspólne pożycie trwało dalej pomimo osobnej gospodarki, prowadzonej od czasu ożenienia się hrabiego Augusta.

Hrabina, którą tym tytułem odróżniano wyłączenie od jej synowej hrabiny Augustowej, przeżyła już przeszło pół wieku, ale na swoje lata posiadała niepospolicie silne zdrowie i wielką wy-

trwałość fizyczną. Postarzały ją tylko białe jak śnieg włosy, któremi się jednak chlubiła, mawiając, że »to szron, przypominający o zbliżającej się porze odlotu ku słonecznej krainie.« Co rano, nie bacząc na pogodę, szła na nabożeństwo do kaplicy świętego Kazimierza. W ciągu dnia zajmowała się kilku dziełami dobroczynnemi, które sama stworzyła; wreszcie ostatnia udawała się na spoczynek, poświęcając wieczory na czytanie najnowszych książek i dzienników, z obawy, jak się wyrażała: »aby umysł jej, przestając śledzić za postępem wiedzy i wypadków politycznych, nie zbutwiał i nie stał się podobnym do przeszłorocznego kalendarza, który nikogo już nie obchodzi.« Z księdzem Wojciechem łączyły ją dawne przyjazne stosunki, wzmocnione jeszcze przez związek Ireny, siostry hrabiny Augustowej, ze Zdzisławem, bratem księdza.

Gdy się na umówioną godzinę stawił ksiądz Wojciech u hrabiny, zastał u niej tylko swoją bratową. Reszta towarzystwa miała się zejść niebawem, jak mówiły te panie. Opóźniono się zapewne na ślizgawce, gdzie hrabia August i Zochna spotykali się zwykle z Wołyńskiem.

Tymczasem podano herbatę. Po środku salonu stał przygotowany duży stół z przyborami do szycia i ze stosem już skrojonych dzieciennych ubranek z różnokolorowych barchanów. Na bocznych stolikach dla osłodzenia pracy ustawiono łąkocie, przeważnie domowej roboty ze Snopówki, ordy-

nacyi hr. Lidzkich — kompoty, orzechy, cukrzane owoce i tym podobne przysmaki.

Pani Irena, nie tracąc czasu, wzięła się do igły. Ksiądz Wojciech i hrabina sprawdzali spisy ubogich, których miano obdarzyć na święta.

— Mam nadzieję, że rodzina mego Józika nie będzie pokrzywdzona — odezwała się po chwili pani Irena.

— Pamiętamy o niej — odpowiedział ksiądz Wojciech — ale czy jesteś zadowolona z chłopca?

— Chętny i sprytny z natury, więc się na niego uskarżać nie mogę, ale nie łatwo wytresować takiego dzikusa.

— Na lokaja jeszcze za młody — zauważyła hrabina.

— Z tej racyi powierza mu się tylko grubszą robotę przy pokojach i używa na posyłki. To lubi i zawsze zręcznie i prędzej wywiązuje się od innych.

— Nic dziwnego. Mając ojca dorożkarza nie potrzebuje butów zdzierać — wytłomaczył ksiądz Wojciech.

— Zdzisław ma wielką słabość do niego, utrzymuje, że nikt mu tak dogodzić nie umie w przykładaniu kompresów i nacieraniu, jak ten malec.

Na wzmiankę o zdrowiu brata, ksiądz Wojciech rozpytywał się, czy nie było pogorszenia i czy wzywano doktora Okołowicza.

— A jakże! — odpowiedziała pani Irena, z ironią w głosie — choroba Zdzisława przecie nieuleczalna! Ale doktor Okołowicz bardzo inteligentny, wdzięczną ci jestem za rekomendację. Zrozumiał odrazu z kim ma do czynienia, przedsięwziął natychmiast kurację, która ma na celu przyniesienie rzeczywistej ulgi nie Zdzisławowi, ale jego otoczeniu. Każdy zresztą przyznać musi, że na poźycie z nim w takich warunkach, trzeba mieć powołanie siostry miłosierdzia.

— »Mens sana in corpore sano« — odrzekł ksiądz Wojciech, nie mogąc ukryć żalu do bratowej — ale niekiedy bywa odwrotnie: kiedy dusza cierpi, wydaje jej się nieuniknionem, żeby i ciało było z nią w harmonii.

Tymczasem z przedpokoju dochodziły wesole głosy i śmiechy. Otworzyły się drzwi i wpadły do salonu cztery panienki: świeże, hoże, rozbawione i przesiąknięte mroźnem powietrzem. Tylko Zochna była bledszą, niż zwykle i zsiniały jej trochę usta od zimna.

— Odmroziłam sobie nogę, jak tatkę kocham! — wołała Hanka, puszczając się mazurkowym krokiem przez całą długość pokoju.

— Ogrzejcie się herbatą — namawiała hrabina.

Panienki ochoczo zabrały się do gorącego napoju, a także w mgnieniu oka zrobiły spustoszenie w kloszach i kompotyerkach, gwarząc przytem żywo i opowiadając wrażenia ze ślizgawki.

— Orkiestra wojskowa idealnie dziś grała! — zachwycała się Wanda, podobna do swej starszej siostry, tylko o rysach bardzo kształtnych i oczach zamglonych, co nadawało im wyraz jakiś daleki i zadumany.

— Wańdzia bez muzyki żyć nie może — rzekła pani Irena.

— Właściwie koncerty, to jedyna artystyczna rozrywka w Wilnie.

— Bywają koncerty prawdziwie piękne — potwierdziła Wanda. — W zeszłym tygodniu sły-
szaliśmy Wierzbilowicza i byliśmy pod urokiem jego gry.

— Nawet ja waryowałam za nim! — wykrzyknęła Hanka — nie pojmuję, jak można wydobywać takie anielskie tony, jeżdżąc poprostu końskim ogonem po baranich wnętrzościach!

— Hanko! co ty wygadujesz! — zaprotestowała Krystyna.

— No, proszę, a czemu innem w gruncie rzeczy są struny i smyczek?

— Do roboty, do roboty panienki! — nagliła hrabina.

Usiadły wszystkie wokoło stołu i przez chwilę zapanowała cisza, przerywana tylko niekiedy takimi uwagami, jak: »ten rękaw wydaje mi się za długi.« — »Gdzież się zapodziała szpulka czarnych nici?« — »Proszę o nożyczki.«

Hrabina nie opuszczając miejsca na kanapce obok księdza Wojciecha, sięgnęła po włóczkową

robotę, którą zawsze miała pod ręką, i mówiła z nim o planach na przyszłość, o drzewku, jakie Augustowie chcą dla swych dzieci urządzić i o wychowaniu wnuków, będącem dla niej źródłem ciągłej obawy, nie miała bowiem zbyt wielkiego zaufania do pedagogii młodego małżeństwa.

Nieobecność hrabiny Augustowej nie zwróciła dotąd niczyjej uwagi, ponieważ jej częste opóźnianie się było rzeczą ogólnie znaną. Przyszła teraz, jak zwykle, ostatnia i tłumaczyła się przed teściową po dawnemu brakiem czasu i kłopotami domowymi. Przyniosła ze sobą atlasową kapotkę dziecinną, którą zamierzała garnirować koronką.

— To coś ładnego — rzekła, przypatrując się hrabina — ale chyba nie dla naszych biednych?

— O nie! To dla Gusi — odpowiedziała synowa — w tutejszych sklepach nic gustownego znaleźć nie można, więc sama naśladowuję paryskie wzory, a że zaoszczędzam przez to więcej niżbym zapracowała, szyjąc barchanki, więc proszę o zwolnienie mię od tej pracy. Natomiast zaoszczędzony grosz złożę tym samym biednym w ofierze.

— Co prawda, na jałmużnę zaoszczędzać nie potrzebujesz, byleś dać chciała, ale dziś już późno, więc ci wspaniałomyślnie przebaczymy!

Gdy hrabina Augustowa przyłączyła się do młodego grona, jej teściowa zwróciła się do księdza Wojciecha:

— Młodzi nie rozumieją — że jakoś więcej znaczy od ilości i że pracując własnoręcznie dla

ubogich zbliżamy się do nich i dajemy im część naszego serca, wówczas kiedy moneta, choćby złota, jest zawsze zimna i martwa.

Tymczasem Zochna rozpytywała towarzyszkę szyjące, jakie stroje obmyśliły sobie na bal kostiumowy, który brat jej zamierza dać w karnawale. Wanda marzyła o ubiorze greckim, z lirą w ręku, dla uosobienia Euterpy. Krystyna wahała się między słonecznikiem, a strojem góralki.

— Masz tobie! Złamałam igłę! — zawołała Hanka.

— Szkoda, że Hanka jeszcze nie bywa, świetna byłaby z niej cyganka, wróżka — powiedziała pani Irena.

— Ja i bez tego potrafię wam różności wywróżyć — odrzekła Hanka, rzucając na swe siostry znaczące spojrzenia.

Ochoczo szła robota przy wesołej gawędce, aż zaczęło się ściemniać i trzeba było zaprzestać.

— O mało nie czekałam na ciebie, Zdzisławie! — rzekła pani Irena do męża, który wchodził w tej chwili z hrabią Augustem. Obaj byli w świetnych humorach i jęli wnet ze śmiechem opowiadać o wybornem zajściu wczorajszem w klubie.

— Witold Bogacki zasiadł do pikiety z Piotrowinem Horkiewiczem — mówił pan Zdzisław — i tak mu szła karta, jak nigdy. Czternaście od asów, kwinty majorowe i rubikony jedne po dru-

gich następowały. Piotrowin bladł i czerwienił się po kolei ze złości.

— Bo trzeba wiedzieć, że ma siebie za najlepszego gracza w całym Wilnie! — wtrącił hrabia August.

— A że tu chodziło nie o błachą sumkę — ciągnął dalej pan Zdzisław — bo grali po pół rubla punkt, więc cały czas zapijał szampana dla dodania sobie animuszu.

Przebrała się jednak miarka, kiedy przeciwnik policzył dziewięćdziesiąt, kapotę otwartą i sto za dogranę. To nieuczciwa gra! To szulerstwo! wykrzyknął Horkiewicz. A Witold mu na to ze spokojem, ale tak donośnie, że na całej sali słychać było:

»Piotr - o - winie wstań! i ruszaj precz! Zerwał się Piotrowin i chciał go grzmotnąć, Bogacki nie dał się naturalnie, wpierw zdążył uchwycić go za kołnierz i dzięki atletycznym muskułom wyrzucił za drzwi bez najmniejszej trudności.«

— Brawo! — zawołała Hanka — to mi się podoba!

— A co? czy nie mówiłam, że masz słabość do epoletów!

— Zochno! będziesz cicho?

I rzuciła się Hanka na Zochnę, by jej usta zamknąć, lecz ona się jej wymknęła i rozpoczęły gonitwę po pokoju, popychając stolki i taburety.

— Dzieci! dzieci! daremnie nawoływała hrabina.

Nagle Zochna stanęła i oburącz uchwyciła się stołu, aby nie upaść. Zbladła, jak chusta i z wielkim wysiłkiem wciągała powietrze w płuca, a serce biło tak gwałtownie, że otaczający słyszeli wyraźnie każde uderzenie.

Powstał popłoch. Hanka pobiegła po szklanekę wody; hrabia August chciał iść po doktora, ale Zochna wstrzymała go skinieniem ręki.

— Zaraz — to przejdzie — już mi lepiej — udało jej się nareszcie wymówić i usiadła na fotelu, który jej p. Zdzisław przybliżył.

— Moje ty biedactwo! — mówiła, podtrzymując głowę córki hrabina — taki gwałtowny ruch nie dla ciebie; zaczniemy nową dozę żelaza.

— Zanemią niema żartów! — dodał ksiądz Wojciech mocno zaniepokojony.

Zochna powoli wróciła do siebie, ale że bicie serca nie ustawało jeszcze, radzono jej odpocząć. Reszta towarzystwa poczęła się rozchodzić.

Żegnając się z hrabią Augustem, ksiądz Wojciech zapytał go, czy nie myśli o jakiejś poważnej kuracyi dla Zochny.

— W styczniu jedziemy na Riwierę i zabierzemy ją ze sobą, dzieci zostawimy pod opieką babki. Zmiana klimatu powinna dobrze podziałać.

— Daj Boże — rzekł ksiądz Wojciech — ale niepokój w nim pozostał.

Tego samego dnia jeszcze, pomimo spóźnionej nieco godziny, ksiądz Wojciech zaszedł odwiedzić księdza Karaniewicza, proboszcza od świętego Mikołaja, którego zastępował w zeszłym tygodniu, z powodu, iż zaniemógł był na ostrą influencję.

Znalazł kolegę już wracającego do zdrowia i zżymającego się na nakaz lekarski nie opuszczania pokoju przez czas niejakiś. Był przy nim gość drugi, ksiądz Jaunis, wikary kościoła świętej Anny, z którym ksiądz Wojciech żył w blizkiem sąsiedztwie, a którego niezmiernie cenił. Obaj ci duchowni należeli do młodszej generacyi, ale przedstawiali typy bardzo różne. Ksiądz Jaunis, żmudzian czystej krwi, o niskiem lecz wypukłym czole i wklęsłych oczach, patrzących badawczo, posiadał naturalny rozsądek i dużo wykształcenia naukowego, skończył bowiem seminaryum z odznaczeniem; pozostała mu jednak pewna trudność w wysławianiu się po polsku i mówiąc przeciągał zwykle, kładąc nacisk na ostatniej zgłosce. Abnegacyę posuwał prawie do przesady. Ksiądz Karaniewicz zaś pochodził z Suwałk, stąd, choć także litwin, miał raczej cechę koroniarską. Znać na nim było staranniejsze domowe wychowanie i ogładę; dbały o swą powierzchowność i dobre maniery, pewny siebie i zlekka zarozumiały, łączył w sobie iście żmudzki upór z odcieniem przebiegłości.

— W porę przychodzisz, Ojczel — rzekł po przywitaniu księdza Wojciecha — rozstrzygniesz spór między nami: ksiądz Jaunis utrzymuje, że to grzech przyjmować wynagrodzenie za msze, pogrzeby i śluby!

— Bój się Boga brateńku, ja tego nie mówiłem.

— Ale na to samo wychodzi, bo czyż można zawsze sprawdzić, kto tam z parafian ma na to środki, a u kogo ich brak?

— Tak powiedźżeż — od czegoż jesteśmy wikaryuszami i proboszczami, jeżeli nie mamy znać swoich parafian?

— Mnie się zdaje, że ksiądz Jaunis ma rację — zadecydował ksiądz Wojciech — z wyjątkiem wszakże co do mszy. Modlitwa ubogiego sama przez się skuteczniejsza i miłsza Panu Bogu od każdej innej, dla tego temuż ubogiemu wystarcza suma co niedzielę, za wszystkich parafian bezpłatnie odprawiana. Im zaś kto bogatszy, tem więcej zwykle potrzebuje, żeby się za nim wstawiono przed Bogiem — słusznie więc, aby się za to odwdzięczył jaką małą ofiarą.

— Tembardziej, że my z tych ofiar żyć musimy — dorzucił ksiądz Karaniewicz — bo nie mówiąc już o żadnych zbytkach, pensya, którą pobieramy nie może wystarczyć na przyzwoite utrzymanie.

— Pod tym względem, jak pod wielu innymi — mówił ksiądz Wojciech — warunki zawodu

kapłana i lekarza się zbliżają. Sumienie pozwala przyjąć więcej od majątnego, ażeby mózdz za to bezinteresownie służyć biednemu.

— Racya, Ojczulku, racya — odrzekł ksiądz Jaunis — ale ja tylko powiadam, że dwom panom służyć, ni siak ni tak nie kwadruje. A, że kto z kim przestaje, takim się staje, dla tego woli już poświęcać się biednym i być do nich podobnym.

Na to ksiądz Wojciech rad ze sposobności, zaczął z zapalem tłumaczyć, jak to kapłan winien być spójnikiem między klasami i stanami, gotowym na usługi każdego, kto się o nie upomni, wszystkim dla wszystkich, bo wszystkim jednakowo usługi jego są niezbędne. Ale ksiądz Jaunis wciąż utrzymywał, że upośledzeni i pozbawieni dóbr świata więcej potrzebują pociech religijnych od tych, którym na niczem nie zbywa, a którzy zwracają się do religii tylko pod koniec życia i chronią się pod jej płaszczyk przed dniem sądu, gdy idzie o zabezpieczenie sobie na wszelki wypadek przyszłości.

— Nie wszyscy tacy, Dobrodzieju, nie wszyscy — oburzył się ksiądz Wojciech — a jeżeli tak mówisz, to dla tego, że ich nie znasz. Są bogaci, którzy się zasklepiają w swym egoizmie, jak żółw w skorupie; ale są też i biedni tacy, których zazdrość, jak robak toczy, a wśród tych i tamtych zarówno można znaleźć prawdziwą i wysoką cno-

tę. Ubodzy cierpią więcej fizycznie, ale nie mają pojęcia o męczarniach intelektualnych, na które bogaci, o wyższem umysłowem rozwinięciu, lekarstwa znaleźć nie mogą.

Ksiądz Wojciech tak brał do serca tę kwestyę, że mu przy tej rozmowie, aż wypieki na twarz się wybiły i oczy gorączkowo błyszczały.

— Niechaj i tak będzie — to i cóż? — odrzekł z flegmą wikary. — Jeżeli bogaty wie, że dla niego niema lekarstwa, to i do nikogo pretensyi mieć nie może, chyba do Pana Boga. Co inszego, gdyby wiedział, że jest bliźiuteńko taki lekarz, co posiada środek niechybny na wszystkie jego cierpienia najdotkliwsze i gdyby udzielenie takiego środka prawie nic tego lekarza nie kosztowało, a on odpowiadał wręcz: nie dam i kwita! Toby było ze wszystkim co inszego.

Księdzu Wojciechowi naraz przyszedł projekt do głowy:

— Księżę wikary — rzekł z żywością, ze swego punktu widzenia może masz racyę, ale mówisz stronnie, bo nie żyłeś wśród nich. Trzeba, żebyś ich poznał i dał się poznać, a znikną wszystkie uprzedzenia. Jest to twoim obowiązkiem — dodał przekonywająco, biorąc go za rękaw — i dla tego nie odejdę stąd, aż nie wymogę na tobie obietnicy bywania ze mną u kilku rodzin, których bliższą znajomością wiem, że będziesz zbudowany.

— Żartujesz sobie z niego proboszczu! — zawołał ksiądz Karaniewicz.

— Daj pokój ojczulku! To nie po mojej części. Zresztą nie pierwsza to byłaby dla mnie experyencya tego rodzaju. Byłem kiedyś - to, jeszcze na wsi, proszony na imieniny do bardzo znamienitej familii. Przed obiadem podali zwyczajnie zakąski. Do mnie nikt nie mówi, tak i ja do nikogo, ale obserwuję, co to z tego będzie. Aż tu sam pan zbliżył się po kolei do każdego jegomości i wskazał mu jedną jejmościnę, a sama pani cości długo naradzała się z córką i jej dawniejszą guwernantką. Potem wszyscy ruszyli parami. Nakoniec przyszła ku mnie guwernantka i poszliśmy razem do stołu. Bardzo rozumna osoba, przyjemnie było porozmawiać. Tylko, że po drugiej stronie stołu zasiadła panna domu i wciąż mleła językiem i chichotała ze swoim kawalerem. A niechby tam sobie i mleła, bo i cóż mnie do tego? Ale ona raz wraz obróci się do mnie z pytaniami: Czy ksiądz woli groszek, czy szparagi?— to znów: Czy ksiądz lubi sałatę? Za trzecim razem daję słowo, nie wytrzymałem! »Lubię, lubię, powiadam, wszystkie jarzynki, oprócz główek kapuścianych!

Ksiądz Wojciech i ksiądz Karaniewicz roześmieli się serdecznie.

— Nie, nie, to się więcej nie powtórzy — zaręczał ksiądz Wojciech, zabierając się do odejścia — i ja od swego nie odstąpię. W tych

dniach zajdę po ciebie, księżu wikary, i zabiorę gwałtem.

— Daruj Ojczulku! W tym tygodniu nie sposób.

— Zgoda i na to! Ale przed świętami to już koniecznie.





ROZDZIAŁ VI.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Co rano ksiądz Wojciech odprawiał roraty, spowiadał, nawiedzał chorych i tak był zajęty obowiązkami kapłańskimi, że pomimo woli musiał nieco zaniedbać stosunki rodzinne i towarzyskie. O Zochnie wiedział, że powróciła do normalnego zdrowia; słyszał także o pojedynku Witolda z Horkiewiczem, który się zakończył lekką raną tego ostatniego i kilkodniowym aresztem obu przeciwników, ale oprócz chwilowego spotkania się na ulicy ze znajomymi nikogo w tym czasie nie widywał i nigdzie nie bywał.

Pewnego razu, gdy jak zwykle powracał do domu w porze obiadowej, usłyszał aż na schodach podniesiony głos Maryanny:

— A ty co za przybłęda z pod ciemnej gwiazdy! — wołała — widziałeś jaka fanaberya! przez paradne drzwi zachciało mu się tu włazić... a do

tego milczy jak jakie drewno. Toć obraza Boska mieć język, a nie umieć nim obracać.

Ksiądz Wojciech pospieszył na górę i przez otwarte drzwi od sieni dostrzegł Maryannę wywijającą groźnie rękami. Oparty o ścianę, z czapką w rękę, stał człowiek o chorobliwej cerze i zapadłych policzkach. Wyblakły i połatany surdut wisiał na nim, nie przylegając do wyschłego ciała, a podsiniałe oczy trzymał wlepione nieruchomie w jeden punkt i zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć dokoła.

Na niespodziane zjawienie się swego pana, Maryanna się stropiła; pod nagannem jego spojrzeniem spuściła oczy i wnet zajęła się troskliwie proboszczowskim płaszczem, wycierając na nim jakieś niewidzialne plamki.

— Gość w dom, Bóg w dom — rzekł ksiądz Wojciech do przybysza. — Mów, czego chcesz bracie?

W odpowiedzi, przez zaciśnięte zęby nieznanego, wyrwało się jedno słowo: »Jeść!«, ale drgała w niem taka rozpacзлиwa szczerłość i prawda, że księdza Wojciecha dreszcz przeniknął.

— Maryanno! dziś trzeba nakryć na dwie osoby — rozkazał, wprowadzając nieznanego do swego gabinetu.

Maryanna aż usta otworzyła ze zdziwienia, a gdy się jej zdało, że usłyszeć jej już nie mogą: »Fiksacya!« mruknęła kiwając głową i poszła przygotować obiad.

Ksiądz Wojciech posadził gościa na swoim fotelu, przyniósł mu kieliszek wina i obchodził się z nim jak z dobrym znajomym, nie wypytyując o nic i czekając, aż mu się dobrowolnie zwierzy. W oczach obcego łzy stanęły; wyraz zaciętości znikł z jego twarzy i po chwili głosem wzruszonym dziękował:

— Co w imię Boże uczynione, to Bóg wynagrodzi, ale ja muszę się wytłomaczyć przed księdzem proboszczem. Jestem introligatorem z zawodu — opowiadał — nazywam się Mrozowicz. Mam żonę i małe dzieci. Z początku nieźle nam się wiodło. Najmowaliśmy dwa pokoje: jeden mieszkalny, drugi dla warsztatu. Roboty nie brakło, ale w sierpniu żona powiła jeszcze jedno maleństwo, a przytem tak ciężko chorowała, że co mieliśmy zaoszczędzonego, wszystko poszło na leczenie. Przeszliśmy na jeden pokój, drugi odnajeliśmy szwaczkę, która wniosła się z matką i córeczką. Ale taka tam z nich pociecha! Jeszcze większa ich bieda od naszej; tylko tyle, że zamiast komorne zapłacić, pilnowały nam dzieci, kiedy żona wychodziła na robotę, a czasami naprawiły co z odzienia. Jednak można było jeszcze żyć jakkolwiek... — westchnął i zatrzymał się, jak gdyby mu coraz trudniej było mówić.

Ksiądz Wojciech słuchał w milczeniu i pomyślał, że nic tak ludzi nie zbliża, jak wspólna niedola.

— Ale jakieś лихо się na mnie uwzięło — ciągnął dalej introligator. — Dostałem tak silnej gorączki, że leżałem całymi dniami bez przytomności. Doktor powiedział żonie, że to tyfus i kazał odwieźć do szpitala. Przed tygodniem wypisali mię stamtąd. Reszta jasna jak biały dzień. Do roboty sił mi brak — warsztat zastawiony, dzieci żebrzą, o Boże, Boże! Żebym ja tylko o siebie potrzebował się troszczyć! ale oni...

Mrozowicz wsparł głowę na dłoni, a wzrok jego stał się znowu błędny i bezmyślny.

Łagodnie, z wielkiem współczuciem i miłością przemówił do niego ksiądz Wojciech i zdołał przelać w tę złamaną duszę wszechpotężny bodziec — nadzieję. Pokazał mu swoją bibliotekę, w której całe rzędy książek czekały z utęsknieniem, jak powiadał, godnej ich wartości oprawy; wreszcie zamówił sobie oprawę tych kilkudziesięciu tomów, płacąc z góry dość znaczną sumę i utrzymując przytem, że zawsze będzie Mrozowiczowi wdzięczny za następczoną sposobność urzeczywistnienia swych dawnych marzeń co do uporządkowania księgozbioru.

Tymczasem Maryanna weszła, oznajmiając, że obiad ostygnie.

— To czemuż nie podajesz? — zapytał zdziwiony ksiądz Wojciech.

— Nakryto w sieni jak przystoi — odparła krótko.

Ksiądz Wojciech wszakże inaczej to rozumiał.

— Maryanno, — rzekł stanowczo — proszę samowolnie nie przekreślać moich rozporządzeń.

Nie było na to repliki i po chwili Antek wniósł dymiącą wazę do gabinetu, gdzie się odbył obiad, ale Maryanna nie pokazała się już więcej.

Pożegnawszy po obiedzie Mrozowicza z obietnicą odwiedzenia go wkrótce, ksiądz Wojciech zawołał Maryannę i miał do niej »ex-prompto« kazanie o miłości bliźniego, po którym zmiękła starsuszka, ale powtarzała jeszcze, że »co zanadto, to już za wiele.«

Po jej odejściu ksiądz Wojciech bardziej jeszcze dał się unieść wezbranemu uczuciu: »Nigdy nadto, nigdy za wiele miłości!—mówił do siebie — Czyż się oczy kiedy pięknem przesyca? Czy umysł kiedy światła ma dosyć? Nigdy! Nigdy! Piękno, prawda, miłość — odwieczne promienie, któremi nieskończoność przyciąga nas ku sobie! Wszelako trzeba mieć oczy, aby widzieć, rozum, aby pojąć, serce, aby ukochać, a my te nieśmiertelne władze tak marnujemy w sobie. Najbardziej zaś ową najpotężniejszą ze wszystkich — miłość! A jednak zniweczyć jej nie zdołamy nigdy, możemy ją tylko spaczyć. Ona się z nami rodzi, nami rządzi, na zgubę lub zbawienie; i wedle tego, czyśmy ją w sobie rozniecili ku przedmiotom przemijającym czy też nieśmiertelnym, jak ona, przez nią samą kiedyś sąдени będziemy. Głos naszego sumienia jest już teraz jej cichą skargą, przez którą nawołuje nas,

abyśmy nie karmili jej tem, czego jej kiedyś nie stanie. My przecie tylko za naszą miłość będziemy odpowiedzialni przed Bogiem! Dla tego też cała filozofia na tem polega, abyśmy rozróżniali, zanim się doń przywiążemy, to, co stałe, od tego co przemija; widzieli w terażniejszości — dojrzałą już przeszłość; w życiu — śmierć; a w śmierci — nowe życie; w dobrach doczesnych próchno odgrzebanych starożytności, a w bliżnim nie człowieka złego, ograniczonego i przewrotnego, jakim bywa nieraz, ale bratnią duszę oczyszczoną, przemienioną w pełnem posiadaniu swych władz nadprzyrodzonych — taką, jaką ona kiedyś będzie i ku czemu jesteśmy obowiązani dopomóc jej w tem życiu.

Ksiądz Wojciech tak był przejęty ową miłością dla ludzi, że w danej chwili pragnąłby zostać bogaczem — aby wszystko rozdać; sędzią — aby wszystkim przebaczyć; ba! nawet samym Panem Bogiem, aby wszystkich zbawić!

Na szczęśliwą tedy godzinę trafił Antek, który przychodził właśnie z nieśmiałą prośbą. Chciało mu się, powiadał, pójść z Józikiem od pani Zdzisławowej na chrzciny do sąsiadów.

— Chętnie zezwalam, mój chłopcze — odrzekł ksiądz Wojciech — należy ci się ta mała rozrywka, boś sumiennie pracował w ciągu tygodnia.

Antek nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć i wybiegł uszczęśliwiony.

Uwolniwszy chłopca i nie chcąc przeszkodzić poobiedniej drzemce Maryanny, ksiądz Wojciech

został sam własnym odźwiernym. Najpierw zadzwonił listonosz i wręczył mu »Gazetę Polską« oraz parę listów.

— Same prośby! — westchnął, spojrzawszy okiem znawcy na koperty.—Od Stefana wieści jak niema, tak niema. Niby to tak się pracuje w Paryżu, a hula się pewnie i o starym wuju pamiętać nie łaska. Oj ci młodzi, ci młodzi!..

Machinalnie otworzył jeden z listów i przebiegł oczyma po gęsto zapisanym arkuszu. Formułka wstępna, potem długie utyskiwania:

»... bodajby jej język spuchł, bodajby sumienie jak świder wierciło tej, co mnie tak haniebnie oszkalowała; co powiedziała na mnie proboszczowi, że ja pijaczka jaka, że ja po szynkach się włóczę, że ja...«

— Pierwszy raz o tem słyszę — mówił do siebie ksiądz Wojciech, wrzucając list do kosza — no, ale wiadoma rzecz: »qui s'excuse, s'accuse.«

W drugim liście znajoma staruszka dziękowała kwiecistym stylem za otrzymane wsparcie.

Ksiądz Wojciech miał się zabrać do gazety, gdy znowu odezwał się dzwonek. Tym razem był to hrabia August.

— Przychodzę dowiedzieć się, czy żyjesz proboszczu! — rzekł żartobliwie na przywitanie. — Niema co mówić, wyglądasz zdrów, jak ryba — ciągnął dalej — ale czego ci najbardziej zazdroścę, to twego pogodnego usposobienia. »Pater familias,« jak ja, wieczne ma kłopoty. Ot, dziś na-

przykład, jestem strasznie zgryziony, dowiedziałem się, że Josielmann apelował do senatu. Interes czysty jak kryształ, drzewo na pniu sprzedane, ale ten złodziej wynajduje wciąż nowe haczyki, byle nie płacić.

— Doprawdy? — rzekł ksiądz Wojciech, chociaż nie miał pojęcia o tym procesie.

— Koniec końców wyegzekwuję należność, ale tymczasem jestem zmuszony Snopówkę zastawić w banku na dalsze pięćdziesiąt tysięcy, a wiesz przecie, że to jest przeciwko moim zasadom i że czynię to tylko z ostateczności.

— Zapewne, należałoby tego unikać — potakiwał ksiądz Wojciech.

— Cóż robić! powetuję sobie tę stratę w inny sposób, ale w jaki, tego nie zgadniesz nigdy.

— Oczywiście, nie wiem.

— Buduję cegielnię u siebie. Będę dostarczał cegłę do samego Wilna. Nie wierzysz w ten interes? Idealny! Zaraz ci to wytłomaczę. Glina czyściutka, margla ani na lekarstwo, pięć wiorst od kolei. Przeciągnę wązkotorową linię i będę eksploatował na własną rękę. Opłaci się bez kwestyi, tylko oczywiście trzeba to przedsięwziąć na wielką skalę.

— Oho, jaki z ciebie aferzysta! — zauważył ksiądz Wojciech, usiłując okazać zainteresowanie.

— Co to, to prawda! — zawołał hr. August. — Muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że nikt tak nie potrafi prowadzić interesów, jak ja. Witek

nie będzie mógł się skarżyć, że go ojciec skrzywdził. Ze wszystkiego w gruncie można mieć zysk, byle umiejętnie wziąć się do rzeczy. Nawet ze stadniny wyścigowej, nawet ze zbioru antyków. Może myślisz, że kapitał włożony w starożytności nie procentuje? W dwójnasób, w trójnasób, powiadam ci! Tylko cierpliwości, a zobaczymy, co mój zbiorek wart będzie za kilka dziesiątków lat. Autentycznych przedmiotów coraz mniej, dla tego też ceny idą kolosalnie w górę z roku na rok.

I hrabia August opowiadał dalej o swoim znanstwie, o zamięłowaniu, jakie znajduje w swoim przemyśle i handlu etc., etc., aż wreszcie spostrzegł, że się już ściemnia.

— A to się zagadałem! — zawołał — o czwartej obiecałem być w domu, ale z tobą tak przyjemnie rozmawiać, że się zupełnie zapomina o czasie. Przyjdiesz do nas na wigilię i na drzewko dla dzieci, wszak prawda? Iza bardzo cię prosi.

Księdzu Wojciechowi przyszło na myśl skorzystać z tej zrzeczności.

— Przyjdę chętnie, ale pozwolisz mi przyprowadzić ze sobą ks. Jaunisa? — zapytał.

Hrabia August skrzywił się:

— Zlituj się! na wigilię, do kółka rodzinnego.

— Właśnie chodzi mi o to, żeby poznał wasze życie rodzinne, wasze wzajemne przywiązanie, żeby poczuł to ciepło, które wieje z waszego ogniska domowego.

— I na co to się przyda — wtrącił hrabia August. — Dla niego będzie to zawsze egoizmem: »*égoïsme à deux, égoïsme à dix, si vous voulez,*« ale zawsze egoizm — dopóki się nie rozszerzy na całe społeczeństwo. A my przecie nie święci, za wiele od nas wymagać nie trzeba. Zresztą rób, jak chcesz, będziemy zawsze radzi tobie i każdemu, kogo nam przedstawisz.

Po odejściu hrabiego Augusta zamyślił się nad nim ksiądz Wojciech; umysł rozsądny a zacieśniony; chęć działalności wielka — a pole maluczkie. I któż temu winien? Po części on sam. Ale najwięcej może te nasze nieszczęsne okoliczności, które zabijają wszelką inicjatywę, wszelką szlachetniejszą dążność.





ROZDZIAŁ VII.

Nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Ksiądz Wojciech był zdecydowany wprowadzić księdza Jaunisa do kółka rodzinnego hr. Lidzkich, pomimo, że hrabia August nie nazbyt chętnie na to przystał. Z wikarym miał jednak jeszcze większą trudność. Z początku ani słyszeć nie chciał o przyjęciu zaproszenia na wigilię i tylko pod naciskiem długiej perswazyi dał się wreszcie namówić. Obiecał stawić się w plebanii wczesnie, aby z księdzem Wojciechem puścić się w tę pielgrzymkę, »przejsć przez ogień czyścowy,« jak powiadał: »bo jużci większej ofiary z siebie nijaki chrześcijanin nie dokáže.«

Oczekując lada chwili jego przybycia, ksiądz Wojciech przechadzał się po pokoju i spoglądał niecierpliwie na zegarek. Przejęty doniosłością idei kapłana, jako łącznika wszystkich klas społecznych, dążył do urzeczywistnienia w księdzu Jaunisie wy-

marzonego ideału. »Praca jego nad ludem,« rezonował ksiądz Wojciech, »wydaje już zbawienne owoce, niech zbliży się jeszcze do warstw wyższych, niech popracuje nad nimi dla zjednoczenia wszystkich w miłości braterskiej, a będzie z niego kapłan wedle myśli Bożej.« Zapatrzony w swój cel ksiądz Wojciech lekcewazył sobie dotąd trudności przedsięwziętych środków; ale w miarę jak się zbliżała decydująca chwila, owładał nim pewien niepokój.

— Augustowie żyją zbyt kownie — mówił do siebie, nie przestając chodzić przyspieszonym krokiem wzdłuż gabinetu, dziś gotowi wystąpić okazalej, niż zwykle. Ksiądz Jaunis oburzy się na te parady, potępi wszystko i wszystkich, i gotów być jeszcze bardziej nieprzejednanym, niż kiedykolwiek... Trzy kwadransy na szóstą! Muszę chłopca posłać na zwiady. — Antek — zawołał — ruszaj prędko do księdza wikarego i powiedz, że czekam na niego, tylko żywiej!... Spóźnimy się i będzie pierwsza katastrofa. Ksiądz Jaunis nie ma wyobrażenia o zwyczajach światowych, nie wie jaką klęską dla gospodyni domu jest odgrzewana wiecezka; ale on i o wielu innych formach towarzyskich może nie mieć pojęcia, a do tego ten nieszczęsny akcent litewski! Pomyślą o nim jeszcze, nie bacząc na zasługi, że prostak bez wychowania i grzecznie wymówią się od dalszej z nim znajomości. Dobrze mówi przysłowie: »Nie kładź palcy między drzwi«; zamiast zbliżyć, może bardziej odstręczyć jednych

od drugich.« Po chwili wrócił Antek, oznajmiając, że ks. Wikary gdzieś wyszedłszy.

— Awantura! — wykrzyknął ksiądz Wojciech, nie wiedząc co dalej począć; ale niedługo potrzebował się namyślać, gdyż kroki księdza dały się słyszeć na schodach.

— Chwała Panu Bogu — zawołał na jego widok ksiądz Wojciech — zaczynałem myśleć, że chcesz mi skrewić.

— Pośpiejemy, Ojczulku, pośpiejemy — uspakajał wikary, podążając za proboszczem, który z wrodzoną żywością zbiegł na dół pierwszy i skinął na sanki.

Gdy już usiedli i ruszyli z miejsca: »Wimie Ojca, Syna i Ducha Świętego!« — westchnął po cichu ksiądz Wojciech.



W gabinecie hrabiego Augusta palił się ogień na kominku. Czerwony odbłask padał na twarze zebranych osób, odbijał się jaskrawie o przeciwległą ścianę i przyćmiewał nawet światło lamp i żyrandola. Zdała od ogniska, na otomance, siedziała hrabina, zajęta przecinaniem kartek od książki; przy niej pochylony hrabia August zdawał się zasięgać jej rady. Pan Zdzisław mieszkciem rozniecał płomień.

Hrabina Augustowa z panią Ireną gawędziły na uboczu. Młode mężatki były w strojach wieczorowych z połyskującymi klejnotami; panowie we frakach i białych krawatach.

Na wejście księży wszyscy powstali. Ksiądz Jaunis przywitał towarzystwo słowami: »Niech będzie pochwalony...« na które jedna tylko hrabina odpowiedziała z namaszczeniem: »Na wieki wieków.« Ksiądz Wojciech zaś spojrzał z ukosa po obecnych, obawiając się, aby w ich pojęciu ten wstęp nie wydał się zbyt pedantycznym, ale twarze nie zdradzały nic podobnego, więc odetchnął swobodniej.

Hrabina ze zwykłą swą uprzejmością prosiła księdza Jaunisa, aby usiadł obok niej i wyraziwszy przyjemność z poznania go, skierowała rozmowę na sprawy ogólne. Pan Zdzisław pomagał jej w zabawieniu wikarego, zastępując w tem hrabiego Augusta, którego żona posłała zobaczyć, czy panowie z administracyi już się zebrali.

— Zachowujemy, jak zawsze, staropolski zwyczaj — tłumaczyła hrabina Iza księdzu Wojciechowi — i zasiadamy do wigilii wespół z naszymi ekonomami i pokojówkami.

— W gruncie jest to krępujące dla obu stron — zauważyła pani Irena.

— Cóż chcesz? Kiedy mojej teściowej tak bardzo na tem zależy — odpowiedziała jej siostra.

W białej wełnianej sukience, spiętej u szyi złotym medalem, urocza jak promień słońca, weszła Zochna.

— Już drzewko dla dzieci gotowiutkie — oznajmiła uradowana — tylko świeczki zapalić.

Po przywitaniu gości usiadła obok księdza Wojciecha, udając wielce strudzoną.

— Pracowałyśmy z Hanką do upadłego!

— Czemuś jej nie zatrzymała na wieczerzę? — zapytała hrabina Augustowa.

— Poszła na wigilię do Ojca, ale obiecała powrócić.

Pan Zdzisław interesował się agitacją socjalistyczną, którą od niejakiego czasu zagraniczni emisariusze prowadzili wśród robotników wileńskich, a że ksiądz Jaunis używał swego wpływu dla przeciwdziałania owej propagandzie, więc dowiadywał się teraz od niego o różnych ciekawych szczegółach z tej dziedziny. Ksiądz Wojciech, widząc, że tam rozmowa nie zamiera, uspokoił się i gawędził swobodnie z paniami.

— W dzieciństwie lubiałam przyglądać się gorzącemu ogniowi — rzekła Zochna, patrząc w kominek — ale dzięki Hance nabrałam prawie wstrętu do tego.

— A teraz, to już jesteśmy zupełnie dojrzałą osobką, nieprawdaż? — zażartował z niej ksiądz Wojciech.

— I czemże to tak Hanka wpłynęła na tę zmianę upodobania — zapytała pani Irena.

— Ty jej nie znasz! Ona od najmłodszych lat miała pełno oryginalnych poglądów w głowie. Raz, pamiętam jak dziś, choć to już dawno było — opowiadała Zochna — dostałam wiele ślicznych rzeczy na gwiazdkę i nie posiadałam się z radości. Cały ogrom mego szczęścia wynurzałam przed Hanką, ale ona patrzyła na mnie z niewzruszoną powagą i powiedziała: »To źle!« Nie rozumiałam w czym miało tkwić owo złe, ale Hanka tłumaczyła mi, że przecie aniołkowie opiekują się tylko takimi dziećmi, którym smutno na świecie. Cóż było robić? Hanka zamyśliła się przez chwilę, poczem kazała mi usiąść przed kominkiem i wyobrazić sobie, że ten ogień, to piekło, a syczące płomyczki — to dusze potępione; i póty przedstawiała mi i opisywała to podobieństwo, aż się rozplakałam ze zgrozy. Wówczas uspokoiła mnie, zapewniając, że te łzy moje przywabią aniołków na powrót.

— Czy i teraz zdaje ci się czasem, żeś w szczęście zanadto bogata, Zochno — zagadnął ksiądz Wojciech.

— O teraz jeszcze więcej, stokroć! Nikt chyba zszczęśliwszym ode mnie być nie może! Tylko kiedy czuję, że mi aż zanadto dobrze na świecie, zamiast patrzeć w ogień biorę pocziwą Kundzię i idę z nią do biednych, których mama wspiera.

— Błogosławiony wiek, w którym od zbytku

głowa boli — rzekła drwiąco hrabina Augustowa, a pani Irena dodała:

— Nie możesz, Zochno, mówić o szczęściu; »en connaissance de cause,« bo jeszcze o prawdziwych rozkoszach życia pojęcia nie masz.

Hrabia August wszedł z paczką opłatków i podając ramię matce przeprowadził ją do salonu.

Wszyscy podążyli za niemi.

Rządca ze Snopówki, murgrabia, oraz panny Kunegunda i Aniela stali rzędem, oczekując wejścia rodziny hrabiowskiej. Garderobianki starej i młodej hrabiny miały każda pewne podobieństwo do swojej pani. Młodziutka panna Aniela z obfitą wkędziory grzywką, spadającą aż na oczy, zdawała się poprostu modelować na hrabinie Izie tak w ubraniu, jak w układzie. Panna Kunegunda zaś była to staruszka poważna, zawsze wyprostowana i trzymająca straż przed obowiązkiem, jak żołnierz na posterunku.

Hrabina rozpoczęła dzielenie się opłatkiem, życząc każdemu z kolei wesółych świąt. Zochna rzuciła się na szyję swojej kochanej Kundzi, która mnóstwem błogosławieństw ją obsypywała.

— Księdzu wikaremu obfitość wszelkich pomysłów — mówił pan Zdzisław. — Tobie Wojciechu sto lat życia, sto chat do uszczęśliwiania ludzi.

Hrabina, łamiąc opłatek z synem i synową, nie omieszkała zaznaczyć, aby rośli w łaskę u Boga i w miłosierdzie chrześcijańskie więcej jeszcze niż

w dobytek doczesny — co wysłuchawszy hrabina Iza, obróciła się ku pani Irenie i szepnęła półżartem.

— Baczość! czy nie będzie teraz jakiego natarcia na naszą kieszeń?

Drzwi od jadalnej sali na oścież otwarto i ukazał się stół kwiatami udekorowany, ze srebrną zastawą i kryształowemi kandelabrami. Hrabina zasiadła pośrodku między księdzem Wojciechem i hrabią Augustem. Naprzeciwko niej hrabina Augustowa pomiędzy księdzem Jaunisem i panem Zdzisławem. Zochna u jednego końca stołu przedzielała panów plenipotentów, u drugiego siedziała panna Kunegunda obok pani Ireny i panny Anieli. Ta ostatnia znalazłszy się w sąsiedztwie wikarego zamiast murgrabiego spochmurniała i nawet nieco straciła apetyt.

Wieczera zaczęła się od tradycyjnej zupy grzybowej z uszkami i migdałowej do wyboru.

— Gdyby na wszystko był taki urodzaj w tym roku, jak na grzyby — mówił hrabia August — toby rolnicy nie mogli się uskarżać.

— Deszcze letnie tylko w tem jednym korzyść nam przyniosły — odrzekł pan Zdzisław, a hrabina poczęła ze współczuciem opisywać głód, panujący na wschodzie, o którym miała szczegółowe relacje z ostatnich dzienników.

— To coś przerażającego, kiedy już ludziom chleba zabraknie! — mówiła hrabina Augustowa pod wrażeniem przytoczonych faktów. — Zdaje mi się,

że ksiądz wikary wziął zły kawałek szczupaka, proszę drugiego spróbować.

— Dziękuję hrabini. To prawda, że śmierć z głodu jest przeraźliwa, ale znachodzi się to i u nas, codzień, nawet w latach najbardziej urodzajnych.

— Nie chce mi się wierzyć! W tem jest chyba dużo przesady!

— Musi być tak jest — utrzymywał ksiądz Jaunis — kiedy sam widziałem i to u ludzi, którzy póki mogli pracowali jak woły robocze. Tylko wiadomo, głód nie zabija, jakby kto powiedział, obuchem w łeb i gotów! A niedostateczne odżywianie się to także głód, choć w baraniej skórce; przysciobi człowieka do muru, aż go pomaleńku zdusi.

Panna Aniela, rodem warszawianka, parsknęła przytłumionym śmiechem, a widząc, że zwróciła na siebie uwagę — udała, że się zakrztusiła.

— Panienska ze swą piękną edukacją pewnie by to lepiej wyraziła ode mnie, ale może by nie odczuła tego tak, jak ja, nie znając ani co nędza, ani co praca.

— Za kogo on ją bierze? — myślał ksiądz Wojciech, nie śmiejąc z obawy oczu podnieść z talerza.

— Otóż myli się ksiądz Wikary — odparła panna Aniela z przekąsem — nie tylko takie proste

woły robocze pracują w pocie czoła, ale i delikatne...

— A jużci, jużci—potwierdził ksiądz Jaunis—pudelki takż służć umieją.

Tu panna Aniela stropiła się i zamilkła.

— Czy słyszeliście państwo o podwójnych zaręczynach wśród naszych znajomych? — zapytał hrabia August nagle, koncentrując ogólną uwagę. — Starsze panny Wołyńskie wychodzą za mąż: jedna za Jerzego Bogackiego, druga za Jarmunta.

— Nieprawda Guciu. Jeszcze niema nic pewnego — zawołała Zochna. — Proszę cię bardzo nie powtarzać bezpodstawnych plotek.

Zawiązała się dyskusya nad prawdopodobieństwem tych związków. Omawiano zalety obu młodych ludzi; wychwalano szczególnie Jerzego, jako świetną partyę. Gdy wreszcie obeszły dokoła ostatnie obowiązkowe potrawy, ryż mrożony i kisielek, hrabina dała hasło do powstania od stołu i wszyscy wrócili do salonu. Tylko administracya i garderoba znikły niepostrzeżenie.

W salonie czekały już dzieci i Hanka, która wróciwszy od ojca, starała się mitygować ich gorączkową niespokojność. Zochna skinęła na nią i wymknęły się obie dla zapalenia świeczek na choince, wniesionej do gabinetu.

Tymczasem wszyscy otoczyli Witka i Gusię, i zaczęto ich drażnić i przekomarzać się z niemi dla podsycenia dziecinnej ciekawości.

— Witku! czegożbyś ty sobie życzył od drzewka? — pytał hrabia August.

— Bata.

— A mnie się coś zdaje, że widziałem tam zamiast bata zawieszoną różeczkę.

— Ja chcę dużo lalek — wołała Gusia.

— A jednej panie nie dosyć?

— Nie, dużo, dużo!

— I cóż Gusia będzie z niemi robiła?

— Jak będzie dużo, to nie będzie mało — brzmiała odpowiedź.

Nareszcie wbiegły panienki, otwierając szeroko drzwi i ukazało się olbrzymie drzewko jasne, iskrzące się od świeczek płonących i rozwieszonych błyskotek. Po chwili osłupienia, dzieci rzuciły się ku rozłożonym dokoła zabawkom. Starsi przyglądali się z zadowoleniem ich ucieście i wesołość malowała się na wszystkich twarzach. Dla Hanki i Zochny była także niespodzianka. Otrzymały każda: »Przewodnik po Rivierze« z obietnicą towarzyszenia Augustowstwu w ich podróży. Projekt ten był dotychczas umyślnie trzymanym w tajemnicy przed niemi, a Hanka dowiedziawszy się, że zezwolenie pana Wołyńskiego już zapewnione, oddała się niepohamowanej radości. Nastąpiły wzajemne podziękowania, wybuchy serdeczności i uściski.

Przyjrząwszy się temu obrazkowi rodzinnego szczęścia, księża pożegnali się i wyszli pod jego urokiem. Przed domem nie było sanek, musieli

więc iść pieszo, a zawieja była straszna i ślizko pod nogami. Na rogach ulic wiatr dał silniej i z przenikliwym świstem pruszył śnieg w oczy, utrudniając posuwanie się naprzód. Pusto było i ciemno, tylko gdzieś tam latarnia zaświeciła przechodniom, dalej znowu ciemność i pustka. Wtem z przeciwnego chodnika odezwał się płacz dziecka. Wikary przystanął i słuchał; tymczasem ksiądz Wojciech był już po drugiej stronie i wrócił niosąc małą dziewczynkę w objęciach.

— Natrafiliśmy na zbłąkaną owieczkę — rzekł — ale jeżeli to dziecko podrzucone, albo na los szczęścia rozmyślnie opuszczone, to cóż my z niem pocniemy?

— Oddasz Ojczulku do »Przytułku« — odpowiedział żartem wikary.

Księdzu Wojciechowi na tę myśl ręce za drżały, a w tej chwili dziewczynka znowu się rozpłakała.

Zbliżył się z nią do sąsiedniej latarni i spojrzął w jej duże łzawe oczy, które mu się nagle wydały dziwnie znajome i jakby widziane kiedyś, w jakiejś zamglonej przeszłości. Podobnie nieraz melodia znana, a zapomniana, błąka się oddalonym echem w pamięci słuchu.

— Maleńka! — rzekł do niej pieszczotliwie — maleńka! Gdzie twoja mamusia?

Dziecko ukryło twarzyczkę i płakało dalej, aż z cieniów nocy wysunęła się postać kobieca

i biegła wprost ku oświeconej płomykiem gazowym grupie.

— Maryś moja! Maryś! — wołała, zabierając ją z rąk księdza — odbiegła ode mnie zniechcąca, a śnieżycą ukryła mi ją przed oczyma — chciałam jej przez okno pokazać drzewko u panów...

I podziękowawszy, poszła w swoją drogę, a księża skierowali się ku domowi.

Ksiądz Wojciech wciąż jeszcze widząc przed sobą owe granatowe źrenice pełne łez, przypomniał sobie »Przytułek« z obcymi w nim ludźmi i obcym kierunkiem i ogarnęła go wielka radość, że te smętne dziecinne oczy, miały matkę.

Gdy weszli do bramy plebanii, gdzie ich wichura dosięgnąć nie mogła, ks. Jaunis przemówił, życząc dobrej nocy proboszczowi.

— Dziękuję, Ojczulku, za wszystko dziękuję; ale najwięcej za to, że mnie heretyka przekonałeś na twój manier. Nie wierzyłem, bo myślałem, że ogień z wodą złączyć nijakim fortelem nie ujdzie. I teraz dalej suponuję, że nie każdemu porywać się na to, bo co kruk, to nie orzeł. Ja naprzykład, to ja, ale ty, Ojczulku, ty... jesteś owym... — tu urwał ze wzruszenia, lecz oddalając się, szeptał: —Z świętym, święty będziesz; z mężem niewinnym, niewinny będziesz...

Ksiądz Wojciech patrzył za odchodzącym, aż mu znikł z oczu. »U tego człowieka pokora gra-

niczy z samobójstwem moralnem, — pomyślał, — a ja przecież nie jestem godzinę rozwiązać rzemyka u trzewików jego!

Na schodach zobaczył Antka, wnoszącego kufer z literami S. R.

— Stefan przyjechał! co za niespodzianka! — zawołał i pospieszył co tchu na górę.





ROZDZIAŁ VIII.

Ksiądz Wojciech miał wielką słabość do swego wychowańca, to też niespodziewany jego przyjazd sprawił mu niezrównaną przyjemność. Wracając od hr. Lidzkich, zastał młodego człowieka już ugoszczonego przez Maryannę, która także nie posiadała się z radości i nie czekając zlecenia, zajęła się ogrzaniem bawialnego pokoju i przyszykowaniem posłania na otomance dla ukochanego panicza. W oczach Maryanny jej panicz był zawsze tym samym szkolnym żakiem, co przed dziesięciu laty, ale w rzeczywistości Stefan Rymaszyc, obiecujący artysta-malarz, liczył lat dwadzieścia pięć, a wyglądał o tyle starszym, że mu koledzy na słowo wierzyć nie chcieli i drażnili przypuszczeniem, że ukrywa swój wiek jak podstarzała panna. Będąc jedynakiem, nie potrzebował stawać do wojska, ale nawet bez tej ulgi nie byłoby obawy o niego, bo na swój wzrost był dziwnie szczupły i klatkę pier-

siową miał mało rozwiniętą. Zresztą chłopiec ładny; nad ciemno-szaremi ognistemi oczyma rysowały mu się szerokim łukiem czarne brwi, duży lecz cienki nos występował ponad zakręconym do góry wąsem, a w uśmiechu ukazywały się dwa rzędy równiutkich białych zębów.

Ks. Wojciech asystował przy kolacyi siostrzeńca i wypytywał go o postępy w sztuce i o mnóstwo szczegółów z jego życia za granicą. Stefan był dumny z siebie, albowiem sprzedaż dwóch olejnych obrazków na wystawie sztuk pięknych, opłaciła mu podróż do kraju na wakacje. Obecnie zaś, powiadał, pracuje nad płótnem większych rozmiarów, zatytułowanem »Przyszłość w świetle możliwości.« Uosobieniem tej »przyszłości« ma być młodziuchna dziewczyna, zapatrzona w dal stepową; wschodzące słońce rzuca na nią światło kontrastowe, złociste smugi i głębokie cienie, a twarz jej ma odzwierciedlać duszę, jak morze—nieskończoność.

— Czy tylko nie porywasz się z motyką na słońce — rzekł ksiądz Wojciech, niedowierzający zbyt wygórowanym przedsięwzięciom.

Ale zapalony artysta był niezachwianym w zamiarze urzeczywistnienia swych ideałów i utrzymywał nawet, że jeżeli nie znajdzie odpowiedniego typu kobiecego, to będzie pracował całkiem z wyobraźni.

Gawędka ciągnęła się jeszcze czas jakiś po wieczery, aż wreszcie ksiądz Wojciech oznajmił,

że »hora canonica« i wyprawił gościa na spoczynek.

Gdy gasił lampę w gabinecie, biła północ i wnet rozkołysał się dzwon świętego Michała, a z nim wszystkie dzwony wileńskich kościołów, roznosząc po mieście radosną wieść: »Bóg się rodzi, moc truchleje!« I serce księdza Wojciecha zadrgało jednobrzmiennie z dźwiękiem spiżu, a z ust jego uleciała ku Niebiosom modlitwa gorąca: »Któryś przyszedł na świat w Betlehemskim żłobie, racz się dzisiaj narodzić w sercach naszych. Gwiazdo narodów! Tyś równie pożądany teraz, jak za dni Tyberyuszów, bo lud Twój wyparł się Ciebie czynem, wolą i rozumem. Nasz wiek uczy zwątpienia. Ty dzieciątko Jezu, daj nam wiarę i ufność dziecięcia. Szukamy nadzwyczajności marnych, sięgamy po błędne ogniki, bawimy się w bańki mydlane, bo wiek nasz uczy próżności — Dzieciątko Jezu daj nam prostotę dziecięcia. Wyrośliśmy w pogardzie celów Bożych, z brakiem przekonań głębokich, z wolą chwiejną jak trzcina; nasz wiek uczy obojętności — Dzieciątko Jezu daj nam czystą miłość dziecięcia; albowiem zapowiedziałeś, iż ktobykolwiek nie przyjął Królestwa Bożego jako dziecię, nie wnijdzie do niego...«

*

*

*

Wesołe były w tym roku święta Bożego Narodzenia. Towarzystwo pełnego życia Stefana ożywiało samotność plebanii. Przytem pragnąc, aby młodzieniec wywiózł z wakacyi jak najmilsze wspomnienia, ksiądz Wojciech częściej, niż zwykle przyjmował zaproszenia do znajomych, aby go zabawić; gdy zaś obowiązki stawały mu na przeszkodzie, wyprawiał siostrzeńca samego. Termin wypoczynku, który sobie był nazaczył młody malarz, upłynął po dwóch tygodniach, ale, że pod koniec stycznia miał się odbyć wieczór kostiumowy u hrabiego Augusta, więc też bez wielkiego oporu dał się nakłonić do przedłużenia pobytu. Z wujem Zdzisławem stosunek był nieco naprężony i etykietałny z powodu wujenki, którą Stefan podziwiał jako piękność, ale której nie lubił. Za to nie opuszczał żadnej zręczności odwiedzenia hr. Lidzkich, gdzie była zawsze możliwość spotkania Hanki Wołyńskiej. Stefan był nią oczarowany i od pierwszego widzenia nazwał ją swoją »Przyszłością.«

»Tak, niewątpliwie!—mówił—ona jest typem, którego szukałem; jeszcze nie w zupełnem rozwinięciu, ale nadającym się pysznie do mojej myśli. Co za płomień w tych oczach! Co za skrytowanie dna uczuć namiętnych w jednym spojrzeniu! A w uśmiechu przeciwnie, jaka słodycz! co za sielsko-anielski spokój. Na Apollona! Wujaszku, czyż ona nie jest jakby wymarzoną dla odtworzenia przenośni »Życia w wyobraźni różnorodnej możebności?«

— Zbikowałeś człowieku! — odpowiadał na te wybuchy ksiądz Wojciech, ale uśmiechał się dobrodusznie, bo i on widział w tem wszystkim »przyszłość,« której nie był zanadto przeciwnym.

Pewnego poranku, gdy tak rozmawiali o Hance, a Stefan szkicował przy oknie wieżyczki świętej Anny, odwiedził ich hrabia August. Przyszedł zasięgnąć rady malarza, co do ucharakteryzowania głowy do stroju Karola V-go. Stefan zawsze uczynny, wnet zaczął rysować typową głowę z właściwym kapeluszem i kryzą.

Aby im nie przeszkadzać w tej naradzie, ksiądz Wojciech przysunął fotel do drugiego okna i otworzył książkę.

Tymczasem na ulicy przed samą plebanią wykoleił się tramwaj. Pasażerowie wysiedli czekając, aż ustawią koła na szyny, a tłum gapiów i uliczników zatamował przejazd. Ozdobne sanki, zaprzężone w rozhukaną trójkę, stanęły nagle przed tą zaporą, a siedząca w nich elegantka w jasnej pluszowej rotundzie, podbitej białymi kozami, giestykulowała daremnie dla naglenia woźnicy. Zdawała się być mocno wyróżzowaną, do czego mógł się po części i mróz przyczynić, ale było jej z tem do twarzy i wyglądała zadowolona z siebie i dumna jak bogini jaka na swym tryumfalnym wozie.

— Cóż to za lafirynda? — zapytał Stefan, patrząc przez okno.

— Nie znasz? Toż ulubiony karmelek Wilnian — odrzekł ciszej hrabia August.

— Aha! Piękna wdówka?

— »Tout commel«

— Rosyanka widać?

— Gdzie tam! Tylko z kim kto narazie przestaje, takim się staje. Pani Julia — ciągnął dalej zniżonym głosem hrabia August — była primadonną przejezdnej opery włoskiej, ale uważała za lepsze osiedlić się w Wilnie dla dawania lekcji. Może spróbujesz jej metody.

— Dziękuję, ona nie dla początkujących.

— Przeciwnie, c'est son tort! Ale zdawałoby się, że ty to nigdy nie trelowałeś!

— Psst! — gwizdnął Stefan, mrugając w stronę wujaszka. Przeszli znowu na temat strojów średniowiecznych, poczem wkrótce pożegnał się hrabia August, a po jego wyjściu Maryanna oznajmiła, że Esterka chce się widzieć z księdzem proboszczem.

— Esterka! — zawołał ksiądz Wojciech zdziwiony, gdyż nigdy żadnych antyków nie nabywał. — Chyba przyszła tu za Augustem. Powiedz jej, że hrabia przed chwilą poszedł do siebie.

Otóż nie, Esterka miała osobisty interes do księdza proboszcza i natrętnie domagała się dostępu do niego.

Ksiądz Wojciech wyszedł do niej do sieni.

— Przepraszam wysokie godności pana proboszcza — mówiła, kłaniając się bardzo nisko —

ja przysła z lamentacją na jego lakieja. Uh! weh! jaka on krzywda zrobił! On i jeszcze drugi taki sam szelm. Nałowili naszech małych żydziaków i trzymali pod die pumpe, i to w taki wielki mróz! Byli co wyszli zdrów, ale jeden maleneczki, już trzeci tydzień, jak leży.

— Czy wiecie napewno, że to zrobił mój służący?

— Nu jak nie wiedzieć! jego wszystkie znają! Ksiądz Wojciech kazał Maryannie przywołać Antka, a żydówka mówiła dalej:

— Felczer dwa razy był — kosztowało rubel. A medykamenty! a pijawke! cała kupa pieniędzy poszło. Matka — biedna kobieta, to ja przysła, coby jej pan proboszcz nie odmówił satysfakcy.

Antek się nie zjawił, więc ksiądz Wojciech wyniósł jej pół-imperiała, z którym Esterka oddała się zupełnie przejednana. Wówczas Antek rozpromieniony wysunął głowę z sypialnego pokoju.

— Chwała Bogu, że ta jędza już sobie poszła! — mruknął.

— Antoni — rzekł ksiądz Wojciech surowo — przyjdź tu zaraz wytłomaczyć się ze swego postępku, za który musiałem drogo zapłacić.

— Ależ my ich zato aż sześciu ochrzcili!

Ksiądz Wojciech przygryzł wargę, gdyż pomimo komiczności konceptu postanowił dać łobuzowi zasłużoną burę.

--- Więc to takie były chrciny, na które mię o urlop prosiłeś? Dobrze, będę wiedział na przyszłość z kim mam do czynienia...

Dalszy ciąg napomnienia się urwał, głośny bowiem śmiech Stefana dochodził aż tu z gabinetu i Antek coprędzej odprawiony został z obawy demoralizującego dla niego wpływu tej wesołości.

Po południu ksiądz Wojciech ze Stefanem wyszli na przechadzkę. Dzień był słoneczny, ale gęste, ciemne chmury, gnane wiatrem, jak olbrzymie sępy przelatowały od czasu do czasu, zaciemniając blask słońca i zapowiadając nowy spad śniegu. Stefanowi chciało się pójść na górę Zamkową dla oglądania stamtąd widoku na całe Wilno i okolice; a że to jedyne wzgórze, starannie utrzymywane przez zarząd miasta i dostępne o każdej porze roku, ksiądz Wojciech chętnie na tę wycieczkę przystał.

Pod samą górą rozciągał się wzdłuż Wilejki ogród botaniczny, który, gdy wzniesli się o kilkadziesiąt stóp, dzięki оголоczeniu drzew, przedstawił się im jak na dłoni. Na ślizgawce dużo było łyżwiarzy, ale prócz panien Katapówien i Witolda Bogackiego nikogo ze znajomych nie dostrzegli. Wyżej na skrócie ścieżki odkrył się jeszcze rozleglejszy widok na Antokol z kościołem świętego Piotra, na wijącą się, jak połyskująca wstęga, rzekę Wilię i na dalekie iglaste lasy, które żałobnem pasmem lamowały obręb widnokregu. Stefan przystanął, napawając się urokiem swej rodzimej

przyrody; ksiądz Wojciech zatrzymał się przy nim. Obaj milczeli wsłuchani, każdy wedle swego wewnętrznego usposobienia, w potężny głos piękna, przemawiającego przez naturę. Potem powoli, obróceniu twarzą ku wspaniałemu widokowi, wstępowali na sam wierzchołek. Tu przywitani wybuchem wiatru, schronili się za odłamek ruiny książęcego zamku, gdzie było zacisznie, a widok niemniej odkryty. Zimowe słońce zaczynało się zniżać ku zachodowi. Poziome promienie, przedzierając się, rzucały błyskawiczne blaski, ozłacające niebo i ziemię, i malujące obłoki tęczowymi barwami o najsubtelniejszych odcieniach.

— Cudo! Istne cudo! — zawołał rozentuzymowany malarz. — Co za kolosalna symfonia, odegrana przez ten koloryt! Zaczynając od basowych akordów chmur ołowianych, przechodzących w modulacje fioletoów i karmazynów, aż do jaskrawej pozłoty, co niby melodia w sopranie, przenika całą harmonię i kończy się na najwyższej nucie słonecznego promienia — tam oto, gdzie w świetlnej smudze lśni się daleka cerkiewka.

W tej właśnie chwili żeglujący obłok rzucał cień rozłożysty na dach katedry, położonej na samym dole, podczas gdy na odległym »wojennem polu« trzy zielone kopułki kapały się jeszcze w jasności słońca.

— Nie — pomyślał ksiądz Wojciech — to nie ostatnia nuta, to konieczny przejściowy dysso-

nans, po którym dopiero zabrzmiał w całej pełni wszechświatowa harmonia.

Ochłonawszy z wrażenia, poczuli chłód przenikliwy, idący od zaśnieżonej przestrzeni, więc roztropnie, acz z żalem poczuli schodzić na dół.

Na ślizgawce było teraz jeszcze ludniej, a w środkowej altanie orkiestra wojskowa przygotowywała się do grania. Niebawem rozległ się wesóły walc z »Micado«. Hrabia August nakładał łyżwy, przy nim Wanda Wołyńska odpoczywała na ławeczce, podczas gdy Hanka próbowała wyciągnąć arabeski na lodzie.

Krystyna z Jerzym Bogackim trzymając się za ręce, ślizgali się nieustannie, zdając się zapominać o świecie całym.

— Jeżeli to się nie skończy mariażem, niech mnie apopleksya stuknie na tem miejscu! — wykrzyknął Stefan, świadomy, że dla niego wykluczona możliwość podobnej katastrofy.

— I mnie się zdaje, że tu się zanosi na coś poważnego — odrzekł ksiądz Wojciech. — Ale o czemże Jarmunt myśli, że jego tu niema.

— Rwie się zapewne duszyczka do raję, ale jej z banku nie puszczają.

— No to i ja drugiej duszyczce nie będę stawiał na przeszkodzie — zaśmiał się ksiądz Wojciech. — Szkoda tylko, żeś nie wziął łyżew ze sobą, ale przyłącz się do młodzieży, a ja pójdę stąd do moich pacjentów.

Księdzu Wojciechowi ciążyła na sercu niespełniona dotąd obietnica odwiedzenia Mrozowiczów, więc po rozstaniu się ze Stefanem, puścił się w długą drogę, przez Ostrą-Bramę aż na Nowy-Świat. Chętnie chodził tędy i nieraz nawet zbaczał z drogi, byle przejść pod łukiem cudami słynącej kaplicy, skąd Matka miłosierdzia zlewa obfitość uproszonych łask na swe wileńskie dzieci. Dla księdza Wojciecha, jak dla wszystkich ludzi czynu, których praca jest nieustanną modlitwą, jedno dorywcze westchnienie, zwrócone ku niebiosom, otwierało całe niebo duchowej słodyczy.

Introligatora zastał przy robocie. Lepszą miał cerę i weselsze oczy. Pokój czyściutko wymieciony świecił wszakże pustką, gdyż prócz warsztatu, jednego łóżka i paru stołków nic więcej nie było. Na drzwiach przyległej stancyi wisiała kartka z napisem: »Emilia Toczko, szwaczka.« Mrozowiczowa pomagała mężowi w zeszywaniu drukowanych arkuszy, trzymając przytem najmłodsze dziecko na kolanach; druga dziewczynka uczyła się abecadła, siedząc na ziemi. Ksiądz Wojciech porozmawiał z rodzicami, zadał kilka pytań z katechizmu córeczce, pochwalił ład i porządek w domu, a zapewniwszy się, że na koniecznych potrzebach przynajmniej teraz im nie zbywa, chciał się oddalić, ale Mrozowiczowa poprosiła, by wstąpił do jej sąsiadki.

-- Przeziębła się w wigilię Bożego Narodzenia i odtąd ciągiem choruje — mówiła, pukając do jej drzwi.

Zastali chorą w łóżku. Silne wypieki na młodej, jeszcze prawie dziecinnej twarzy, zdradzały stan gorączkowy. Dwa spore warkocze spadały jej na ramiona, uwydatniając urodę; tylko oczy miały przykry wyraz niepokoju i źrenice były w ciągłym ruchu, jakby nie przywykły patrzeć śmiało przed siebie. Chora podniosła się na posłaniu i, poznavszy księdza Wojciecha, wyciągnęła rękę ku niemu.

— To Ojciec odnalazł Marysię... w śnieżycy... wszak prawda?... chciała zobaczyć drzewko, choć przez okno... więc poprowadziłam... — rzekła urywanym głosem.

Ksiądz Wojciech usiadł przy łóżku.

— Rzeczywiście, Bóg zrządził, żeście nas spotkały, ale przeziębienie długo trwa, trzeba coś na to poradzić.

— Żeby jakiego doktora poprosić — wtrąciła Mrozowiczowa — a to pani Emilia do felczerów nie ma zaufania.

— Znam kilku lekarzy, którzyby na moją prośbę chętnie przyszli.

Chora jednak utrzymywała, że już się lepiej czuje dzisiaj, więc tylko w razie pogorszenia, uda się o protekcję do księdza proboszcza.

Tymczasem powróciła z miasta staruszka, matka pani Emilii, z małą Marysią, którą przedstawiła księdzu jako »naszą sierotkę.«

— Czyście kiedy nie przychodziły z tem dzieckiem do świętego Michała? — zapytał ksiądz

Wojciech, gładząc kędzierzawe włoski Marysi. — Już onego wieczoru, kiedym ją widział przy latarni, jej twarzyczka wydała mi się znajomą.

Kobiety zapewniały, że dawniej księdza Wojciecha nie widywały, a że Nowy-Świat na drugim krańcu miasta, więc do kościoła świętego Michała nigdy nie zachodziły.

— W śródmieściu nie mieszkamy, bo tam lokale niech Bóg broni jak drogie! — żaliła się staruszka — a przecie z igły Emilki nawet tę stancijkę opłacić nam trudno.

Te utyskiwania matki widoczną przykrość sprawiały Emilii, która z rozgoryczeniem odezwała się:

— Niech matka już raz przestanie narzekać, bo pomyślę, że naprawdę oddałaby dziecko dla kawałka chleba.

— I pewnie, że lepiej byłoby dla niej i dla nas; a tak sama wiesz, że gdyby nie litościwi sąsiedzi i niespodziewana pomoc jenerałówny, dawno byśmy już z głodu pomarli.

— Jakiej to jenerałówny? — zapytał ze zdziwieniem ksiądz Wojciech.

— Nieznajoma panienska przyniosła raz książkę do oprawy — opowiadała staruszka — i widząc naszą biedę, zaopiekowała się nami. Nie wyjawiała kto ona taka, a zapytać miałam subiekcję. Potem my się domyśliły, bo Maciek Mrozowiczów, nosząc obiady z Dobroczynności, kiedy matka cho-

rowała, widział ją jak wychodziła z mieszkania jenerała Katapowa.

— Czy nie blondynka, średniego wzrostu, w barankowem futerku?

— Ta sama. Więc prawda, że jenerałówna?

— Nie — odrzekł krótko ksiądz Wojciech i zamyślił się, a staruszka znowu miała subiekcyę rozpytywać się.

Zostawiwszy wreszcie mały datek na posilniejszy pokarm dla chorej i poleciwszy, aby się do niego udawano w naglącej potrzebie, z lżejszem już sercem opuścił ksiądz Wojciech mieszkanie szwaczki, albowiem wiedział, że anioł opiekuńczy wstępuje w te progi.





ROZDZIAŁ IX.

— Co to za kanalia ci dorobkiewicz! — wołał w kilka dni potem Stefan, wpadając do gabinetu wuja — pozbawione to wszelkiego poczucia honoru i przyzwoitości. Niech mnie apop... Zresztą i bez tego będę stronił od nich, jak dyabeł od święconej wody.

— Co się stało? — zapytał ksiądz Wojciech, kładąc na bok książkę.

— Zbałamucił pannę, a gdy przyszło do rzeczy stchórzył i drapnął dziś rano do Anglii.

— Kto taki? czy nie Jerzy Bogacki?

— Za takie szelmstwo wypoliczkowałbym go, gdyby mi się nawinał pod rękę; największa złość to, że Hanka teraz tryumfować będzie! Ona wciąż powtarza, że nie inaczej, jak kluczykiem złotym, i to bez wszelkich miśternych kombinacji, da się otworzyć każde kawalerskie serce, z tą tylko różnicą, że im ciaśniejsze, tem większy klucz ze złota dobrać doń należy.

— Czy jednak nie mylisz się? — zapytał ksiądz Wojciech. — Może dostał kosza i dla tego wyjechał.

— Croyez-y et buvez de l'eau! dosyć było spojrzeć w rozpromienioną twarzyczkę panny Krys-
tyny, aby się przekonać, że on jej wcale nie był obojętny.

— Jeżeli to prawda, to wielka szkoda dziewczyny. Ale z tem wszystkiem, czy załatwiłeś mój interes?

— A jakże! Zastałem doktora Okołowicza, który w mojej obecności odczytał list wuja i kazał powiedzieć, że dziś żadną miarą nie może, ale jutro o czwartej stawi się na Nowym-Świecie.

— Dobrze, powtórzę tę odpowiedź Mrozowiczowej, która czeka u Maryanny — rzekł ksiądz Wojciech, wstając.

— A potem możebyśmy poszli z pożegnalną wizytą do hrabiny — proponował Stefan — bo jutro kostiumowy wieczór, po którym trzeba będzie składać manatki i jazda do kawalerskiego gniazda.

* * *

Poszli do hrabiny. Stefan rad i wesół, bo żył tylko dniem dzisiejszym; ksiądz Wojciech ze ściśnionem sercem w przewidywaniu blizkiego rozstania się z ukochanym chłopcem. Im dalej na drodze życia, tem mniejsze zaufanie do tego, co czas dać może, a cień czekającej śmierci tak się przedłuża na zachodzie, że aż liże stopy terażniejszości. Dla tego może ksiądz Wojciech nie lubił

już robić planów na przyszłość, ani się niemi cieszył przedwcześnie; więc gdy Stefan, spostrzegłszy zasepienie wuja, począł mówić o przyszłych wakacjach, on odpowiadał mu tylko z westchnieniem: »Tak, tak, jeżeli Pan Bóg da doczekać!« — a w duchu myślał: »Po zatem to, co oko nie widziało, ucho nie słyszało, a jednak w otchłań grobu każdy zejść musi i każdy drży wobec grozy śmierci, przed którą truchlała nawet natura ludzka Chrystusa, nim Bóg-Człowiek swem zmartwychpowstaniem śmierć zwyciężył.

— Nie wiedziałem, że wuj się zrobił takim pesymistą — odezwał się po chwili Stefan.

— Starość nie radość, mój drogi. Wszak niedługo trzeba się będzie wybrać w zaświatową podróż, bo życie ludzkie toczy się jak koło puszczzone z góry w przepaść; z początku wolno bardzo, a potem dopiero z wzmagającym się pędem. Wiek dziecienny długo się wlecze, młodzińczy już prędzej przemija, dalsze lata z coraz bardziej odurzającą szybkością następują po sobie, aż nas ściągną w tę straszną, czarną głębię, skąd nikt nie powraca.

— Straszna dla tego tylko, że czarna, a czarna, bo nieznana — odrzekł Stefan. — Właściwie czarny kolor nie istnieje, a jest nim zupełny brak koloru. O życiu pozagrobowym brak nam wszelkiego pojęcia i dla tego zlewa się ono w naszej wyobraźni w jedną wielką czarną bezdeń. W rzeczywistości zaś jakimkolwiek byłby koloryt dalszej

perspektywy, zawsze będzie jaśniejszy od onej żalobnej zasłony nieświadomości.

— Zapewne, byle nie okazał się aż zanadto ognisty—dorzucił ksiądz Wojciech, gdy już wchodzili do hrabiny.

Zastali ją wśród przygotowań do jutrzejszej zabawy. Zochna z Hanką i Wandą były zajęte kokardkami kotylionowemi; Augustowie rozpatrywali nowy stos biletów wizytowych od osób, starających się jeszcze w ostatniej chwili o zaproszenie; pani Irena kombinowała rozkład wyznaczonych miejsc do kolacji. Przywitano wchodzących wezwaniem do roboty.

— Ksiądz Wojciech, jeżeli łaskaw, dopomoże nam w adresowaniu kopert — rzekła hrabina — a pan Stefan zechce może upiększyć »menu« akwarelami.

Ale Stefan wolał oddać swe palce w służbę Hance, która, owinąwszy je wstążką, zaczęła na nich robić coraz piękniejsze kokardki.

— Że też artystyczne pisklątka tak się zawsze drożą! — mówiła do swego »cavalero servante,« trzymając go na uwięzi. — I coby panu szkodziło naszkicować cokolwiek na jadłospisach, »pro publico bono?«

Wanda starała się wytłomaczyć nieobecność starszej siostry tem, że została w domu dla przepisywania pilnych dokumentów w zastępstwie pana Wołyńskiego, którego bolały dziś oczy.

— To dopiero córka, poświęcająca się, jakiej drugiej niema na świecie — rzekł na to Stefan, mierząc Hankę wzrokiem.

— Piękne pozory mają muchomory! — wymknęło się jej bez namysłu, lecz wnet opamiętawszy się, z miną skruszoną dodała: »Swoją drogą z Krystyny lepszy rydz, niż moje nic.«

Hrabina dowiedziawszy się od księdza Wojciecha, że wyjazd Stefana już się nie da odłożyć, zwróciła się do niego uprzejmie.

— Oby sztuka wywdzięczyła się panu za jego do niej zamiłowanie, wieńcząc pracę zasłużonem powodzeniem.

— Kto wie? może już spoczywa na laurach — zauważył żartem hrabia August — a tylko skromność nie pozwala mu przyznawać się do swych arcydzieł.

— Upewniam cię, że gdybym był geniuszem obym otwarcie uwielbiał swoje utwory — odrzekł, malarz — i nie poczuwałbym się przez to bynajmniej do zarozumiałości.

— Więc pan całą zasługę przypisuje natchnieniu? — zapytała Wanda.

— Zasługa malarza polega na tem, że umie pochwyć i uwiecznić to, o czem zwykły śmiertelnik ma tylko jakieś nieokreślone przecucie. Ta zdobycz, którą geniusz wyrwał z Ojczyzny Piękna jest jego istotną chlubą i ma prawo ją uwielbiać, bo ona potężniejsza od niego, choć przez niego uwięziona.

Hrabia August sceptycznie się zapatrywał na ową »Ojczyznę Piękną« panów idealistów. »Gdzie się ona znajduje, na ziemi, czy na księżycu?« domagał się objaśnienia.

— Pewnie tam, kędy obrócona oś wszystkich światów — rzekła hrabina, podnosząc wzrok na księdza Wojciecha.

— Ee, to my tam nie trafimy nigdy, nawet po śmierci, bo przecie za światami jeszcze światy, i jeszcze — i jeszcze — bez końca... — zawołała Hanka, przechylając głowę w tył, jak gdyby widziała cały firmament na suficie.

— Ale przynajmniej będziemy się do niej zbliżali bez końca — odrzekł Stefan. — Twórczość jest bowiem największym darem, jakim już na ziemi obdarza nas natura i dla tego bez tej zdolności tworzenia nie mogę sobie przedstawić żadnego przyszłego życia. Tu służą nam za materiały: płótno, pędzel, farby; tam może będzie nam poddana materya kosmiczna mgławic, z której będziemy krzesać gwiazdy i słońca.

— Herezya! — wykrzyknęła hrabina Augustowa — nie darmo aniołowie strąceni zostali z niebiosów.

Stefan dowodził, że to bynajmniej nie ubliżałoby najwyższej istocie, która nam daje i materiał i natchnienie. A pani Irena podtrzymywała jego zdanie, twierdząc, że Chrystus obiecywał wierzącym w Niego czynienie jeszcze większych, niż On sam, cudów.

Wanda oznajmiła, że to ją nic a nic nie przekonywa; byle mogła coraz więcej pojmować i coraz silniej kochać, ona niczego więcej od wieczności nie żąda.

Dalej każdy z kolei wyłuszczał swoje ulubione hipotezy.

Ksiądz Wojciech milczał.

-- Widzieć same rozpromienione twarze zawsze, co to za rozkosz być musi! — zawołała Zochna. — Ideałem mego wiecznego szczęścia, to obcowanie z aniołami i duszami, które Pana Boga w sercu mają, przebudzenie się w krainie, z której wygnane są łzy i niepokoje, w krainie wiecznej młodości.

Hrabina zaś marzyła o ziemi obiecanej, gdzie się odnajdzie wszystkich ukochanych, którzy nas poprzedzili i tych, co za nami podąża; a łzy błyszczały w jej oczach, gdy chciwa tej pewności, zwróciła się o jej potwierdzenie do księdza Wojciecha.

Nastała chwila ciszy w natężonem oczekiwaniu słów księdza.

— Najśmielsze przypuszczenia, byle z doskonałością Boską zgodne, mogą być uzasadnione tem, że żaden zawód nie spotka wybranych — rzekł ksiądz Wojciech. — Jak nie moglibyśmy ogarnąć myślą tych milionów mil, które dzielą ziemię od innych ciał niebieskich, gdybyśmy nie pomagali sobie owemi obliczeniami lotu kuli armatniej, tak niebo dusz zbawionych byłoby dla wielu martwą literą, niezdolną obudzić żądzy osiągnięcia, gdyby

go sobie nie malowali w najświetniejszych barwach, jakie wyobraźnia stworzyć potrafi, z góry wiedząc, iż rzeczywistość wszystko prześcignie. Gdy się wpatrujemy w obszary niebieskie, słusznie uznajemy małość naszego światka, ale często także obudza się w nas błędne lekceważenie naszego życia na nim. Dla równowagi więc naszej moralnej potrzebnem jest przeświadczenie o chwale życia pozagrobowego, które jest właśnie w zależności od tej niepowrotnej doby dzisiejszej. »Wszyscy zmarłych wstaniemy, ale nie wszyscy odmienieni będziemy« zapowiedział Apostoł święty.

Wieczność nie rozpoczyna się tam, gdzie się czas kończy, ani kończy się tam, gdzie wziął początek czas, ale trwa niezależnie od czasu. Podobnie świat ducha istnieje po za granicami świata materii i nie da się zmierzyć przestrzenią, tak jak wieczność nie da się określić latami. Czas i materya są jeno znikomością stworzoną z niczego. Duszę — Bóg stworzył ze swego tchnienia. Więc wobec jednej duszy fraszka jest dla Wszechmocnego gasić lub rozżarzać miliony gwiazd. Wobec Niego zaś, dusza mniej znaczy, niż ziarnko piasku w porównaniu ze Wszechświatem.

Ksiądz Wojciech czuł, że w tej przelotnej chwili nastrój jego słuchaczy jest zgodny z jego własnym, i że może uderzyć w struny tych różnych serc, wywołując jeden wielki akord na chwałę Bożą; mówił więc dalej, opierając się na słowach z Ewangelii: »Chwałę, którąś mnie dał, dałem im,

aby byli jedno, jako i my jedno jesteśmy«. I nagle uprzytomniła się w umysłach obecnych postaci Zbawiciela i szła ku nim z cienia dziewiętnastu wieków tak prawdziwa i wyraźna, jak każda dotykalna pewność, a »dobra wieść« o Królestwie Bożem, odtąd głębszem rozumieniem wyryła się w pojęciach i długo oświecała promieniem Ideału bezbarwność codziennego życia.

* * *

Minęła doba. Ksiądz Wojciech szedł na Nowy-Świat dla spotkania się z doktorem Okołowiczem u chorej, a że miał dosyć czasu przed sobą, wstąpił do księgarni Zawadzkiego dla odnowienia prenumeraty »Przeglądu.« Ksiądz Jaunis z grubemi foliałami pod pachą płacił właśnie przy kasie.

— »Labor omnia vincit,« Ojczulku! — odpowiedział na zagadnienie. — Tu są gramatyki, podręczniki i słowniki dla przełamania języka. Ja wiem, że to wstyd mówić jak na śmiech dla ludzi i nie dziwuję się, że z tego żarty robią, ale kiedy piękna myśl znieważoną bywa tylko dla tego, że w niestosowną sukienkę ubrana, to bardzo boli.

Ksiądz Wojciech ucieszył się z zamiaru wikarego, gdyż wnet stanęły mu w oczach rezultaty których się stąd spodziewał i dziękował mu serdecznie.

— Zawsze tak i nie to, co myślisz, Ojczulku! Wszak miłość zadraśnięta popycha mnie do tego, ot co!

Ale księdzu Wojciechowi rozjaśniło się w duszy i same przyjemne myśli towarzyszyły mu w dalszej drodze.

W zaciemnionej stancyjce Mrozowiczowa czuwała przy chorej.

— Śpi! — rzekła półgłosem, wstając na powitanie księdza.

— Tem lepiej, nie budźcie jej, dopóki doktor nie przyjdzie. Ja teraz przy niej posiedzę — odrzekł ksiądz Wojciech i pozostał w roli siostry miłosierdzia.

Okno było zasłonięte i powoli tylko wzrok jego zaczął przywykać do półcienia, zalegającego izdebkę.

Chora obrócona do ściany ciężko oddychała. Powietrze napelniała woń kwiatów wiosennych, z której ksiądz Wojciech nie mógł sobie z początku zdać sprawy. Przy łóżku, na stoliku, coraz wyraźniej zaczęły się zarysowywać butelka z winem, filiżanka rosolu, wreszcie dalej nieco wiązanka wspaniałego białego i liliowego bzu. »Skąd ten zbytek?« Księdzu Wojciechowi błyskawicą przeleciała myśl, że kto się raz poślizgnął, słabo na nogach stoi. »Czyżby?...« ale się uspokoił zaraz, przenosząc wzrok na ubogie łoże, nad którym od tygodnia krążyło widmo śmierci.

Nagle chora z krzykiem podniosła się na pościeli.

— Ludzie ratujcie!... Nie oddam... ty moja... moja... moja...

Dzwoniła zębami i szukając czegoś rękami w pustej przestrzeni powtarzała bezmyślnie po wiele razy: »moja... moja...«

Ksiądz Wojciech widział, że majaczy, więc nie ruszył się z miejsca; chora wycieńczona padła znowu na posłanie. Zapanowała cisza, wśród której obcowały ze sobą dwie dusze: jedna nawpół już oderwana od cielesnej powłoki, rzucała jeszcze ostatnie płomyki dogorywającej przytomności, druga również mocą swego poświęcenia do świata nie należąca, żegnała u progu wieczności swą siostrę znakiem Chrystusowym.

W przyległym pokoju powstał ruch; odezwały się podniesione głosy i niebawem wśród napływu światła z otwierających się drzwi stanął doktor Okołowicz, za nim stara Toczkowa, Mrozowiczowa, dzieciarnia i kilka usłużnych sąsiadek.

— Wpuście więcej światła — rozkazał doktor; a gdy uchylono zasłonę, spostrzegłszy księdza Wojciecha, ścisnął mu rękę i szepnął — tylko najpierw proszę oddalić te wszystkie kwoki.

Ksiądz Wojciech skinął na Mrozowiczową, przygarnął dzieci do siebie i, z wyjątkiem starej matki, całą gromadkę wyprowadził.

— Musi nic z niej nie będzie? — zapytała go na uboczu jedna kumoszka, a gdy ksiądz Wojciech

oczekiwał na wyrok doktora — ja to już dawno spraktykowałam — mówiła dalej, kiwając głową. — Póki głód w oczy patrzy, mozoł się człowieku a żyj; masz skąd wziąć, to idź do licha! Emilka, rozumie się, zbłądziła — że tak wyznam przed spowiednikiem, ale też miała za swoje! Teraz przysłali jej całą kieszkę złota przez lokaja, obiecali co kwartał tyle samo, a wczoraj posłaniec jeszcze kwiaty przyniósł, bardzo to potrzebne — no, ale jest!

Księdza proboszcza wezwano napowrót do chorej. Leżała nieruchoma, oddech stawał się coraz krótszy, oczy bielmem zasłyły. Doktor Okołowicz przy stoliku z kwiatami pisał receptę.

— »Acta est fabula« -- rzekł do księdza Wojciecha, nie podnosząc głowy; następnie posłał staruszkę po worek z lodem, a gdy się oddaliła, zapytał:

— Mamże dopisać: »pro paupere?« — i z drwiącą miną pochylił się nad bukietem bzu, wciągając jego ożywczą woń.

— Jeżeli niema nadziei, to nie widzę racji pisania czegokolwiek — odparł ksiądz Wojciech.

— Ej, ej, proboszczu! A my sami czy nie dajemy czasem rozgrzeszenia jeno tylko z urzędu, chociaż wiemy najniezawodniej, że się nasz penitent od tego nie poprawi?

— »Spiritus promptus est, caro infirma,« pannie doktorze!

-- Nie, niezupełnie tak! W naturze ludzkiej

jest dualizm. Dwa sprzeczne duchy walczą ze sobą, z tych jeden tylko posiedzie nieśmiertelność. Zwyciężony powróci do nicości. Stąd ta zaciekle między nami walka na życie lub śmierć.

Doktór Okołowicz spojrział na zegarek. Teraz właśnie ten z duchów, który u mnie najgłębiej siedzi, przypomina mi, że już pora na wieczerzę. Ksiądz proboszcz pozwoli sobie odwieść do domu?

— Jak długo jeszcze ona pociągnie?— zapytał ksiądz Wojciech, obracając się w stronę chorej.

— Proszę się tem nie krepować. Przy zapaleniu mózgu zgon może nastąpić lada chwila, ale równa szansa, że konanie potrwa dni parę.

— W każdym razie zostanę, aby przygotować stroskaną matkę do tego, co się ma stać. Do widzenia, doktorze.

Ksiądz Wojciech wrócił do plebanii długo po zachodzie słońca. Chora przy nim skoła, a chociaż przywykł do częstej styczności z umierającymi, czuł się fizycznie i moralnie zziębnięty do szpiku kości. W gabinecie oczekiwał go najdostojniejszy radża indyjski o śniadej cerze, w ubiorze haftowanym złotem i w turbanie połyskującym od drogocennych kamieni.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Ależ to Stefan! — zawołał ksiądz Wojciech, przypatrując mu się bacznie. — Przecież zamierzałeś być Mefistofelem?

— Mówiłem tak jedynie dla przypodobania się wujowi.

— Nie pochlebiając ci, nicponiu, muszę przyznać, że ci w tym stroju bardzo do twarzy. Oj, wie o tem chłopczyk zapewne, bo się tak wczesnie wy-sztafiował.

— Czemu nie miałby wiedzieć?—odrzekł wesoło zarozumialec. — Ale pośpieszyłem się tylko z powodu Augusta, który przysłał po mnie konie, abym go w porę ucharakteryzował.

Wkrótce potem piękny radża, otulony w sławucką burkę odjechał hrabiowską karetką.

— Młódzież się bawi, to dobrze — pomyślał ksiądz Wojciech — byle maskarada nie odbywała się w dziedzinie uczuć i myśli, a to nie lada pokusa przywłaszczyć sobie szaty, w których najbardziej nam do twarzy.





ROZDZIAŁ X.

Stefan przespał godzinę odejścia pociągu. Ksiądz Wojciech i Maryanna jednocześnie przyszli mu to oznajmić; a nie dziw było, że się zdrzemnął do południa, bo się położył wtedy zaledwie, gdy ksiądz Wojciech mszę odprawiał.

— Miła historya! — zawołał młodzieniec, wyciągając się w łóżku i ziewając z całych sił. A toż dzisiaj ostatni termin biletu powrotnego do Paryża.

— Słyszysz Maryanno! — rzekł ksiądz Wojciech skonfundowany. — Przecież pytałem cię, czy nie pora obudzić panicza.

— Wówczas nie była pora — odpowiedziała, otwierając drugą okiennicę. — Ale sam proboszcz od czego cały ranek w domu siedział?

— To co najmniej pięćdziesiąt rubli zmarnowanych — kalkulował ksiądz Wojciech — cały kapitalik dla jakiego nędzarza.

— Niech się wujaszek tak bardzo nie martwi—
uspokoił go wreszcie Stefan. — Ostatni termin bi-
letu — prawda; ale ja nie taki cymbał, żebym go
był brał!

— Uszy wytargam! — groził ks. Wojciech,
siadając na łóżku. — No, to teraz opowiadaj, zna-
komicie bawiłeś się wczoraj, co?

— Znakomicie! — powtórzył z przekonaniem
siostrzeniec. — Nawet przez sen kręciły mi się
w mózgu, jak w kalejdoskopie, piękne odaliski,
damy dworu Ludwika XV, słoneczniki we mnie
wpatrzone — prawdziwa bajka z tysiąca i jednej
nocy.

— A dużo było osób?

— Ani zliczyć! Trzeba przyznać Augustowi,
że, kiedy z czemś wystąpi to całą gębą, po pańsku.
Bufet wyśmienity, kolacyjka z szampanikiem —
»nec plus ultra!« Najładniej może wyglądała wu-
jenka, jako noc gwiazdzista, w czarnej muslinowej
sukni osypanej brylantami — musiały być i fałszy-
we w tej ilości — ale efekt był imponujący. Za to
hr. Iza — Boże odpuść! — co za czupiradło! Model
paryski bergère à la Watteau, ale wykonanie kary-
katura! Hanka także była, ale tylko do północy
i to w damskim pokoju, z którego nie wolno jej
było wysunąć głowy. Stałem przy niej na warcie
długi czas i rozmawialiśmy z sobą przez próg. Ko-
miczne były jej uwagi o tańczących: pan Jarmunt
tak Wandzię obejmuje, jakby była statuetką z por-
celany, a pan Witold Bogacki...

— Co słyhać o Krystynie? — przerwał mu ks. Wojciech.

Nie było jej wcale i dobrze, bo obawiałem się owacy, którą chcieli jej wyrzucić młodzi ludzie podług mnie trochę niewłaściwie, ofiarując en masse wszystkie bukieciki kotylionowe. Ale na zakończenie muszę opowiedzieć najzabawniejszą scenę: Piotrowin-Horkiewicz...

— Jakto? i ten był także?

— Niesmaczna figura, to prawda, wuju, ale nie zaprosić takiego pana, to można się narazić na wielkie nieprzyjemności. Otóż Horkiewiczowi ktoś poradził strój Pierrota, w którym też figurował. Podczas mazura zbliżył się do zwierciadła dla poprawienia peruki. Raptem z grona pań odezwał się szyderczy głosik: »quel Pierrot vain!« Horkiewicz zrozumiał: »Pierre, au vin« i rozwścieczony dopatrzył w tem alluzji do zajścia z Witoldem. Szczęściem winowajca był wśród płci pięknej i trzeba było, chcąc nie chcąc, połknąć pigułeczkę na sucho.

Wysłuchawszy resztę szczegółów o balu, ks. Wojciech rzekł, odchodząc.

— Rad jestem, żeście się dobrze bawili, a teraz pora wstawać panu dobrodziejowi, jeżeli ma ochotę towarzyszyć mi do p. Wołyńskiego, z którym potrzebuję pomówić.

Chciał bowiem ksiądz Wojciech zasięgnąć rady adwokata dla uzyskania kilkuset rubli, nale-

żących się pannie Walentynie Mireckiej. Stara panna poświęciła życie pielęgnowaniu sędziwych rodziców, po których nic jej nie zostało, oprócz niewypłacalnego weksłu.

Ulep dla muchy nie byłby tak ponętym, jak owa propozycja dla Stefana. W kwadrans był gotów i po skromnym obiedzie zaraz wyruszyli.

U Wołyńskich wyglądało dziwnie świątecznie. Doniczki z kwiatami w pełnym rozkwicie, otwarte pudło cukierków na stoliku, stary węgrzyn w pogotowiu. Panienki chichocące wesoło, wreszcie pan Wołyński z pogodnym uśmiechem na twarzy i — pan Jarmunt bardziej rozpromieniony niż zwykle.

Krystyna pospieszyła uwiadomić księdza Wojciecha, że przed chwilą odbyła się zamiana pierścionków między narzeczonymi.

Zaczęły się powinszowania i składanie życzeń, poczem wypito zdrowie młodej pary.

— Pierścionek Wandy wcale nie brzydki — zauważyła Hanka, strzelając oczyma w stronę Stefana, ale ja bym sobie zupełnie w innym guście wybrała.

— A mianowicie? — zapytał skwapliwie młodzieniec.

— Przedewszystkiem powinien być duży, że bym go łatwo zdjąć mogła.

Na takie *dictum*, zwrócił się Stefan do Krys-

tyny i odtąd jej asystował. Ksiądz Wojciech rozpoczął poważną rozmowę z p. Wołyńskim, narzeczeni gawędzili przy kominku, a Hanka nie wiedząc do kogo się przysiąc, przechadzała się markotnie po pokoju, gryząc czekoladkę. Wreszcie nie wytrzymała.

— Wąndziu, zaśpiewaj nam cokolwiek, bo na wieczne gruchanie ckliwo patrzeć.

— Świetna myśl! — podchwycił narzeczony. — Złota panno Wando! proszę o tę dumkę — wie pani, co się kończy słowami: »tyś się wśpiewała do serca mego uroczą piosenką twą.«

— A będzie mi pan akompaniował?

— Najchętniej, jeżeli niezbyt czarno wyglądają nuty — odrzekł Czesław, otwierając fortepian.

Są ludzie, którzy mają siłę hipnotyczną w oczach, Wanda miała ją w głosie. Prawdą uczucia i delikatnością cieniowania umiała rozrzewnić, rozweselić i nastroić podniosłe, nie nużąc nigdy.

Pieśń Helmunda wykonała artystycznie.

— A teraz ksiądz proboszcz prosi o cokolwiek Moniuszki — odezwał się pan Wołyński.

— Może aryę Jontka z »Halki« — zaproponował Stefan.

— Dobrze, ale uprzedzam, że to właściwe dla tenora!

I znowu wśród ogólnej ciszy srebrno-dźwięczny głos Wandy zabrzmiał tęsknie:

»Szumią jodły na gór szczytcie, szumią sobie w dal,
I młodemu smutne życie, gdy ma w sercu żal...«

Krystyna słuchała z przymkniętymi oczyma. Hanka zerknęła na Stefana, który już się był zbliżył do niej o parę krzeseł, a widząc, że patrzy na nią uporczywie, ściągnęła brwi:

»Nie mam żalu do nikogo, jeno do ciebie niebogo!
Oj Halino! Oj jedyna, dziewczyno moja!...«

Z pod łez Krystyny wymknęły się łzy i spłynęły jej po twarzy. Zauważył to tylko ksiądz Wojciech. Ona wstała i po cichu wyszła z pokoju.

— Córka pańska bardzo bierze do serca to, co ją spotkało — rzekł ksiądz Wojciech podczas pauzy do pana Wołyńskiego.

— To i chwała Bogu! Inaczej nigdy bym nie zezwolił na ten związek.

Pan Wołyński miał widocznie Wandę na myśli, ale ksiądz Wojciech na tem poprzestał, obawiając się poruszyć drażliwą strunę.

Pogłoska o zaręczeniu się Wandy na balu szybko rozeszła się po mieście i bliżsi znajomi poczęli się schodzić z powinszowaniem. Przerwano swobodę zażyłego grona i spłoszono tem księdza

Wojciecha i Stefana. Młodzieniec wyszedł rozmazony, bo mu Hanka powiedziała, że się jej bardzo podobał strój indyjskiego radży i że chciałyby mieć z niego rysunek lub fotografię.

Połowę drogi do domu przeszli w milczeniu.

— Wuju — odezwał się nagle Stefan. — Za dwa lata ile będzie miała lat Hanka?

— Osiemnaście!

I znowu głucho milczenie bez komentarzy, aż do samych drzwi plebanii.

* * *

Wobec rozstania się niepewność o jutro każdemu w oczy świeci i wywołuje napływ uczucia, który z duszy do duszy przelewa się zwykle milczeniem.

Księżda Wojciecha żal za gardło chwycił, gdy nazajutrz odwoził Stefana na kolej, ale zacisnął zęby i przemilczał o sobie. W drodze zamienili zaledwie kilka błahych frazesów.

— Czy masz dosyć drobnych przy sobie.

— Aż nadto! Ale jeżeli by do mnie przyszły jakie listy, to niech wujaszek odpieczętuje i prześle mi je do Paryża.

Stefan wszedł do wagonu i ułożywszy tłomok, spuścił okno.

— Proszę się kłaniać ode mnie wszystkim i Maryannie podziękować raz jeszcze za koszyk z prowizyami.

Ksiądz Wojciech pragnął zawołać do niego: »Niechże cię Panna Święta prowadzi i niech cię powróci na Ojczyzny łono takim rzetelnym i niezepsutym, jakim dotąd jesteś, chłopcze kochany!...« natomiast powiedział tylko: »Dobrze, żeś wybrał oddział dla niepalących, bo duszno w wagonie być musi.« Trzeci dzwonek i powoli pociąg ruszył.

Ksiądz Wojciech szedł obok kilka kroków, ale z każdą sekundą tracił na dystansie, więc zatrzymał się w końcu platformy. Długi rząd wagonów przeleciał mu przed oczami, niknąc w oddali.

— Po wszystkim! — westchnął, odwracając się od toru kolejowego, którego równoległe szyny sprawiały mu wrażenie wideł, przekłuwających serce. — Dzisiaj tu, jutro tam, a po jutrze Bóg raczy wiedzieć! Dla rozerwania smutnych myśli chciał wrócić pieszo, ale zaledwie przeszedł przez plac, usłyszał tuż za sobą galop konia i wesoły brzęk dzwoneczków. Sanki stanęły przed nim i dorożkarz Grablowski, ojciec Józika, tak uprzejmie ofiarował mu swe usługi, że nie sposób było odmówić przy dobrej znajomości małego zarobku. Usiedli więc w saneczkach i popędzili w dół ku Zarzeczu.

— Dobrze utrzymany koń, chlebobawca

powinien być zadowolony z Grablowskiego — pochwalił ksiądz Wojciech, zapominając w tej chwili o sobie, a przenosząc się w cudze położenie tą gimnastyką serca, którą uprawiał zawsze względem bliźnich.

— A nic sobie — odrzekł woźnica — dostaje obiad, cztery ruble w miesiąc i pięć groszy za sto; a żona od kiedy wyzdrowiała pracuje na siebie i dzieci. Ja rad choć z tego, bo lewą ręką wozic da się, a pracować ciężko, to już nie, ale drudzy buntują się, że aż strach. Na tej robocie co to była po Trzech Królach jak przyszło do rozpląty, tuż, tuż co nie wytlukli płatnika.

— Z tem wszystkiem, jakaż może być kontrola tego co wy zarabiacie?

— Nie bój się księżu proboszczu! Oni mądre, oni i zajmują tylko takich, co to o nich wiadomo, że ma sumienie. U nas katolik każdy, ale nie taki, co to tylko na praszporcie, na cudzy grosz splunie i nie rucha za plecami; ale za toż kiedy mu nie dają tego, co należy się, on gotów zabić do krwi złodzieja wyzyskiwacza.

Stanęli. Ksiądz Wojciech zapłacił za kurs z hojnym napiwkim. W plebanii przejął go chłodem widok opustoszałych pokoi. To krzesło już niepotrzebnie stoi przy oknie, bo na niem nikt nie siądzie dla rysowania świętej Anny. Maryanna może schować frażetowski kociołek, bo księdzu Wojciechowi równie dobrze smakuje herbata z samowara.

Pod stolikiem znalazł się zarzucony szkic: studyum wyciągniętej ręki. Ksiądz Wojciech podniósł go, wyprostował starannie i zawiesił nad biurkiem.

— Oto cel moich zabiegów! — pomyślał przytem — i w wyobraźni stanęło mu tysiące takich dłoni, wyciągniętych ku niemu.





ROZDZIAŁ XI.

Po odjeździe Stefana ksiądz Wojciech wrócił do monotonii codziennych obowiązków, z nowym zasobem energii do życia, uzbieranej podczas pobytu siostrzana, do którego miał iście ojcowskie przywiązanie.

W początku lutego Augustowie wyjechali za granicę. Zochna i Hanka przed odjazdem przyszyły go pożegnać. Spokój, niemal smutek, malujący się na twarzy Zochny stanowił kontrast z rozhukaną wesołością jej towarzyszki.

— Cieszyłabym się tyleż co i Hanka—tłumaczyła księdzu Wojciechowi—gdyby nie pierwsze rozstanie z mamą. Proszę mi obiecać — dodała z błagalnym spojrzeniem — że ksiądz proboszcz będzie często mamę odwiedzał, bo mi się wydaje, że wyjeżdżam gdzieś na koniec świata, i że beze mnie nikt nie potrafi otoczyć ją taką troskliwością, jakiej potrzebuje.

Ksiądz Wojciech obiecał zachodzić do hrabiny i przesyłać o niej piśmienne relacye. Wywiązywał się też zrazu sumiennie z tego zobowiązania, ale gdy nadszedł popielec i zdwojona Wielkopostna praca, zaniedbał je trochę pomimowoli.

Wiosna dawała się czuć w powietrzu. Stopniały śniegi, rozlały rynsztoki, bystrym prądem oczyszczając ulice ku zadowoleniu Wilnian, którym taki system kanalizacyjny wystarcza. Słońce dłużej świeciło i mocniej przygrzewało, czem uradowany ksiądz Wojciech przywdziewał już lżejsze okrycie. Maryanna, bez której sankcyi zaszła ta zmiana, zżymała się na nią, dowodząc, że rozsądny człowiek »do Św. Ducha nie zdejmuje kożucha.«

— Tak, ale i po Świętym Duchu chodzi dalej w kożuchu. Znamy się na waszych babskich przysłowiacz! — bronił się ksiądz Wojciech, chociaż nie zawsze mógł postawić na swoim, bo przy każdym nagłym opadnięciu rtęci płaszcz jego wiosenny znikał bez śladu z przedpokoju.

Na święty Kazimierz, z powodu sprzyjającej pogody, zjazd włościan z okolicznych powiatów był liczniejszy niż kiedykolwiek. Już w wigilię tej uroczystości robiły się przygotowania do kiermaszu na placu katedralnym. Obok gęstych rzędów wozów, przy których pozostała na noc ludność wiejska, pilnując przywiezionych na sprzedaż stosów smorgońskich obwarzaneczków, powiązanych w wianki, drewnianych statków gospodarskich i innych przedmiotów czysto swojskiego przemysłu, skupiał

się tłok, równający się nieledwie ściskowi, jaki podczas tego odpustu zalegał samą kaplicę Patrona Litwy. W braku spowiedników kapituła wezwwała kapłanów z parafii sąsiednich do pomocy. W tej liczbie był ksiądz Wojciech, na którego także spadła funkcyja kaznodziejska.

Ledwie świt zarumienił kraniec widnokregu, już ksiądz Wojciech odprawił mszę u świętego Michała, skąd miał pospieszyć do katedry. Ubodzy parafianie, zbudzeni wczesniejszym dzwonieniem, zebrali się w zwykłym komplecie, nie miarkując różnicy, chyba trochę sennieji kiwając się nad kantyczkami. Wnętrze kościoła było pogrążone w mroku, tylko za wysokimi oknami zaczynało szarzeć. Po zgaszeniu świec na ołtarzu, lampka przed Najświętszym Sakramentem rzuciła niezacięte jeszcze, drżące światelko.

Ksiądz Wojciech klęczał przy kracie z twarzą w dłoniach ukrytą. Szukał tu źródła, z którego miała płynąć wymowność słów jego, szukał myśli potężnej, zdolnej podnieść umysły, rozgrzać serca. Nim przemówi—słucha.

Pierzchły ciemności, dniało coraz wyraźniej, a naraz szyby w presbiteryum jakby w ogniu stały: weszło słońce. Ksiądz Wojciech powstał wśród powodzi złocistych promieni.

U wrót kościelnych czekał na niego młody człowiek, blady, z podsiniątemi oczyma i śladem bezsenności na twarzy.

— Jarmunt! co tobie? — zawołał proboszcz zatrwożony.

— Fatum!—odpowiedział ochryplym głosem i przez chwilę ni słowa więcej wydobyć nie mógł. Ksiądz Wojciech chciał go wciągnąć do plebanii, ale on oparł się temu, bo mu świeże powietrze ulgę sprawiało. Przeszli się wolnym krokiem wzdłuż pustej ulicy.

— Tonący brzytwy się chwyta a ja protekcji księdza proboszcza—rzekł wreszcie Czesław. Przychylne języki nic jeszcze nie rozpaplały?

Ksiądz Wojciech nie wiedział o niczem, więc Czesław ciągnął dalej: »Opłacić chwilę roztargnienia całym swoim mieniem, zrzeczeniem się zdobytego szczęścia i w dodatku dobrą sławą, to, proszę przyznać, zbyt drogo kosztuje. W kilku słowach oto co zaszło: Przedwczoraj Horkiewicz przyszedł do banku z przekazem, jak mi się zdawało na siedm tysięcy rubli. Wypłaciłem je. Przy sprawdzaniu kasy okazuje się deficyt na sześć tysięcy trzysta rubli, bo weksel wynosił tylko siedem setek. Pędzę do Horkiewicza, nie chce mnie przyjąć. Nie zważam na to i dostaję się przemocą do niego. Żądam zwrotu pieniędzy. On nazywa mnie wariatem i każe za drzwi wyrzucać.

-- Ale jakże można było popełnić taką nieuwagę w rachunku?

— Stało się! Horkiewicz nie odda, to już bez kwestyi! Cztery tysiące pokryłem natychmiast z pozostałości po ojcowskiej fortunie, resztę

mógłbym spłacać z pensyi, gdyby mię nadal w banku zatrzymali, ale w tem właśnie sęk!—Głos Jarmunta zdrzął. -- Najpierw wszyscy dyrektorowie muszą podpisać votum zaufania.

— Nie wątpię, że się na to zdobędą — rzekł ksiądz Wojciech wiedząc o dobrej opinii, jakiej używał Jarmunt.

— Tak, ale pytanie, czy wszyscy? W sprawie tak czysto honorowej, jedna czarna gałka unieważnia wszystkie inne; a ja mam uzasadnione obawy, że C-in nie podpisze.

— Ten, ten, co to z panną Julią?...

— Chce na moje miejsce podsunąć krewniaka i mogę gardło dać, że będzie mię szykanował. Ostatnia deska zbawienia, to nadzieja, że ksiądz proboszcz, mając liczne stosunki nawet w sferach urzędowych, potrafi temu zapobiedz.

Ksiądz Wojciech zamyślił się.

— Tylko hrabia August mógłby coś na to poradzić, bo jest popularny we wszystkich kołach. Jaka szkoda, że wyjechał!

— Kiedy tak, to proszę wybaczyć moją jeremiadę. Niepotrzebnie zająłem drogocenny czas proboszcza — odrzekł z goryczą Jarmunt, uchylając kapelusza.

Księdza Wojciecha zabolął przycinek, mniej jednak, niż sama niemożliwość zaradzenia krytycznemu położeniu.

— Wierzaj mi Czesławie, nie szczędziłbym zabiegów, ale stosunki moje jeszcze przed wyświę-

cenem ograniczyły się na umieszczeniu pewnej sumy à fonds perdu, w ręce pewnej osobistości wpływowej, którą już dawno przenieśli gdzieś do głębi Rosyi. Wstawić się za tobą jest moim obowiązkiem z urzędu, ale do najwyższej instancyi i w jej imieniu mówię tobie: »Nie rozpaczaj! cokolwiek się stanie — wyjdzie na twoją korzyść i możesz śmiało ludziom w oczy patrzeć, bo masz sumienie czyste. Żadne protestacye C-na ujmy ci przynieść nie mogą, skoro opinia publiczna jest po twojej stronie. Nie w banku, to gdzieindziej znajdziesz posadę i powoli uścisz się z długu; a ja zaręczam, że ta, która ci powierzyła przyszłość swoją, nie straci wiary do ciebie. Młodzi jesteście, możecie czekać. Każda przeszkoda wzmocni nowym węzłem wzajemne przywiązanie; tylko utrata praw do szacunku rozdziela na zawsze.

Ale Czesław zaledwie go słuchał, tak był zajęty jedynie C-nym i zdobyciem jego względów. Snać pod wpływem jakiegoś nowego pomysłu rozjaśniła mu się twarz zupełnie i rzekł do siebie półgłosem: »Nie może być, aby mi się nie udało trafić do tego faceta.« Potem, przybierając ton zwykłej wesołości, dodał: »Prawdziwą ulgę sprawiły mi słowa księdza proboszcza i w łeb już sobie nie palnę, choćby dyabli nie wiem jak kusili.« Pożegnał się prędko i odszedł żwawym krokiem.

— Lekkieicz! — pomyślał ksiądz Wojciech, patrząc chwilę za odchodzącym, ciężko westchnął i podążył do katedry.

Kilka godzin przesiedział ksiądz Wojciech w konfesyonale. O zwykłej porze wyszła suma, którą celebrował jeden z prałatów w asystencyi kleru; chór wykonywał mszę Cherubiniego. Olbrzymie żyrandole iskrzyły się od płonących świec; nawy kościelne były przepelnione mieszanym tłumem miejskim i wiejskim; podczas gdy w ławkach umieściły się rzędy strojnych kapeluszy, poprzedzielanych gdzieniegdzie mniej lub więcej wydatną łysiną. Przed Ewangelią ksiądz Wojciech wszedł na ambonę. Powiódł oczyma po tem istnem głów ludzkich morzu, falującym pod jego stopami: jakie ono wezbrane od burzących się namiętności! jakie rozhukane walką przeciwnych prądów! Panie, przez niegodne usta sługi Twego przemów jak niegdyś na morzu Galilejskiem, a nastanie cisza wielka.

Kończyło się Credo; chór śpiewał: »...Carnis resurrectionem, vitam aeternam.« Teraz kolej na księdza Wojciecha.

Pierwsze jego słowa, wypowiedziane głosem silnym, a dźwięcznym, były wyrazem czci dla świętego Kazimierza, królewicza ojczyzny ziemskiej i ojczyzny niebieskiej. »Najzasłużeńszy z potomków dynastyi potężnej rozumiał, że narody są to w wojsku Chrystusowem jeno legie odrębne, winne walczyć wspólnie dla Królestwa Bożego. I wiódł swe szeregi wódz dzielny porywającą siłą przykładu na zwycięstwo ducha nad materją, światła nad mocami ciemności. Nie wiemy ani dnia ani

godziny, w której się walka na widowni świata ma zakończyć, ale pamiętajmy, że nie na to powołani jesteśmy pod jedną chorągiew, abyśmy w zazdrości i nienawiści darli się z hufcami braci naszej. Trzymajmy się oburącz naszego sztandaru; niech powiewa u szczytu zdobytych twierdz ku rozszerzeniu granic miłości i sprawiedliwości, a przez nie cywilizacji i oświaty. Gina marnie legie, które ubiegając się o własną chlubę, o dobro Ojczyzny powszechnej nie dbają; tworzą się nowe na ich miejsce. Lecz jeśli wódz naczelny uznaje za potrzebne rozbić chwilowo regiment swych pionierów, aby je wysłać w szeregi regimentów innych, niech idą w imię Boże kopać szanice i rozsadzać zapory w cierpliwości; niech przodują innym. Bohaterstwo jednostek okryje sławą wspólną ich chorągiew!«

Ksiądz Wojciech mówił z uniesieniem głębokiego przekonania, a słowa jego padały jak krople ożywczej rosy na wysuszoną i zdeptaną ziemię. Objasniał znaczenie Królestwa Bożego, równość wszystkich walczących przed Bogiem, pomimo konieczności stopniowania w rangach od żołnierzy do dowódców. Przypomniał, iż ten najlepiej rozkazywać potrafi, kto najdoskonalej słuchać umiał; a odnośnie do świętego Kazimierza, iż panuje wiecznie, bo panował nad sobą; wreszcie rozniecał miłość wielkiej ojczyzny dusz. »Narzekamy na bezbożność świata, na brak wiary, na zubożenie! Ale czyśmy w sobie samych iskrę Bożą rozpalili?... Dosyć jednego płomyka, by pożar wzniecić, dosyć żywej

wiary u jednego, aby góry przenosić, cudów doka-
zać, cudów nawrócenia! Prośmy więc Tego, który
przyszedł na świat dla założenia Królestwa Bożego
w duszach naszych, aby nas natchnął dobrą wolą
współdziałania w myśl celów Bożych i powtarzajmy
słowa z modlitwy, której On nas uczył: Panie,
przyjdź Królestwo Twoje!»

Ksiądz Wojciech posiadał dar zwięzłej, treś-
ciwej wymowy. Gdy skończył, zgięły się wszyst-
kie kolana, pochyliły się czoła, a z ofiarowaniem
Mszy świętej połączyły się tysiączne ofiary z siebie
dla sprawy Bożej. Unikając ścisku, ksiądz Woj-
ciech po nabożeństwie wyszedł z kościoła przez za-
krystę i ogródek, otaczający katedrę od strony
publicznego skweru, a oddzielony odeń gęstemi za-
rośłami i żelazną sztachetką. Ksiądz Jaunis i ksiądz
Karaniewicz przechadzali się, oddychając świeżem
powietrzem przed nieszporamai.

— Rozanieliłeś nas, ojczulku, swoją elok-
wencyą — rzekł wikary, witając księdza Woj-
ciecha.

— Oho! Już Krasieński w robocie! — odparł
tenże z uśmiechem.

Ksiądz Karaniewicz zachwycił się tematem
kazania:

— Należało niektóre myśli więcej rozwinąć,
z większym naciskiem zgromić; no, ale w każdym
razie podałeś ludziom bochenek moralny, który bę-
dą sobie w domu przeżuwali.

— Lichy ze mnie tłumacz myśli Bożej! — odpowiedział ksiądz Wojciech z nieudaną szczerością. — Na to trzeba złotoustych. — Poczem zwrócił się do wikarego. — Otrzymałem kartkę od mego brata z wymówkami, że się tak rzadko widzimy i z zaproszeniem na herbatkę, jak będę którego wieczoru swobodnym. Pójdziemy razem, zgadzasz się, dobrodzieju?

Ksiądz Jaunis poruszył głową przecząco i mruknął coś o piątem kole.

— Nie durz mu głowy, proboszczu — wtrącił ksiądz Karaniewicz, co za ochota nalegać, kiedy mu się nie chce. Ot wiesz?—lepiej ja z tobą pójdę i, prawdę mówiąc, będzie mi to na rękę, bo oddawna szukam sposobności poznajomienia się z hrabią Zdzisławem. Mam do niego ważny bardzo interes.

Księdza Wojciecha ogarnęła złość.

— Pan Zdzisław Huzyna i bez tego dostępny dla wszystkich interesantów — odrzekł z impetem i wnet pożałował ostrego słowa.

— Co to dzisiaj mamy? wtorek? — obliczał ksiądz Karaniewicz, jakby nie słysząc słów księdza Wojciecha. — Jutro środa, rozpoczyna się czterdziesto-godzinne nabożeństwo u świętego Mikołaja — czwartek — piątek — będę swobodny dopiero w sobotę.

— Zapalczywość, to jeden z tych siedmiu grzechów głównych, z którego cała chmara powszednich — medytował w duchu ksiądz Wojciech.

— Doskonale się składa — ciągnął dalej ksiądz Karaniewicz. — W niedzielę po wieczorku i wyspać się dłużej będzie można. To już zajadę po proboszcza o dziewiątej na plebanię. Do widzenia w sobotę — kończył, ściskając dłoń księdza Wojciecha.

— W sobotę — powtórzył tenże bezmyślnie. Dziewiąta wydałaby mu się niemożliwie późną porą, gdyby sobie zdawał sprawę ze słów księdza Karaniewicza; ale uwagę miał całą zajęta tą swoją nieszczęśliwą zapalczywością i odchodził, przypominając sobie ze skruchą słowa świętego Piotra: »Kto chce żywot miłować i oglądać dni dobre, niech pohamuje język swój od złego.«





ROZDZIAŁ XII.

Panna Walentyna Mirecka żyła ze składek, zbieranych dla niej przez księdza Wojciecha, ale nie wiedziała o tem, gdyż przed dziesięciu laty, po śmierci jej rodziców, ksiądz Wojciech, widząc jej rozpaczliwe położenie, pogorszone jeszcze nagłym paraliżem nóg, przywłaszczył sobie pozostały niewypłacalny weksel, zobowiązując się płacić wysokie procenta, za które panna Walentyna rzekła się wspaniałomyślnie kapitału na rzecz przytułku świętego Michała. Niespodziewanie syn dłużnika dorobił się dość znacznego funduszu i księdzu Wojciechowi naraz zabłysła nadzieja odzyskania należności; ale pan Wołyński objaśnił, iż prawnie syn za długi ojca nie odpowiada; dobrowolnej zaś spłaty nie udało się wymódz.

Panna Mirecka mieszkała w obrębie parafii św. Mikołaja i do niej to zmierzał ks. Wojciech bocznemi zaułkami, unikając ulicy Wielkiej z powodu

szabasu i licznych tłumów żydostwa, używających w ten dzień przechadzki. Zastał starą pannę podnieconą i rozgorączkowaną niezwykłym zajęciem. Staroświecki fotel, z którego ruszyć się nie mogła, przysunięty był do piecyka; ogień w nim dogorywał. Przeglądała porozrzucane stare graciki i pozołkłe szpargały, wyjęte ze szkatułki, i niektóre z nich kolejno wrzucała w ogień, poczem z tlejącego się żaru, buchał płomień i rumienił jak zwykle bladą i dziwnie smutną twarz. Wyciągnęła do księdza wychudłą rękę.

— Zerwanie wszystkich więzów światowych daje prawdziwą swobodę ducha — rzekła uroczyście. — Tak pouczał mię dziś rano świątobliwy nasz proboszcz, ksiądz Karaniewicz. Były żelazne łańcuchy — te popękały; były sznury z jedwabiu — los je poprzecinał; teraz została tylko pajęczynka i tę zdmuchnąć trzeba — dodała, uśmiechając się łzawo do swych ukochanych pamiątek.

— Taka pajęczynka nie krępuje, jeno rany goi — upewniał ksiądz Wojciech, nachylając się po wiązkę zasuszonych kwiatów, która spadła z kolan panny Walentyny.

— Nie zagoi! — machnęła ręką z westchnieniem. Przy kwiatkach była kartka, a na niej urywek z wierszyka:

»Zabytki szczęścia! Łączcie nas z przeszłością,
I mówcie sercu, że gdzieś w innym świecie,
Może z nim razem i wy zakwitniecie!«

— Stare babsko już ze mnie — mówiła dalej, prostując się na swym fotelu — ale klin klinem wybić umiem. Zapomnienie — to odrętwienie umysłu, to śmierć moralna, od której nie obronią nas fatalaszki takie i wrzuciła ich całą garść do pieca. — Ból tylko może ochronić od zapomnienia, ból zapomnienie przemaga... niech się rana sączy !...«

Wsparła głowę na dłoni i patrzyła prosto w ogień, gdzie resztki »zabytków« w proch się rozsypywały. Typ kobiety z dawnych rycerskich czasów, była sama zabytkiem coraz już rzadszym...

Ksiądz Wojciech, przypominając sobie, że dziad jej w napoleońskiej poległ wojnie, spojrzął na ścianę, gdzie w mahoniowej ramie, ozdobionej orłami z brązu, wisiał starodawny sztych wielkiego wodza. Ściana była pusta.

— Co się stało z Napoleonem? — zapytał zdziwiony.

— Kto co posiada, ten powinien rozporządzać na chwałę Bożą. Oddałam księdzu Karaniewiczowi na restaurację kościoła.

Po krótkich odwiedzinach ksiądz Wojciech wychodził z mieszkania panny Walentyny pod naciskiem tej myśli, iż należałoby poszukać amatora na pewien zegar kurantowy niepotrzebnie stojący w rogu dobrze mu znanego gabinetu.

W środku ulicy chmara wróbli z wrzaskliwym świergotem wyszukiwała w śmieciach pożywienia lub słomki na gniazdko. Spłoszone nadejściem przechodnia, lub turkotem nielicznych w tej okolicy do-

rozek fruwały z miejsca na miejsce. Ksiądz Wojciech zauważył wśród zwyczajnych szaropiórczych towarzyszy białego jak śnieg wróbelka; zainteresowany tym niepospolitym okazem i śledząc ruchy skrzydlatej czeredki, szedł, gdzie go ona wiodła. Niebawem znalazł się na rogu Trockiej i Zawalnej.

Wśród krzyżujących się tramwajów, karetek na gumowych kołach, dorożek i ruskich zaprzęgów przeleciał elegancki faeton, w którym ksiądz Wojciech poznał wyraźnie panią Julię i obok niej Jarmunta. Przypomniały mu się słowa Czesława: »Nie może być, żeby mi się nie udało trafić do tego faceta,« i nie tyle gniew, ile obrzydzenie ogarnęło go na ten widok. Tymczasem ptaszęta znikły mu z oczu w pokrytych już dużymi pączkami zarosłach przyległego skweru. »Gdybyż to czarne owieczki były tak rzadkie, jak białe wróble!« myślał, wracając do plebanii.

Tego wieczora po raz ostatni ksiądz Wojciech nakręcił zegar pamiątkowy. W gabinecie było ciepło, lampa rzucała jasne światło na nierozcięte czasopisma i stanęła przed nim nęcąca rozkosz tych paru godzin ciszy i samotności, wieczornego wypoczynku, przeznaczonego na zaspokojenie potrzeb umysłu i obcowania z własną duszą. Zasiadł do czytania. Nie czytał jednak. Wybiła ósma; skrzypnęły zardzewiałe sprężyny i metalicznym dźwiękiem zabrzmiała nuta starej piosenki: »Pamiętasz, mówił rotmistrz do żołnierza,« zanim przebrzmiała, ksiądz Wojciech cofnął się myślą wstecz...

Na skraju liściastego boru, mieniaącego się bogatemi odcieniami jesiennego kolorytu, stoi młodzieniec na posterunku. Znużony daremnem czatowaniem na zwierzynę, opuścił strzelbę i przygląda się wiewiórcę, gryzącej orzechy. Zgrzyt ostrych ząbków i spadanie łupinek na liście leszczyny daje się słyszeć wyraźnie. Młodzieniec nastrojony filozoficznie patrzy i duma. Od tego dnia wiewiórka z myśli mu nie wychodzi. Jak ona, zbiera orzechy by je rozgryźć, najpierw z ciekawości, potem ze wściekłością, gdyż raz po raz znajduje skorupki puste lub zrobaczałe. Ogarnia go mania rozłupywania różnych skorupek: puste, zrobaczałe—zrobaczałe, puste; aż go pasya porywa i chciałby skorupę własnego mózgu rozłupać, aby się przekonać, co w niej siedzi. Młodzieniec przekształca się na człowieka dojrzałego; czego nie zdziałały lata, dokonywa jedna straszna doba. Wywieźli ją rankiem na cmentarz. On wrócił do pustego domu i nie śmie dotykać niczego, by nie ruszyć z miejsca przedmiotów, które ona ustawiła, ostatnia w ręku miała. Wahadło zegara rusza się wolno, jakby nic nie zaszło; na stoliku zaczęty ornat, księga o Naśladowaniu Chrystusa otwarta, elementarz, z którego uczyła dzieci wiejskie; same łupinki, ale jądro gdzie? gdzie dusza matki? jego matki!... Czy znowu próżnia i robak ukryty?... Dojrzały człowiek pada na kolana i jak dziecko szłocha. Znalazł jądro w sobie — dusza jego nieśmiertelna zerwała się ku wieczności.

»Pamiętasz, mówił rotmistrz do żołnierza,«
zadźwięczało powtórnie nad głową księdza Wojciecha.

Otworzył oczy i powoli rozejrzał się dokoła, jakby nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje.

— Cha! cha! Powinszować smacznej drzemki! — rozległ się tuż przy nim basowy śmiech księdza Karaniewicza — ale spieszmy się, bo będzie późno.

— Po co? Dokąd?

— Patrzcie no tylko! Jegomości już się zdaje, że to niedziela rano! Nie, nie, to sobotni wieczór i dorożka czeka.

Ksiądz Wojciech ani się obejrzał jak mu płaszcz nałożono i kapelusz do ręki wetknięto. W kwadrans potem zajeżdżali przed willę »Słoneczną.«

W przedsionku iluminacya, aż oczy razi blask lamp i świec. Kilku panów we frakach dysputuje, paląc cygara; przy zielonych stolikach siedzą winciarze. Drzwi od białej sali na oścież otwarte, ukośna perspektywa na liczne zebranie mężczyzn i dam; szmer głosów.

Ksiądz Wojciech przystanął odurzony. Miał wielką ochotę cofnąć się, ale ksiądz Karaniewicz już oddał płaszcz w ręce służącego. Pan Zdzisław spieszył na ich spotkanie.

— Nie wiedziałem, że dziś przyjdziecie, byłbym cię uprzedził. Przedstaw mię proszę.

— Ksiądz Karaniewicz, proboszcz od świętego Mikołaja — mój brat Zdzisław Huzyna.

Weszli. Uciszyło się w sali, wiele osób powstało, niektóre wymykały się ukradkiem do salonu obok.

Ksiądz Wojciech znał dużo osób z widzenia, ale prócz państwa Bogackich i doktora Okołowicza nikogo znajomego nie dostrzegł. Usiedli wśród najpoważniejszego grona, któremu, rada nie rada, musiała przewodniczyć gospodyni domu i wnet zawiązała się na nowo przerwana rozmowa o bankiecie u pana marszałka. Z grona mężczyzn niedaleko stojących, pomimo przytłumionych głosów, doleciała do uszu księdza Wojciecha wymiana zdań: »Pnie się po mitrę.« »Skąd wnioskujeś.« »Przebiez bez asystencyi nigdzie nie bywa.«

Otyły i podstarzały jegomość z pokierszowaną twarzą, opowiadał komuś swoje wrażenia:

— Siedziałem, że tak powiem, między młotem i kowadłem, bo ci dwaj, jak państwu wiadomo, od pół roku nie przemówili słowa do siebie. W takiej sytuacji...

Ale ksiądz Wojciech nie dosłyszał już co się »w takiej sytuacji« stało, gdyż uwagę jego zajął ks. Karaniewicz. Ze swobodą, którą możnaby wyrozumieć przy dawnej zażyłości, klepał pana Zdzisława po kolanie.

— I cóż hrabia na to? Autentyk powiadam, a rama jeszcze dużo więcej warta. Dawno już

ostrzyłem zęby na ten fancik dla hrabiego, jako dla największego znawcy w kraju; wreszcie go zdobyłem dzisiaj.

Pan Zdzisław był zelektryzowany pochwałami księdza Karaniewicza.

— A ile ma kosztować?

— Ej, proszę hrabiego, bagatelkę na kościół.

Podano herbatę i ogólna rozmowa o stosunkach towarzyskich ciągnęła się dalej z ożywieniem. Ksiądz Wojciech nie brał w niej udziału.

— Czy ksiądz proboszcz czytał ostatnią nowość literacką »Pan swego losu?« — zagadnął go jakiś poważny staruszek.

— Czytałam, ale nie byłam nią zachwycona — odpowiedziała za księdza Wojciecha matrona w atlasowej sukni, z wielką ametystową broszą.

Doktor Okołowicz zbliżył się był tymczasem do nich z drugiego końca sali.

— Jeżeli proboszcz nie zna tego, to polecam bardzo — powiedział — jest to jedna z najlepiej opracowanych rzeczy, jakie w tych czasach wyszły z druku.

— Prosimy o treść, doktorze — rzekła pani Irena, ożywiając się nagle — bo co do mnie, przyznaję otwarcie, że o tej nowości jeszcze nie słyszałam.

— Trudno, łaskawa pani, w kilku słowach dać wyobrażenie o dziele, którego główna wartość polega na analizie psychologicznej.

— Nie wierzcie mu państwo! — zawołała właścicielka ametystów. — O żadnej psychologii mowy tam nie ma. Przedmiot wcale nie taki suchy, tylko bardzo zawikłany, bo składa się z kilku części, a w każdej zmieniają się role i te same osobistości figurują w innym stosunku do siebie.

— W tem właśnie oryginalność pomysłu — rzekł siwy pan. — W prologu zapoznaje nas autor ze swym bohaterem, stojącym na rozstajnych drogach życia. Od tego, którą z nich wybierze zawisła jego przyszłość; ale nim wybór nastąpił zapada kurtyna i mamy dalej szereg obrazów, przedstawiających już tę przyszłość, a każdy w innem świetle, wedle różności wyboru, którego bohater ów był panem.

— A najciekawsze — wtrącił doktor Okołowicz — jest przeprowadzenie tych samych charakterów w zmienionych okolicznościach. Naprzykład ta pani Bronia, jako żona Artura i kochanka bohatera, to najnieomylniej ta sama intrygantka wyrafinowana, która w następnej części, jako prawowita już żona jego, wciąż pod nim dołki kopie.

— I na czemże się kończy? — zapytał ksiądz Wojciech.

— Sens moralny niby taki — odrzekł doktor — że losem człowieka rządzą nie okoliczności, ale jego wrodzone usposobienie. A że nasz bohater odziedziczył mizantropię i pesymizm i w żadnej fazie życia szczęśliwym być nie może, więc w łeb sobie pali.

Pani Bogacka zagrała wstępne akordy do wesołej śpiewki, którą miał wykonać jeden z młodych ludzi. Zrobił się ruch w sali i wędrówka ogólna ku fortepianowi. Staruszek zwrócił się do księdza Wojciecha.

— Przyznasz księżę proboszczu, że koniec książki chybiony. Jeżeli prawdą jest, że los człowieka zależy od wewnętrznego jego usposobienia, to niezawodnie każdy jest panem swego losu; bo człowiek nie pozostaje tylko takim, jakim go natura stworzyła, ale takim, jakim później, kształcąc się, sam siebie wyrobił.

Ksiądz Wojciech zdawał sobie w tej chwili sprawę, że dziwnym trafem, młody autor »Pana swego losu« powziął myśl odtworzenia czegoś nakształt »Przyszłości w świetle możebności«, nad którą Stefan pracował pędzlem, z wyjątkiem sensu moralnego bez moralności.

Po chwili zaczął mrugać na księdza Karaniewicza daremnie, więc rozmawiał dalej ze swym sąsiadem; wreszcie spostrzegłszy, że już godzina zbyt późna, zbliżył się do kolegi i uprzedził go o zamiarze wymknięcia się niepostrzeżenie. Ksiądz Karaniewicz opuścił z nim salę.

Nie uszło to uwagi pani Ireny, która wnet wyszła do przedsiönku, aby ich pożegnać. Doktor Okołowicz wybiegł za nią z narzutką na rękę.

— Pan doktor zbyt troskliwy o moje zdrowie — rzekła, dziękując mu.

— Dama kierowa pod miecz!—zawołał jeden z graczków, stukając kartą o stół.

— O nie! Przed damą kierową na kolana—szepnął doktor, otulając panią Irenę mantylką.

Zamknęły się drzwi za księżmi i służący zawołał dorożkę. Ksiądz Wojciech odwiózł księdza Karaniewicza do domu, a wysłuchawszy moc komplementów o swojej rodzinie, wrócił znużony do plebanii.

Na stole leżał telegram — otworzył pośpiesznie.

— Zochna atak sercowy. — Stan niebezpieczny. — Prosimy o mszę w Ostrej-Bramie. — August.

Pierwsza myśl księdza Wojciecha była o hrabinie: »Boże, daj jej siły do zniesienia tego ciosu! Nie, to być nie może — perswadował sobie — to tylko atak przejściowy.«

Nie mógł się jednak uspokoić i pod wrażeniem smutnej wieści czuł potrzebę wywnętrzenia się przed kimkolwiek.

— Maryanno! — zawołał — Maryanno! nie-szczęście się stało!

Ale Maryanna spała snem sprawiedliwych i nie przyszła.

Ksiądz Wojciech chodził wielkimi krokami po pokoju i mówił głośno sam do siebie. Przycho-dziła mu wciąż do głowy modlitwa psalmisty:

»Nie bierz mnie Panie w połowicy dni mo-ich!...« »Tylu schorzałych i zbolałych wygląda chwi-

li, w której zamkniesz im powieki; tyłu złamanych pracą, nieszczęściem, przesyconych życiem! O, śmierci! nie gaś blasku śmiejących się oczul... Tyłu samotnych, osieroconych na świecie—olbrzymi wybór! Nie zabieraj tych, do których lgną serca... Wszakże i temi wyrokami rządzi Najwyższa Mądrość i Nieskończona Miłość...»

Nazajutrz raniutko ksiądz Wojciech posłał chłopca do księdza Jaunisa z prośbą o wyręczenie go ze mszą u świętego Michała; sam zaś podążył do Ostrej-Bramy. Gdy się zbliżał do kaplicy, uderzono w sygnaturkę.

Księdzu Wojciechowi zdawało się, sam nie wiedział czemu, że to na Anioł-Pański dzwonią. Otrząsnął się z przygnębiającego przecucia, ale przy ołtarzu zamiast o wyzdrowienie, modlitwa o wieczny odpoczynek cisnęła mu się do ust; w końcu zdał wszystko na wolę Boską, ofiarował mszę na intencję Zochny, żywej lub umarłej, wedle zmiłowania Bożego.

Wracając, wstąpił do hrabiny; serce biło mu gwałtownie, gdy stanął u jej drzwi.

— Wyjechała nocnym kuryerem — oznajmił służący.

— A wiadomości nie było.

— Od wczoraj nie było. Panienska, słyhać, bardzo chora.

Trawiony niepokojem nie mógł się zabrać do żadnej pracy. Odwiedził jednego chorego, ale ten mieszkał niedaleko, więc wnet wrócił do plebanii.

W południe przyszedł pan Zdzisław.

— Są wieści? — zapytał ksiądz Wojciech u progu.

Ze ściągniętych brwi można już było wyczytać odpowiedź.

— Umarła! — rzekł.

Dwaj bracia usiedli naprzeciwko siebie. Ksiądz Wojciech przysunął pudełko cygar i obaj, paląc zawzięcie, jak gdyby to było ich najważniejszym zadaniem w tej chwili, milczeli.

— Nie dojechała w porę.

— Ale gdzie tam!

Znowu długa pauza.

— I ktoby się spodziewał?

Pan Zdzisław puszczał pierścienie dymu i patrzył, jak się ulatniały w powietrzu.

— Wojciechu, czy ty tak naprawdę wierzysz, że jest życie przyszłe?

— Niezłomnie.

— Bo ja to nie wiem. Czasem zdaje mi się, że tak, a czasem znowu, że na pewno nie. Ale wolną wolę mam — i jak mi życie do reszty zbrzydnie, no to nie będę się wdawał w żadne skrupuły i...

— Gdzie wolna wola, tam odpowiedzialność.

— Ee! Jakim mnie Panie Boże stworzyłeś, takim mnie masz. Tylko o jedno proszę: nie grzebcie mnie jak psa na polu. Umarły — chcę żyć w pamięci waszej; ostatecznie może to i jedyne przedłużenie życia jakie nas spotka kiedy,

a cmentarz—to wielka księga pamiątkowa, w której i moje imię niech będzie wyryte.

— Czemu nie? Odznaczaj się szlachetnymi czynami, a gdy umrzesz po Bożemu, to ci nawet wspaniały pomnik wystawimy — odrzekł ksiądz Wojciech żartobliwie, chcąc przerwać ciąg niezdrowych myśli brata. — Nie wiesz, gdzie ją chować będą?

— Nie. Przypuszczam, że w Snopówce.

Po wyjściu pana Zdzisława, ksiądz Wojciech odmówił officium za umarłych — a potem długo się jeszcze modlił za żywych, dotkniętych ciężką boleścią.





ROZDZIAŁ XIII.

Wróciła Zochna z kraju słońca i wiecznej zieleni. Przywieźli ją w metalowej trumnie i pochowali, stosując się do wypowiedzianego przez nią niegdyś żądania, na cmentarzu w Snopówce. Ksiądz Wojciech nie był na pogrzebie. Kosztowało go to dużo i w liście do hrabiny pisał: »Obowiązkom kapłańskim, spadającym na mnie w tej przedwielkanocnej porze, poświęcić muszę tę jedyną osłode, jaka w dzisiejszym smutku należałaby mi się z urzędu, oddanie ostatniej posługi naszej drogiej zmarłej. Niech ją Chrystus zmartwychwstający wprowadzi ze sobą do przybytków chwały, a tym, którzy po niej płaczą, Alleluja, mające się wkrótce rozlegać po całym chrześcijańskim świecie, niech będzie zapowiedzią wiecznego połączenia się żywych i umarłych w Chrystusie Panu.«

Hanka powróciła z pogrzebu pod opieką pani Zdzisławowej. Ponieważ jednak swoją troskliwość i oddaniem się stała się niezbędną hrabinie, pan Wołyński obiecał odwiedzić ją wkrótce do Snopówki na dłuższy pobyt. Zmieniła się do niepoznania. Już przed samą podróżą włosy, spadające w dużym warkoczu, zawinięto jej do góry, co jednym okręceniem ręki przekształciło ją z podlotka na panienkę. Równie szybko nastąpiła metamorfoza wewnętrzna przy zetknięciu się po raz pierwszy z lodowatą dłonią śmierci. Przybyło jej naraz kilka lat dojrzałości.

Ksiądz Wojciech znajdował się właśnie u pana Wołyńskiego w chwili, gdy Hanka przybyła do domu, lecz się oddalił natychmiast w obawie przytłumienia pierwszego jej wywnętrzenia się przed swojami. Widywał ją potem kilka razy z siostrami, a także u Zdzisławów, i miał wrażenie, że chce się do niego zbliżyć, tylko ją powstrzymuje wielka nieśmiałość, czy obecność innych osób. O śmierci Zochny mówiła ze spokojem, unikając wszakże dotkliwszych szczegółów.

Pobyt w San-Remo—opowiadała—z początku zdawał się służyć Zochnie. Robili długie wycieczki brzegiem morza aż do sąsiednich osad rybackich i Zochna wracała zawsze ze zdrowszą cerą i niczem niezamąconą wesołością. Na nieszczęście pewnego razu oddalili się nadto od willi, nie bacząc na niepewność pogody. Nadchodząca burza zmusiła ich do pospiesznego powrotu. Ostatnich kilkadzie-

siął kroków biegli pod górę, aby się schronić przed deszczem, który już padał dużemi kroplami. Zochnie zabrakło tchu i, jak kiedyś na szyciu u hrabiny, poczęła się dusić, spazmatycznie wciągając powietrze w płuca. Wezwany lekarz, skonstatowawszy wadę serca, przepisał silną dawkę dygitalisu i zalecił jak największy spokój. Augustowi zaś objawił, że stan chorej jest groźny, że nie ręczy za to, iżby się atak nie powtórzył, a skoro to się stanie możliwem, radził wieźć ją do Nauheimu. Na mocy tego oświadczenia telegramy do Wilna zostały wysłane niezwłocznie. Ku wieczorowi zrobiło się lepiej Zochnie, ale w nocy duszenie się wzmogło do strasznych męczarni. Prosiła sama o księdza. Nim zdążył przybyć, już nie żyła. O swoich własnych trwogach i wrażeniach Hanka milczała, natomiast z uwielbieniem mówiła o hrabinie, o jej niesłychanej mocy i spokojnem poddaniu się wyższemu wyrokowi, co też ogólny wzbudzało dla niej podziw.

Augustowie pozostali przy matce na wsi, dopiero gdy powoli wszystko wracało do normalnego trybu życia, wezwali dzieci do siebie. Ksiądz Wojciech poszedł odwiedzić Witka i Gusię wieczorem przed ich wyjazdem. Chłopczyk przeglądał kolorowe obrazki z Robinzonowych przygód, Gusia na czworakach była zajęta budowaniem domu z drewnianych klocków. Bona krzątała się, porządkując w szafach i komodach. W chwili, gdy ksiądz Wojciech wchodził, trąciła dziewczynkę nogą i z wykrzykiem niecierpliwym.

»Precz stąd«, usunęła ją ze swej drogi. Na widok księdza dzieci pobiegły na jego spotkanie, a Gusia, nie dając się uprzedzić braciszce, co prędzej oznajmiła:

— Ciocia Zosia do Bozi dzidziiii!...«

Bona zmieszana tem, że się ze swą gwałtownością wydała, nadrabiała miną i musztrowała dzieci bezustannie: »Witku trzymaj się prosto! — Gusia nóżkami sutannę księdzu proboszczowi zawala, proszę odejść!

— Nie, nie, damy sobie radę. Zostawcie im swobodę — upraszał daremnie ksiądz Wojciech, ale bona była zdecydowana naprawić swoją reputację.

— Witek będzie grzeczny i pokaże księdzu proboszczowi, jak pięknie umie katechizm; za to dostanie karmelka — dodała zachęcająco.

— Nie cem — brzmiała odpowiedź.

— Niech Witek słuca, bo będzie źle. Kto cię stworzył?

Milczenie.

— Tlójca — podpowiadała Gusia.

— To powiedz — gdzie jest Pan Bóg? próbowała bona z innego tonu.

— Pod stołem — odpowiedział lekceważąco przysły młodzieniec, mlaskając językiem.

Bona wpadła w furję.

— A to co znowu! Do kąta panicz pójdzie za obrazę Boską! — wołała, ciągnąc go za rękę.

-- Jeżeli wszędzie, to i pod stołem także — bronił się Witek. Ustępując jednak przed siłą, dał się wepchnąć do ciemnego kącika za firankę.

Ksiądz Wojciech nie mógł dłużej na to patrzeć.

— Przed wyjazdem zapewne jest dużo do pakowania, proszę sobie nie przerywać zajęcia—dzieci zostaną ze mną — rzekł nieco rozkazującym tonem do bony.

Gdy się oddaliła, Witek wysunął się ku środkowi pokoju, ale nie śmiał ruszyć się dalej i wlepiwszy oczy w podłogę, przestępował z jednej nóżki na drugą. Ksiądz Wojciech nie zważał na niego. Zajął się wyłącznie Gusią i wzięwszy ją na kolana, zaczął opowiadać o Józefie i nikczemnych jego braciach.

— Nie to, nie to, — zaprotestowała energicznie mała — tylko o łóżach z chleba — i ksiądz Wojciech był zniewolony powtórzyć jej epizod z życia świętej Elżbiety.

Gdy skończył, posadził ją przy lalkach, a zbliżywszy się do Witka, uniósł go z ziemi i postawił na oknie. Przed niemi na błękitnawo-zielonem pasmie zachodniego nieba świeciła już, migocąc brylantowem światłem, gwiazda wieczorna. Stał tak chwilę w zadumie, w końcu rzekł do malca:

— Widzisz co tam świeci wysoko na niebie?

--- Gwiazdka.

— Dobrze. Teraz chuchnij mocno na szybę i patrz, co się stanie z tą gwiazdką.

— Cała zamazana! — odrzekł chłopak.

— Prawda? A gdybyś był duży i jeszcze mocniej chuchnął na szkło, możeby ci gwiazdka zupełnie znikła z przed oczu. Ale ona by przez to nie spadła z nieba, tylko świeciłaby dalej dla innych, a ty jeden zamiast złotych promieni miałbyś noc ciemną przed sobą. Zapamiętaj to sobie, Witku: Pan Bóg jest jak ta gwiazda, do której oczy wznosimy, nie ujdziesz mu blasku wyziewem ust twoich, tylko sam sobie wzrok zamącić możesz.

Witek słuchał zapatrzony, wreszcie obrócił się do księdza Wojciecha.

— Ja nie cem, żeby było ciemno! — zawołał, obejmując go rączkami.

— I nie będzie, dopóki światło gwiazdki kochać nie przestaniesz.

Ksiądz Wojciech pozostał z dziećmi w serdecznej komitywie, aż je zawołano na spoczynek. Pożegnanie było pełne wylania i najlepszych obietnic.

Wracając do domu przez ciemną uliczkę, ksiądz ujrzał kilkunastu robotników, wychodzących z szynku z wielką wrzawą i wymianą grubiańskich słów. Zwolnił kroku, aby im dać czas do rozejścia się. Głosy i śmiechy wesołej kompanii oddalały się z nią razem. Tylko dwa indywidua pozostały jeszcze i posuwały się tuż przed księdzem Wojciechem. Jeden trzeźwiejszy prowadził zataczającego się towarzysza, wymierzając mu od czasu do czasu kukuksa w żebra dla podtrzymania równowagi.

Ksiądz Wojciech szedł jeszcze wolniej, żeby się z niemi nie zrównać.

— Hu-ha! Nawarzymy my im kaszy! a kto nie z nami, tego nożem w brzuch! — wrzeszczał pijany.

— Milcz ścierwo, bo cię do ciupy zasadzą.

— A niech cię plugawstwo zje żywego! — krzyknął godny opiekun, gdy wraz z swym pupilkiem runął do rynsztoka.

Ksiądz Wojciech przeszedł mimo nich. Na niebie w prostej linii ponad kończącym się zaułkiem gwiazda wieczorna błyszczała coraz jaśniej.

Nazajutrz w południe, odpoczywając jak zwykle po rannej wędrówce, ks. Wojciech przypomniał sobie zajście z pijakiem i przyszło mu na myśl, że jeden głos z owych dwóch nie był mu obcy. Im dłużej się nad tem zastanawiał, tem bardziej się utwierdzał w przekonaniu, że to był głos Studzińskiego, ojca Antka. »Muszę chłopca mieć na oku« mówił do siebie, »aby nie wstępował w ślady ojca, tembardziej, że ten młokos zaczyna szafować złotówkami, których pochodzenie wydaje mi się mglistem. Za dwumiesięczną pensję sprawił sobie buty, więc mu nic nie pozostało, a jednak do wspólni z Józikiem kupili sobie harmonijkę i ukradkiem palą papierosy.« To roztrząsanie godziwości lub niegodziwości prowadzenia się pana Antka zostało nagle przerwane. Odezwał się dzwonek i głos męski zapytał w sieni:

— Ksiądz proboszcz w domu?

— W domu — odpowiedziała Maryanna.

Wszedł Jarmunt. Ksiądz Wojciech nie ruszył się z miejsca. Zmieszany chłodnem przyjęciem, gość stanął, nie wiedząc, jak wybrnąć z tej sytuacji. Zapanowało milczenie.

— Może przeszkadzam?

— Bynajmniej.

Czesław, namyślając się od czego zacząć, zabawiał się obracaniem krzesła w różne strony, gdyż nie śmiał usiąść bez zaproszenia.

— Ksiądz proboszcz mnie znać nie chce — odezwał się po chwili.

— Przekonałem się, iż nie znałem wcale.

— A ja mniemałem, że ksiądz proboszcz ma szersze poglądy i wyrozumiałość na wszystko.

— Wyrozumieć można słabość natury ludzkiej wobec pokusy, ale haniebne lekceważenie uczuć, któremi dniem wprzód się paradowało — nigdy.

— Więc sądzi się człowieka wedle pozorów i na mocy tychże się go kamieniuje! I to ma być po chrześcijańsku! -- zawołał dotknięty do żywego Czesław.

— Błoto, którem sami siebie obrzucamy, przylega na zawsze.

— Ależ księżę proboszczu! Il ne faut pas être plus catholique, que le Pape! Dla ratowania mego stanowiska nie poświęciłem ani joty, prócz pozorów i to dla tego, że innego wyjścia nie było. Udawałem się o protekcję do księdza proboszcza—

daremnie; udawałem się o nią gdzieindziej z tymże skutkiem. W najkrytyczniejszej chwili otrzymałem bilecik, który za stawienie się na jedno wezwanie obiecywał mi wszystko załatwić. Nosilem się z tem zagadnieniem dni kilka i wyrozumowałem sobie, że samo pójście jeszcze do niczego nie zobowiązuje. Poszedłem. Wszystkie sieci były zastawiane, żeby mię złapać. Chodziło mianowicie o wzbudzenie zazdrości i przedstawienie ultimatum, dla niej rozluźnienie sakiewkowych sznurków, które się coraz szczelniej ściągały, dla mnie biała gałka. Sądziłem zrazu, że sobie drwinki ze mnie stroją, bo człowiek zrujnowany, bez grosza przy duszy, nie może się przedstawiać jako groźny współzawodnik, ale mi wytłomaczono, że imię moje, do którego przywiązała się fama kilkoletnich sentymentów od dawna służy za najskuteczniejszą pogroźkę i że zresztą staremu fujarze wszystko wmówić można. Oparłem się tym żądaniom. Próbowano wszelkich sposobów: i prośby i groźby, i łez i żartów; nakoniec pokazano mi drzwi tylko na to, żeby przywołać napowrót i obmyślić półśrodki, między którymi owa przejażdżka pod oknami banku. Staralem się to zmienić na mniej publiczne wystąpienie, ale spostrzeżono, że mięknę, i nie było już mowy o żadnych koncesyach. Cel nie uświęca środków, być może, ale każdy, kto liberalnie zapatruje się na rzeczy, przyzna, iż skutek przeze mnie osiągnięty wart poświęcenia błahych pozorów, tembardziej, że one honorowi mężczyzny przecie nie uwłaczają.

Ksiądz Wojciech w połowie opowiadania wstał i przechadzał się wzdłuż pokoju. Zatrzymał się teraz przed Jarmuntem i jał mu wyrzucać brak równowagi moralnej i zaślepienie, które go wtrąciło z deszczu pod rynnę. Dawniej mógł liczyć na stałość panny i uiszczenie się z długu, chociażby na jakim innem stanowisku. Dziś wszystko przepadło, bo gdyby nawet panna Wołyńska najgoręcej mu sprzyjała, nic z tego nie będzie. Ojciec nie zgodzi się powierzyć córki lekkomyślnemu człowiekowi, który nic sobie nie robi z fundamentalnych zasad i nie ma poczucia prostej przyzwoitości.

Jarmunt nie zdawał sobie sprawy, że jego papiery tak nisko stać mogły. Przeląkł się i spokorniał w mgnieniu oka. Tłumaczył dziesięć razy w kółko to samo, ale, że był szczery, a serce księdza Wojciecha nie było z kamienia, wyżebrał w końcu obietnicę przemówienia dobrego słowa za nim, chociaż co do skuteczności tego kroku ksiądz Wojciech nie robił mu żadnej nadziei.

Rozporządzając swobodną godziną po południu, zdecydował się ksiądz Wojciech pójść zbadać, jak się rzeczy mają u Wołyńskich. Pana nie było w domu, wyjechał za interesami do Mińska, skąd miał wrócić nazajutrz i następnym pociągiem wybrać się z Hanką do Snopówki. Krystyna z Wandą wychodziły właśnie na przechadzkę, ale zatrzymały się dla księdza Wojciecha. Hanka była chmurna i posepna, wyglądała z upragnieniem

wyjazdu do Snopówki i nie tała zadowolenia, że pani Ireny już tam nie zastanie; bo od czasu, jak się z hrabiną Augustową poróżniła, prawie słowa do siebie nie przemawiają, co na otaczających działa, jak ustawiczna kąpiel w zimnej wodzie. Ksiądz Wojciech nie słyszał nic dotąd o zajściu między siostrami i nie wiedział, że jego bratowa jeździła na pogrzeb Zochny jedynie pod przymusem pana Zdzisława. O przyczynie powaśnienia pa-nienki same nie wiedziały.

Po krótkiej pogawędce, przypominając, że Hanka zdawała się szukać sposobności zbliże-nia się do niego. Ksiądz Wojciech wyprawił starsze siostry na zamierzony spacer i został z nią sam.

Ledwie wyszły, Hanka zsunęła się na kolana i wsparłszy się o poręcz fotelu, na którym siedział ksiądz Wojciech, podniosła ku niemu swoje duże oczy łzami zaszełe.

— Księżę proboszczu! co się we mnie dzieje? co się ze mną stało? — zawołała z gwałtownym wybuchem uczucia. — Proszę mi wytłomaczyć, bo ja sama siebie zrozumieć nie mogę. Po śmierci Zochny tak mi było dobrze, taki spokój panował we mnie, jak gdyby ona mię ze sobą uniosła jeżeli nie do samego nieba, to przynajmniej na taką wy-żyne, skąd czas z wiecznością zlał się dla mnie w jedno, a życie to było tylko podnóżkiem, z któ-rego miałam skoczyć za nią w nieskończoność. Raptem—pękło całe moje rusztowanie i zleciałam

z takim impetem, że ziemia się pode mną rozsta-
piła i już chyba nie można zagrzeznąć w rozgory-
czenie i zniechęcenie głębiej ode mnie.

Znane dzieje! Ksiądz Wojciech wysłuchiwał
ich tysiące w tej lub innej formie i nie przerywał.
Wszakże to była jeszcze jedna przygnieciona dusza,
chcąca się pozbyć swego ciężaru, wydobyć się na
światło dzienne.

Hanka mówiła dalej z nerwowym dresz-
czem:

— Czy ona naprawdę nie żyje? Kto wie?...
Może jej dusza uwięziona w bezwładnym ciełe od-
bywa czyściec na ziemi? Mój Boże! aż strach po-
myśleć! Czasem budzę się w nocy, gdy deszcz
o szyby okien siecze i myślę sobie, jak jej tam
okropnie zimno być musi w tej wilgoci, na wydmu-
chu, gdzie wiatr dmie i świszczuje w suchych ga-
łęziach. I coś mnie do niej ciągnie, jakaś niepo-
hamowana chęć przeniesienia się na ten cmentarz,
gdzie ona leży opuszczona od wszystkich.

— Hanusiu — rzekł ksiądz Wojciech, biorąc
chłodne jej dłonie w swoje ręce—Opatrzność rządzi
prawem miłości i wielkiego zlitowania nad świa-
tem, nie zaś ponurą i nieprzebłaganą jakąś zemstą.
Każdy z nas stanie kiedyś przed sądem Bożym
i otrzyma zapłatę wedle zasług swoich, ale śmierć
jest dla wszystkich jednaka i w żadnym razie nie
jest ona pastwieniem się Wszechpotężnego nad
istotą przezeń stworzoną.

Hanka zamysliła się głęboko.

— Jeżeli dusza zupełnie rozstaje się z ciałem — rzekła, zastanawiając się — jakże będzie mogła pozbierać wszystkie swoje kosteczki w proch rozsypane na odgłos trąby anioła zmartwychwstania?

Uśmiechnął się ksiądz Wojciech.

— Dziecko ty moje! Jakże się dzieje, że my co kilka lat zmieniamy każdą najdrobniejszą częsteczkę, w skład naszego ciała wchodzącą, a jednak pozostajemy tym samym człowiekiem? Jakże się dzieje z ptakiem, któremu obcięte skrzydła na nowo odrastają? W człowieku, w roślinie, w każdym żyjącym organizmie jest pewna nietykalna forma, w której się odlewają odrębne jego kształty. Czem ona jest właściwie, umysł nasz nigdy dociec nie zdoła; ale, że istnieje, o tem przekonywa nas chociażby najprostsze doświadczenie z ziarnkiem, zasianem w ziemię. Zmiana klimatu i gruntu, z którego pokarm pochodzi, wpływa poniekąd na zewnętrzne objawy tej formy pierwotnej — cóż mówić dopiero o całkowitem przesadzeniu z padołu łez na żyzne obszary królestwa niebieskiego. Zaiste, wszyscy zmartwychwstaniemy, ale nie wszyscy odmienieni będziemy, bo nie wszyscy uczujemy jednakowy grunt pod stopami.

— A zatem o te nasze śmiertelne resztki nie potrzebujemy się więcej troszczyć, jak, na przykład, o włosy i paznokcie obcięte?

Znowu uśmiech przemknął po twarzy księdza Wojciecha.

— W przyrodzie nic się nie marnuje. Miło nam pomyśleć, że kiedyś z prochów naszych zazieleni się trawka, albo kwiatek wyrośnie. Zarówno w świecie ducha nic nie ginie. Dusza, rozsiewająca dobre słowa i uczynki dobre, udziela się sama bliźnim swoim i wyrasta stąd żniwo wielkie, które tylko myśl Boga objąć zdoła. Popioły Zochny zakwitną na tej ziemi; z duszy twojej Hanka cząsteczka już z nią uleciała do niebieskiej ojczyzny i przynosi owoce, o jakich nam jeszcze śnić się nie może.

Hanka ukryła twarz w dłoniach i długo tak klęczała, a gdy się podniosła znać było na niej rozjaśnienie ustalonej pogody uczuć i myśli.





ROZDZIAŁ XIV.

Na zaproszenie hrabiny wybrał się ksiądz Wojciech na jedną dobę do Snopówki. Tam miał się spotkać z panem Wołyńskim, z którym omówili już wspólny powrót do Wilna po zostawieniu Hanki na wsi do końca maja. Po kilku godzinach jazdy koleją i końmi, około trzeciej po południu, wjeżdżał ksiądz Wojciech do Snopówki.

Wspaniale przedstawiał się starami dębami zarosły park hrabiego Augusta: trawniki utrzymane jak puszyste kobierce, krzewy bzu, poczynającego rozkwitać, konary olbrzymich drzew, porośniętych dzikim winem—zlewały się w jeden sklepiony labirynt pachnącej świeżością zieleni. Miejscami wycięta perspektywa na sporą przestrzeń jeziora, potem znowu gąszcz, przez który przedostając się, promienie słoneczne rzucały szachownicę ze światła i cienia na zwirowaną drogę. W około klombu, gdzie biła fontanna, wiódł szeroki zajazd pod ko-

lumnadę staroświeckiego dworu. Zbyt imponujące ramy do pospolitego obrazu. Dom piętrowy, wybielony, bez żadnej pretensyi do stylu, taki, jakich się spotyka wiele na Litwie.

Hrabia August ubolewał nad tem i chętnie byłby obrócił dom stary na oficynę, a wystawił sobie pałac wedle swego gustu; ale niestety przodkowie jego mieli także poczucie piękna; przynajmniej wobec natury i obrali dla mieszkania swego najodpowiedniejsze miejsce. Przyszłoby zatem chyba zburzyć proajcowską siedzibę, a na to dziedzic nie mógł się zdecydować za życia matki.

Na księdza Wojciecha czekano z obiadem. Hrabia August zeszedł z ganku na jego spotkanie i prowadził do hrabiny.

Dziwnem bywa oddziaływanie ciężkiej boleści na niektóre uprzywilejowane istoty. Tracąc wszystko, zdają się wszystko pozyskiwać. Na obliczu hrabiny przebijało się uduchownienie, jakie osiągnąć można tylko przy zupełnem oderwaniu się od rzeczy ziemskich i każdemu, co ją widział po śmierci Zochny, pozostawało wrażenie, jak teraz księdzu Wojciechowi, który ją witał z uczuciem czci i rozrzewnienia: »Ona już z innego świata! Już nie należy do nas!«

Krótko trwała pierwsza między niemi rozmowa. Tym, którzy mają wspólne hasło, jedno słowo służy za klucz, otwierający samo wnętrze duszy. Hasłem zaś księdza Wojciecha i hrabiny była — wola Boża.

Na tarasie, wychodzącym na jezioro, podano czarną kawę. Hrabia August zagłębił się w gazecie, z której od czasu do czasu czytał głośno bardziej go obchodzące ustępy. Hanka otuliła pledem kolana hrabiny i usiadła na schodkach u jej nóg; hrabina Augustowa w letniej toalecie, w kapeluszu z białych piór i w białych rękawiczkach wyglądała jak w gościnie, chociaż u siebie; pan Wołyński trochę na uboczu palił cygaro. Ksiądz Wojciech, siedząc pośrodku z założonymi rękami, patrzył w dal; pod urokiem wiejskiej swobody i ożywczego powietrza zdawał się chcieć wciągnąć całą wiosnę w siebie. Nad oleandrami i fuksjami, zdobiaczami balustradę, brzęczały roje much i pszczołek; opodal dziewczęta ogrodowe w różnobarwnej odzieży oczyszczały trawniki ze pstrokacizny stokrotek i dzikich ziół.

— W ubiegły czwartek — czytał hrabia August — toczyła się w sądzie okręgowym sprawa przemysłowca pana Strzemki, oskarżonego o przedłużanie godzin pracy robotnikom ponad ustanowioną normę, oraz o zatrzymywanie, jako kary, znacznej części ich płacy. Podsądny został uniewinniony.

— A to jedynie z racji składu przysięgłych — objaśnił pan Wołyński — których los wyznaczył akurat z pośród zainteresowanych w przytłumianiu domagań się klasy robotniczej. Na ich miejscu jabym stanowczo apelował.

— Miałem kiedyś do czynienia z tym panem

Strzemką — opowiadał książdz Wojciech. — Staralem się skłonić go do wypłacenia ojcowskiego długu, kilkuset rubli, należących się pewnej bardzo biednej kobiecie, sparaliżowanej. Ma się rozumieć, że mi wręcz odmówił.

Hrabina z westchnieniem zauważyła, że wieczność ledwie wystarczy na wynagrodzenie wszystkich krzywd ludzkich.

— Wiecznością rozporządza najwyższa sprawiedliwość — odparł pan Wołyński — i do niej zwracać się musimy we wszystkich razach, gdy prawodawstwo nasze nie jest w stanie zadośćuczynić każdemu wedle miary słuszności; wszakże nie idzie za tem, żeby się sprawiedliwość zrzekła swego panowania na ziemi. Nie tylko my prawnicy, ale wszyscy bez wyjątku powinni służyć jej sprawie z całym oddaniem się i brać do serca, jako rzecz najwyższej doniosłości, każde jej zwycięstwo lub porażkę, gdziekolwiek one się wydarzają.

— To bądźmy już konsekwentni do końca — zauważył z żywością hrabia August — i dla usunięcia wszelkiej niesprawiedliwości, rozdajmy między bliźnich wszystko, co sami posiadamy, a to w teoryi bardzo pięknie brzmi, a w praktyce graniczny z absurdem. Jeżeli bowiem Paweł zrzeka się swego domu na korzyść Gawła — to Gaweł, równie święty człowiek, nie ma prawa z niego korzystać. Paweł, uzdolniony do pracy umysłowej, pójdzie przez pokorę kopać kartofle i zakopie nieoceniony skarb swej inteligencji, a Gaweł będzie

mu wrywał motykę z rąk i będą sobie w drogę włązili dla innych pobudek, ale z równie pożytecznym skutkiem, co i pierwej.

Hrabina zaprotestowała.

— Gdyby dane nam było jasnovidzenie przyczyn i celów — rzekła — nie dobijalibyśmy się, jak przypuszczasz Augustcie, ostatnich miejsc dla pozyskania pierwszych, bo widzielibyśmy, że Bóg, który jest Dobrem nieskończonem, jedną tylko drogą pociąga wszystkich ku sobie, a tą drogą jest zjednoczenie naszej woli z Jego wolą.

Łzy miała w oczach, myśląc, jak chętnie zamieniłaby się na dolę najuboższych, byle jej Zochnę wrócono.

— Przepraszam, a któż mi powie, że to, a nie tamto, jest wolą Bożą? Aniołowie już dawno przestali ludziom zwiastować, co mają czynić, a kierując się radami ewangelicznymi, wjeżdża się zaraz w jakąś ostateczność.

Poruszył się ksiądz Wojciech na ten argument.

— Wola Boża wyraża się przedewszystkiem w przykazaniu »miłuj bliźniego«, lecz to nie znaczy— dogadzaj mu we wszystkich jego zachceniach: z pastucha zrób ekonoma, z ekonoma współwłaściciela, gdyż wymagania rosną w miarę, jak są zaspakajane. »Miłuj bliźniego!« to znaczy kochaj jego duszę jak swoją własną; bo jeżeli jej się krzywda dzieje, jeżeli nikt nie obudził w niej świadomości siebie i poczucia nieśmiertelnych władz, ci za nią odpo-

wiedzialni będą, którzy zaniedbali szerzyć oświatę sami ją posiadając.

Tu hr. Augustowa, przysłuchująca się dotąd w milczeniu, odważyła się wypowiedzieć swe zdanie:

— Zapewne, zasady wiary powinny być wpo-
jone w każde dziecko, a z niemi poszanowanie cu-
dzej własności i posłuszeństwo ustanowionym prawom. Temu zadaniu odpowiada należycie gorliwość naszych kapłanów, ale co do oświaty dalszej, sądzę, że w wielu razach przynosi ona więcej szkody, niż pożytku. Jeżeli np. będziemy rozwijać w prostym ludzie poczucia estetyczne, to rozbudzi-
my w nim tylko niezadowolenie ze swego losu, nie polepszając go wcale. Słusznie twierdził mój mąż, że chociażbyśmy my, ludzie zamożni, rzekli się naszych majątności, cały świat nie mógłby chodzić po froterowanych posadzkach i jadać na srebrze. Ogromna większość pozostanie proletaryatem i dla tego lepiej nie wzbudzać w nich wstrętu i obrzydzenia do warunków, wśród których żyć muszą.

— Daruje pani hrabina, ale zasady naszej wiary, głęboko zrozumiane, obejmują wszechstronną oświatę, albowiem powinny wyrabiać tych, którzy ją wyznają, na czcicieli prawdy, piękna i dobra we wszystkich ich objawach na ziemi. Im więcej kto posiada zasobów w sobie, tem mniej mu zależy na zewnętrznem otoczeniu, a piękność duszy, promieniejąca dokoła, rzuca światło ideału na najnędzniejsze poddasze, na najciemniejszy kąt wilgotnego podziemia.

Zawiązała się żywa dyskusya.

Pan Wołyński utrzymywał, że oświata chybia celu z dwóch przyczyn: albo z powodu braku gruntownej podstawy, którą jest wiara, albo dla tego, że ci, którzy pracują nad ludem niedostatecznie wpajają weń przeświadczenie o potrzebie oświaty dla jej istotnej wartości i nie wykorzystują bezsensownego, a tak rozpowszechnionego pojęcia, iż trochę liźniętej nauki upoważnia do pięcia się zaraz na tak zwane szlachetne stanowiska. Ksiądz Wojciech wreszcie wyraził opinię, iż ogólnego wykształcenia nabiera się nie tyle z książek i w szkole, ile przez obcowanie z ludźmi o wyższym intelektualno-moralnym poziomie i że dla tego tak ważnem jest posłannictwo osób dobrej woli, które, powodując się prawdziwą miłością bliźniego, żyją w świecie i nie szukają wyłącznie towarzystwa sobie równych, ani nie zamykają się same w sobie, ale udzielają się wszystkim dokoła, pewne, że skarby serca i umysłu mnożą się w miarę, jak się z nich czerpie dla drugich.

— Chętnie bym złożyła mój grosz wdowi w ofierze — rzekła Hanka. — Ale czegożbym potrafiła uczyć? chyba czytać z zielonej księgi, w błękit oprawnej, w której promienie słońca kreślą dla mnie złote literki.

Hrabina położyła dłoń na głowie Hanki i nachylając się ku niej, szepnęła:

— A czy tam napisane dlaczego ona od nas odeszła?

— To i ja potrafię — odpowiedziała na oświadczenie Hanki hrabina Augustowa, powstając. — Mam właśnie ochotę pójść wyczytać z kwiatów truskawkowych, czy dużo będzie jagód w tym roku. Może ksiądz proboszcz zechce mi towarzyszyć?

Poszli cienistym szpalerem do owocowego ogrodu. Żle się zapowiadały tegoroczne plony, sądząc już po liściach lip, objedzonych przez liszki, niby na wzór przezroczystej koronki. Hrabina Augustowa zerwała gałązkę i zwróciła uwagę księdza Wojciecha, że na niej prócz siateczek z delikatnych włókien nic prawie zieloności nie pozostało. Z gałązki osunęła się gąsiennica i spadła u jej nóg; hrabina Augustowa cofnęła się z okrzykiem wstrętu i końcem parasolki odrzuciła ją w krzaki.

— Brzydzą się temi stworzeniami tak samo jak i niektórymi osobistościami, które, gdy mi w drogę włożą, nie robię sobie z nimi więcej ceremonii — rzekła — ale nie jestem egoistką i lubię sprzątać je także z pod cudzych nóg — co mi nieraz za złe biorą, nawet najbliżsi, którzy powinni by lepiej oceniać moje dobre chęci.

— Gdy się w cudzą drogę zachodzi, chociażby z miotłą w ręku, można czasem się narazić na los gąsienniczki — odparł ksiądz Wojciech z uśmiechem.

— Nie mogę wytłomaczyć się dokładniej, bo uszłabym może za plotkarkę, ale jeżeli ksiądz

proboszcz choć trochę domyślny, to mi przyzna kompletną racją.

— Przyznaję, lepiej za mało powiedzieć niż za dużo.

Doszli do poziomkowych kwater. Hrabina Augustowa, nachylona, rozgarniała liście i przegłądała mające dojrzeć jagody.

— Gdybym lubiła intrygi, miała bym pole do popisu — odezwała się, nie podnosząc oczu z ziemi — trzeba przyznać, że to paskudna historia z tym Jarmuntem, ale że nie jestem ani matką, ani siostrą panny Wołyńskiej, nie powinno mnie to obchodzić.

Prowadziła księdza Wojciecha dalej wzdłuż szparagarni do inspektów.

— Jakie spore ogórki — zauważył ksiądz Wojciech.

— Wszak małżeństwo zerwane? nie prawda? — zagadnęła nagle, odwracając się.—Mnie nic do tego, ale ksiądz proboszcz powinien stanowcze veto położyć.

I popłynął cały potok zarzutów na Jarmunta. Ksiądz Wojciech próbował kilkakrotnie przyjść do słowa, ale mu się nie udało, więc dał pokój.

— Wandę należałoby jak najspieszniej wydać za mąż—ciągnęła dalej hrabina Augustowa— bądź co bądź jej pozycja jako panny, bywającej w świecie, jest, jakże to powiedzieć... skompromitowana. O świetnej partyi dla niej marzyć nie podobna; ale żeby, na przykład, za człowieka średnie-

go wieku, o stałej klienteli i z dość znacznym kapitalikiem odłożonym? co?... nie dałoby się tego urządzić?

— Daję słowo, nie zgaduję, kogo pani ma na myśli.

— Nie obwijając w bawełnę, o doktorze Okołowiczu myślałam.

— Bez dowodów wzajemnej sympatii, niebezpiecznie kartować maryaże.

— Ta się znajdzie z czasem! Ułożyłam cały planik, aby dać im sposobność bliższego pozajomienia się.

I zaczęła opowiadać, jakby mogła ułatwić doktorowi widywanie się z Wandą i jak ze wszechmiar byłaby z nich dobrana para.

Ksiądz Wojciech nie podzielał tego zdania. Doktorowi nie miał wprawdzie nic do zarzucenia, ale wątpił, czyby się mógł podobać Wandzie, z którą nie wiele miał wspólnego w gustach, pojęciach i usposobieniu.

Przechadzka przedłużyła się godzinę całą. Różne tematy były poruszane, między innymi nadmieniał ksiądz Wojciech o potrzebie zmienienia bony przy dzieciach, ale hrabina okazywała więcej zajęcia do kwestyi dalszych i do tych powracała. Wtem dał się słyszeć turkot powozu. Ksiądz Wojciech obrócił się w stronę, skąd pochodził, ale mu zarośla zakrywały widok.

— To konie zachodzą po moją teściowę — objaśniła hrabina Augustowa. — Codzień ku wie-

czorowi jeździ na grób Zochny. Trzeba nam wracać, bo z pewnością zechce prosić księdza proboszcza ze sobą.

Hanka zwykle towarzyszyła hrabinie; dziś zabrał jej miejsce ksiądz Wojciech.

Stosownie do żądania Zochny, pochowano ją na starym cmentarzyku na wzgórzu, o jaką wiorstę od dworu; ale objeżdżanie w koło odnogi jeziora przedłużało odległość. Hrabina opowiadała księdzu Wojciechowi w drodze, iż, gdyby nie ta chęć samej Zochny, byłaby pozbawiona pociechy częstego odwiedzania jej mogiły, albowiem zmarli członkowie rodziny Lidzkich byli zwykle dotąd chowani w sklepach parafialnego kościoła, oddalonego o całe dwie mile.

Grób Zochny był osypany kwiatami, nad nim wysoki granitowy krzyż i kamienna płyta z datą i nazwiskiem. Pomiedzy dwoma wysmukłemi sosnami ławeczka, skąd widok na rozległą równinę, na jezioro i zielone pastwiska. Ksiądz Wojciech odkrył głowę i ukląkł. Obok, w ciszy, bez łez, modliła się matka długą chwilę — poczem usiadła na ławeczce.

Konwalie i fiołki, przesiąknięte wieczorną rosą, wydawały silny zapach; nad moczarami zaczynały się unosić białe opary, zniżało się słońce.

Ksiądz Wojciech powstał i oparłszy się o pień drzewa, spoglądał na krzyż.

— Czy pamięta hrabina rozmowę jedną, w której po kolei wyrażone były marzenia o nie-

śmiertelności? Doszliśmy do wniosku, iż skarbiec nieskończoności dość bogaty, by danem było z niego »każdemu wedle wiary jego«.

Hrabina podniosła głowę z wyrazem potwierdzenia. Tak, ja się pytałam wówczas, czy w tej ziemi obiecanej odnajdzie się wszystkich, którzy nas poprzedzili i tych, co za nami podążają, bo uczucia moje były w rozdziale między niebem i ziemią. Nie przeczuwałam, że się szale tak prędko przeważać mają na tamtą stronę.

— Ona marzyła wtedy o krainie wiecznej młodości — przypomniał ksiądz Wojciech, obracając się ku słońcu, i jakby odpowiedź na nasze dociekania powołaną tam została w samym kwiecie wieku.

Za welonem przezroczystych obłoków zsuwał się wolno czerwony krąg słoneczny, którego blask nie raził oczu, lecz krwawo zabarwiał uśpione powierzchnie wód. Z po za widnokregu, tam, gdzie słońce zająć miało, na szarem tle lżejszych obłoków ukazał się szpiczasty rąbek czarnej chmury, niby palec, wskazujący w górę. Spokój był w naturze, nie przerwany najmniejszym powiewem.

— Czemu ona — nie ja? Panie! Panie! — wyrwała się z ust osieroconej matki pierwsza rozdzierająca skarga.

Tymczasem chmura o wydłużonym krańcu przybierała mglisty kształt ręki, trzymającej zachodzącą za nią tarczę słoneczną — obraz olbrzymiej ofiary wzniesionej ku niebiosom. Ksiądz Wojciech i hrabina stali w niemem porozumieniu.

— Na zadośćuczynienie — dziękczynienie i ubłaganie — rzekł ksiądz, pochylając czoło.

Chwila tylko porywającego złudzenia, ale w tej jednej chwili zdało się, iż ziemia przestała się obracać w niebo zapatrzona.

Gaśnie słońce — już znika wążką purpurową kreską. Wzrok hrabiny utonął w przestworzu — półgłosem odezwała się:

— Któż ciebie nie pojmie zielona księgo, w błękit oprawna?

Zgasło. Po świecie przebiegł dreszcz szarego zmroku.





ROZDZIAŁ XV.

Następnego dnia ksiądz Wojciech i pan Wołyński opuszczali razem Snopówkę. Całe towarzystwo zebrało się na ganku, aby ich pożegnać; nawet dzieci przybiegły z wymówkami, że im ksiądz Wojciech nie poświęcił tym razem ani pół godzinki »na bajeczki.« Hrabina dziękowała panu Wołyńskiemu za pozostawienie jej Hanki na cały miesiąc.

— Do prędkiego powitania na nowo w Snopówce! — wołał za odjeżdżającymi hrabia August.

Gdy dwór zniknął im z oczu, pan Wołyński zauważył:

— Gościnni ludzie! Podejmowali nas z uprzejmością prawdziwie ujmującą; a jednak co za porównanie młodej generacyi z dawniejszą!

— Bo też synowa ani się umywa do swej teściowej — odparł ksiądz Wojciech.

tyciusieńką, malusieńką, przypomina się prawie z niedowierzaniem, że z niej wyrastają owi spychacze nasi, którym trzeba będzie usunąć się z drogi. Dusza ze wszystkimi władzami swemi powinna rozwijać się i rosnać — bo rosnać znaczy coraz wyżej sięgać — ale nie ma prawa zestarzeć się na podobieństwo swej cielesnej powłoki, gdyż nie będzie jak ona leżeć butwiejąca w oczekiwaniu zmartwychwstania. Skądinąd korzystnie jest po zewnętrznych oznakach poznawać, że i nam niedługo wypadnie ustąpić miejsca drugim, albowiem człowiek z taką pewnością czuje się wiecznym, iż go-tów nie baczyć na to, że żyje w czasie, i że się wieczność jego dopiero gdzieindziej rozpocznie.

Tak dumał ksiądz Wojciech przy otwartem oknie plebanii, z którego nie miał już więcej korzyść tej jesieni. Było mu bowiem zapowiedziane na dzień jutrzejszy przejście na porządek zimowy, zaczynający się od wstawiania podwójnych okien i oklejania ich szczelnie, za wyjątkiem lufcików. Ksiądz Wojciech lubił dużo powietrza w mieszkaniu i chętnieby szeroko okna roztwierał, ale usłyszawszy, że to zbytek, za który odpowiadać będą rachunki opałowe, nie sprzeciwiał się dawnym zwyczajom Maryanny. Teraz właśnie okiem znawczyni sortowała kolorowe włóczki, cięła je drobnutko na sieczkę i układała w kunsztowne desenie na pasmach białej waty. Przy tej robocie była zwykle przejęta i milcząca, ale teraz po półgodzinnej przerwie powróciła do niej z kuchni cała w pą-

sach i z taką zaciętością nożycami rznęła, jak gdyby jakiego przeciwnika rozciartowywała. Ksiądz Wojciech zaraz spostrzegł niezwykłą irytację, a wiedząc, że staruszka w takich razach potrzebuje się wygadać, zaczął z nią rozmowę o obojętnych rzeczach.

— Czy kazałaś Antkowi odebrać pakę zagraniczną, na którą podpisałem receptę?

— Kazałaś — potwierdziła sucho.

— W takim razie nie zapomnij jej odesłać do pana Wołyńskiego, bo to dla panny Hanki.

Maryanna powściągała się widocznie, milczała dopóki mogła, nareszcie wybuchnęła:

— Ta Mikołajowa to jęczycziwa sroka, ale że jest prawda w tem, co ona mówi, za to jabym jej oczy wydrapała. Kupuję u niej dwa sery: »Sześć funtów« powiada. Wierzyć nie chce się! więc odbieram jej wagę i sama przez okulary patrzę, aż tu akurat ćwierć ćwierci nie dostaje.—A widzisz? Na to u niej żółć się przelewa, więc dawaj mnie wytykać, że kiedy ja taka bystra, to czemu ja swoich paniczów bystrości nie nauczyła póki młodzi byli, a to ślepi, jak krety. Łżesz! mówię jej, ale teraz proboszczowi w oczy powiem: prawda! Pan Zdzisław, to już z urodzenia nie dowidzi — ciągnęła z rosnącym oburzeniem — ale ksiądz! i nie rozumieć tego, że kazania o miłości bliźniego, które Maryanna jeszcze nie dosyć do serca bierze, inni sobie na kpinki przekręcają.

Nastąpiło zagmatwane opowiadanie, przeplatane własnymi jej uwagami, z którego wreszcie ksiądz Wojciech zrozumiał, że Mikołajowa na całe miasto rozpowiada, jakoby wioząc mleczywo, spotkała pod samą Wilejką panią Zdzisławową, spacerującą w lesie z doktorem Okołowiczem. Ścisnęło się serce księdza Wojciecha, gdyż potwierdzały się obawy, do których nie chciał się przyznać nawet przed samym sobą; ale plotkom nie folgował nigdy.

— Wstydziała by się Maryanna takie bajki powtarzać! — rzekł z naganą.

— Bajki opowiadam? doprawdy?... No, to proszę i sens moralny posłuchać — wołała coraz gwałtowniej, nie przebierając w słowach. — Proboszcz myśli, że Mikołajowa jedna paplać umie? Uszy wiedną słuchając, co drudzy mówią! Że tylko przypomnę sobie Antka z Józikiem, te szelmy, łobuzy!... Jak świat światem nie było zacniejszej rodziny, a teraz pośmiewisko ludzkie! infamio!...

Wstał ksiądz Wojciech śmiertelnie blady.

— Maryanno, milcz!...

— Za długo milczałam. Nie mnie starej słudze patrzeć ze spokojem, jak na miejscu świętej matki waszej, Panie świeć nad jej duszą, rej wodzi ta...

Urwała, widząc, że się ksiądz zachwiał na nogach i całym ciężarem wsparł o ścianę.

— Wojcieszku... przebacz!...

Nie ruszył się ksiądz Wojciech, jakby skamieniały.

— Przebacz — powtórzyła i padła mu do nóg.

Postanowienie księdza Wojciecha było nieodzowne: Pójdzie — i chociażby mu to za złe wzięła, powie bratowej, dokąd ją lekkomyślność wiedzie.

Maryannę z trudnością uspokoić zdołał. Gryzła się tem, że swego pana zmartwiła, bo co do tej mizdrzalskiej, niech ją tam sam Pan Bóg sądził — wzdychała.

Pomimo upewnień księdza Wojciecha, że nie ma do niej żadnej urazy, jeszcze następnych dni chodziła ze spuszczoną głową i nie odzywała się prawie.

Ponad chmurami najgęstszymi istnieje przestwór światła i spokoju; tam zawsze dostać się można niejednostajnie szybko. Umysł, gdy się oderwie od rzeczy doczesnych, towarzyszy sam lotowi chęci swej i z nią razem staje na wyżynie, lecz obciążony troską o wszystko, co ze sobą podnieść by pragnął, mozolnie w górę dąży. Dziś każdy werset z brewiarza był szczeblem, którego z obowiązku chwycić się musiał ksiądz Wojciech; bez tej pomocy, może by się nie prędko wydostał z zamętu uczuć wzburzonych. »Pójdę« — zadecydował powtórnie — patrząc już z wysoka na wszelkie ziemskie sprawy. Gotów był iść natychmiast i raz skończyć z tem zadaniem, ale u drzwi plebanii, spotykali się właś-

nie, jakby się zmówili ksiądz Jaunis z Krystyną i Hanką.

Dużo miał ksiądz Wojciech do naradzania się ze swemi współpracownikami, to też witał ich zawsze u siebie z radością. Przyszli tym razem, każdy w innym nastroju ducha. Ksiądz Jaunis zafrasowany i przygnębiony czarnemi przewidzeniami; Krystyna usposobiona optymistycznie, bo powiodło jej się nadspodziewanie w kilku przedsięwzięciach.

— Proszę zgadnąć, co za hojny dar otrzymaliśmy ze wsi do naszej kuchni?... Sześć pudów kartofli i całego barana!...—chwaliła się zaraz na wstępie — a prócz tego dostałam kilka zamówień dla mojej szwaczki, tej, co to z własnej pracy utrzymuje siebie i brata suchotnika.

Ksiądz Wojciech rozpytywał się jeszcze o inne rodziny biednych, aby jej dodać otuchy i zachęcić w staraniach, ale posępne oblicze księdza Jaunisa wzbudzało w nim niepokój. Tymczasem Hanka, której ostatni rok szkolny się rozpoczął, odkładała książkę pożyczoną z biblioteki księżej i wybierała sobie nową do przeczytania.

— Dobrze choć to, że się jednostkom dopomaga, ale z ogółem, nie tak, jak być powinno — odezwał się nakoniec wikary — garbarze znów buntują się; na Łukiskach bezrobocie; centralny tartak próbowano w nocy podpalić, nawet dorożkarze, ci, co nie mają własnych zaprzęgów, zamierzają strejkować.

— O dorożkarzach nie słyshałem dotąd—odrzekł ksiądz Wojciech—ale to mała chmurka w porównaniu z tamtymi.

— Niby mała, a mnie się zdaje, że z niej potoki łez popłyną.

Ksiądz Jaunis uzasadniał swoje obawy: twierdził, że panuje wśród klas robotniczych niebywała dotąd solidarność, a że najopłakańszem jest bodaj położenie dorożkarzy, więc niezawodnie ujmą się za niemi i tamci.

Właściciele dorożek nie mogą drożej płacić woźnikom z powodu niskiej taksy, która im samym daje zbyt mały zarobek; podwyższenie zaś tej taksy zależy od zarządu miejskiego, którego członkami są przedstawiciele różnych kategorii ludzi mających. Wszystkie inne bunty mają poniekąd charakter prywatny, ten jest oparty na słusznych wymaganiach — jeżeli mu się zadość nie uczyni, wyświeci bezwzględne samolubstwo tutejszej plutokracji. Stąd natężone oczekiwanie wyniku tego zatargu.

— A niechże pan Bóg broni!—zawołał ksiądz Wojciech.—Trzeba koniecznie zapobiedz, aby nie stanęło na ostrzu noża, bo wówczas wszystko przepadło.

— Należało wyprzedzić żądania dobrowolną ofiarnością — ciągnął dalej wikary — ale teraz po czasie! Chodziłem sam do pana Bogackiego, jako do pomocnika głowy miasta. Interes zdaje się nie cierpiący zwłoki, a on mi powiada, że już za sta-

ry, aby się takimi innowacyami mógł zająć i każe czekać do Bożego Narodzenia, jak wróci syn jego Jerzy.

— Na Boże Narodzenie wróci? oho!... — podchwyciła Hanka.

Krystyna spiekła raka aż po same uszy.

— Jeżeli skończyłaś już z książkami, to poproś Maryannę, żeby odbiła pake, przysłaną dla ciebie z Paryża — rzekł ksiądz Wojciech.

Hanka mocno zaciekawiona wybiegła do sieni, poczem roztrząsano dalej palącą kwestyę. Po debatach stanęło na tem, że wikary będzie uspakał podniecone tłumy, ksiądz Wojciech zaś poruszy sumienia »wielmożnych«, a obaj zwrócą cały zasób sił swoich ku trwałemu pojednaniu wszystkich sfer społecznych.

Hanka wróciła z pełnemi łez oczkami i, całując w rękę księdza Wojciecha, rzekła wzruszona:

— Jaki pan Stefan dobry, że o tem pomyślał.

Za nią Maryanna wniosła nieoprawne duże płótno z portretem Zochny. W białej sukience, spiętej u szyi złotym medalem, jak żywa stała. Ta sama poza, co na ostatniej fotografii, bo malarz nie chciał zmienić naturalnego ruchu, ale wyraz inny, pogodniejszy, prawdziwszy. Nie zawiodła go pamięć. Odtworzył Zochnę taką, jaką ją znali wszyscy, uroczą jak promień słońca.

— Podobieństwo nadzwyczajne! — zawołała Krystyna.

Księża wpatrywali się w milczeniu i wszyscy zostali przejęci, jakby wśród nich nagle ukazał się posłannik niebieski.

Niezmierność, gdziekolwiek ją przeczuwamy, posiada siłę atrakcyjną. Przyciągają nas gwiazdy i morze i wszelka bezgraniczna przestrzeń, tak, iż chciałoby się wyjść z siebie i rzucić się ku niej. Hanke hypnotyzował wzrok zmartwychwstałej Zochny, w którym widziała, duchowo pojętą, tę samą nieskończoność.

— Ileż nieznanych cudów objawiłaby nam ona, żeby tylko przemówić mogła! — po długiej chwili półgłosem odezwała się Krystyna.

— Czemu Pan Bóg taki okrutny, że ci usta zamyka, Zochno! — żaliła się Hanka. — Ja wiem, że żyjesz i wiem, że kosztem największego poświęcenia przyszedłabyś opowiedzieć, co cię spotkało i co nas wszystkich czeka po za grobem. Ty milczysz, bo ci barbarzyńskie prawo milczenie nakazuje; a my tymczasem w ciemnościach trafić nie możemy do tych wrót niebieskich, co to o nich tylko tyle na pociechę wiadomo — że wążutkie.

Ksiądz Wojciech czekał, aż się Hanka trochę uspokoi, a potem przemówił.

— Umarli nie mają po co powracać! Wskrzeszeni z pełną znajomością pozaziemskiego życia mówiliby do nas niezrozumiałym językiem; słowa ich odbijałyby się pustym dźwiękiem o naszą wyobraźnię, niezdolną uchwycić ich znaczenia. Niech

kto spróbuje głuchemu z urodzenia dać pojęcie o muzyce, lub ślepemu opisać grę światła w odcieniach kolorytu — na próżno! Patrzylibyśmy na nich, jako na ludzi obcych i dalekich, a tacy na nas wpływu mieć nie mogą. Umarli nie mają poco powracać! — powtórzył z przekonaniem. — Niech im przyświeca światłość wiekuista! ale wśród nas oby żyli przewodnicy z krwi i kości; umysły podobne do naszych, tylko potężniejsze, serca zgodnie z naszemi bijące, tylko obszerniejsze; bo co oni zdobęda, staje się ogólnem mieniem; do czego dosięgli, do tego i my wzbijać się możemy.

— Spójniki między niebem a ziemią — wtrącił wikary.

— Temu, kto pozbawiony jednego ze zmysłów, żadna siła, nawet nadprzyrodzona, nie potrafi dać wyobrażenia o istocie tej brakującej zdolności. Sam Bóg Wszechmocny nie zdoła objaśnić niewidomemu zjawiska światła, nie obdarzywszy go wprzód wzrokiem, ani objawić człowiekowi ziemskiemu chwały wiekuistej, nim go do niej nie powoła. W duszy ludzkiej drzemie moc nieznanych władz, które w wieczności dopiero przebudzać się zaczną.

Instynktownie pojęła Krystyna myśl księdza Wojciecha i idąc w ślad za nią, rzekła.

A bywa czasem — może raz tylko w życiu — że się ocknie jedna z tych, co śpią i błyskiem świadomości olśniewa nas. Przedwcześnie zbudziła się,

więc kamieniem zasypia napowrót, lecz w duszy zostaje niby przedsmak nieśmiertelności.

Wśród obecnych zapanowała cisza — taka, o jakiej się mówi, że anioł przeleciał.

*

*

*

Ksiądz Wojciech wyszedł wraz ze swemi gośćmi i pożegnawszy się z nimi na rogu ulicy, podążył na Antokol. W drodze układał sobie w myśli wstępne zdania, z jakimi przystąpi do drażliwego przedmiotu. Wiedział dobrze, co ma do powiedzenia, »ale ten początek — to z przykrego najprzykrzejsze«, mówił do siebie, coraz kroku zwalnając. »Obowiązek, a zarówno przychylność braterska... nie, to nie będzie nadto ex-cathedra. Zmuszony jestem powtórzyć wyrok opinii publicznej... Nic podobnego. Powiem jej poprostu, że bezwiednie można się dać wciągnąć tam, gdzieby się z otwartemi oczami nigdy nie zaszło; ale zato trzeba przyjąć bez gniewu rzetelne uwagi.

Przy samej willi brata spotkał Grablowską, idącą z koszem na miasto. Zatrzymał ją i gawędził, ociągając się wobec zbliżającej się krytycznej chwili. A ona opowiadała mu o swych dzieciach, o kurach i jajkach, o drożyznie chleba...

— Podrożało wszystko, rzeczywiście — odrzekł ksiądz Wojciech — i bezwiednie można się dać wciągnąć... to jest... a tak! Powiedz mężowi,

aby się nie dał wciągnąć, bo słyszałem, że dorożkarze zamierzają bunt podnieść.

Myślał, że może bratowej w domu nie będzie, a może kogo u niej zastanie, ale złożyło się tak, że go przyjęła sama w saloniku, jak gdyby na niego czekała. Ledwie go ujrzała, poszła ku niemu i spuszczać wzrok, rzekła:

— Cieszę się, żeś przyszedł, bo popełniłam szaloną niedorzeczność i liczę na twoją powagę, że mię od jej skutków obroni.

Otóż i był początek — ale ksiądz Wojciech na razie nie wiedział, co ma mówić na to.

Usiadła obok niego i pospiesznie, urywanemi zdaniami spowiadała się ze swego postępuku.

— Zdzisław chory na imaginację jak wiesz, ale używa takich leków, że go one same do grobu zepchnąć mogą. Onegdaj przypadkiem spostrzegłam nowe proszki i struchlałam, czytając na recepcie: Arszenik. Nie znam się na tem, więc nie mogłam skombinować jak silna doza, ale sama nazwa przeraziła mię. Co prędzej udałam się do doktora Okołowicza. Nie było go w domu. Powiedziano mi, że został wezwany do Wilejki, a stamtąd jedzie wprost do Petersburga. Rzuciłam okiem na rozkład kolejowy: kuryer za pół godziny odchodzi, zdążę jeszcze i bez namysłu puściłam się w drogę.

Opowiadała dalej, jak sądziła, że się z doktorem zobaczy tylko w chwili, gdy będzie wsiadał do wagonu, jak sama miała następnym pociągiem powrócić, tymczasem zatrzymano pociąg kilka godzin

z powodu jakiegoś drobnego uszkodzenia parowozu, tak, że ani do Petersburga jechać, ani z powrotem do Wilna nie było można wrócić.

Księdzu Wojciechowi kamień osuwał się z serca, ale korzystał z chwili.

— Chwalebna jest rzeczą — mówił — troska o zdrowie męża, ale gorączkowa pogoń za odjeżdżającym, wcale inny zdradza symptom. Lepiej śmiało spojrzeć w ogień i zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, niż okłamywać siebie na początku i krążąc wokoło płomienia, jak ta ćma nieroztropna, dać sobie skrzydła opalić.

Mówił długo — logicznie i serdecznie.

Wysłuchała go bez drgnienia, ale chłodna i sztywna.

— Dziękuję. Tobie wolno wszystko powiedzieć. Nie dla tego, żeś brat i ksiądz, bo ani pokrewieństwo, ani stan duchowny nie upoważniają do ubliżenia kobiecie — ale dla tego, że ci o moje dobro chodzi. Jesteś powiernikiem dusz, masz doświadczenie i znajomość życia... Przestrzegasz, ale nie zwątpieś.

Księdza Wojciecha zaczęło dręczyć przypomnienie uczuć, którym się dał opanować po rozmowie z Maryanną.

— To racya, dla której wdzięczność a nie urazę mam dla ciebie — ciągnęła dalej — a zrywam stosunki z tą, która posługuje się przywilejem pokrewieństwa, aby mię szkalować i dołki pode

mną kopać i chociażby mię na klęczkach przeproszała, znać jej nie chcę!

— W czymże ja lepszy? — wyrzucał sobie ksiądz Wojciech w duchu. Postanowił załagodzić poróżnienie rodzinne i bądźco bądź naprawić stosunki między siostrami. Tłumaczył, jak mógł, hrabinę Augustową i obstawał za nią, jak za samym sobą. Pani Zdzisławowa zrazu ani słyszeć nie chciała o widzeniu się z siostrą, ale dała się wziąć podstępem: przyjęła zaproszenie do plebanii.

— A jeżeli kto inny zajdzie o tej samej porze? — zagadnął ksiądz Wojciech.

Ściągnęła usta z wyrazem pogardy.

— Przez okno nie wyskoczę; a ten stół, ta lampa czy ona, to dla mnie jedno i to samo.

Ksiądz Wojciech wracał do domu o zmierzchu. Zapalano przed nim latarnię za latarnią i powstał przed nim długi rząd świateł, wytykających jego drogę; a on idąc szeptał błagalnie: »Panie daj nam na każdym kroku nowe światło łaski Twojej — jak te przydrożne pochodnie; albowiem bez nich błądzimy nawet wtedy, gdy nam się zdaje, że nie tracimy z oczu naszego celu!«





ROZDZIAŁ XVII.

»Hannibal ante portas!« rozlegało się niegdyś hasło trwogi po całym Rzymie i wnet dzielni obywatele miasta rzucali zajęcie, rodzinę i domowe ognisko, pędząc na obronę murów. »Hannibal ante portas« brzmiało w uszach księdza Wojciecha, dla którego owym groźnym nieprzyjacielem było widmo niezgody. Nigdy dotąd czujność jego nie była wystawiona na taką próbę i nigdy bardziej nie truchlał o spokój społeczny niż teraz. Zaniebalał spraw prywatnych, zapomniał o własnym spoczynku i od świtu do nocy mitygował, łagodził, napominał i karcił. Zbierał u siebie głównych przedstawicieli cechów i konferował z nimi; chodził do osób finansowo lub intelektualnie wpływowych i nalegał, by się porozumieli w wydzielaniu sprawiedliwości. Praca szła ciężko. Wśród rzemieślników byli poczciwi i spokojnego ducha, ale również i wichrzyciele; wśród możnych — lu-

dzie dobrze myślący, lecz większość gnuśnych i egoistów. Ksiądz Wojciech był niezmordowany, czasem jednak, gdy wracał do plebanii po całodziennych bezskutecznych zabiegach, opadały mu ręce i powtarzał z królem-prorokiem: »Jeżeli Pan nie zbuduje domu, próżno pracowali, którzy go budują; jeśli Pan nie będzie strzegł miasta, próżno czuje, który go strzeże.«

Miał słuszność ksiądz wikary: niezadowolenie dorożkarzy koncentrowało uwagę publiczną, chociaż nie przyszło dotąd do jawnego wybuchu. Z jednej strony czekano wyciągnięcia pojednawczej dłoni, ostrząc tymczasem, na wszelki przypadek, nóż zemsty; z drugiej czyhano na najdrobniejszy objaw spokornienia, z którego korzystając, możnaby ofiarować w drodze łaski to, na co się zgodzić nie chciano pod przymusem słusznych wymagań. »Daj im dzisiaj tyle—to jutro zechcą drugie tyle«, było argumentem, z którym się ksiądz Wojciech regularnie na wstępie spotykał; a powtarzało się to tak często, że wreszcie sam od tego zaczął, by zaraz potem wytłomaczyć, że nienasyconość natury ludzkiej w danym razie nie wchodzi w rachubę, ponieważ należy tylko sprostować zadawniony błąd. Taksa dorożkarska od niepamiętnych czasów nie uległa zmianie, wówczas, gdy wartość monetarna zmniejszyła się w odwrotnym stosunku do podrożenia wszystkich produktów. Z 15-tu kopiejek trzeba przejść na 20 za kurs, a nie będzie w tem żadnej koncesyi, tylko uwzględ-

nienie zmienionych warunków bytu. Rzecz prosta; ale panowie taksatorowie, którzy czuli, iż obowiązkiem ich było dawno o tem pomyśleć, uważali, że przyznanie się do winy wobec zależnych, może zachwiać powagę władzy i woleli lawirować, aż się zdarzy sposobność ustąpienia, bez ubliżenia tej powadze.

Sprawa rozogniała się coraz bardziej. Ksiądz Wojciech robił nadludzkie wysiłki, aby doprowadzić porozumienie się do skutku, ale i jego energię podkopywała uporczywa opozycja. Dużo się spodziewał po hrabim Auguście. Już na samym początku prosił go, aby na ogólnem zebraniu podniósł kwestyę dorożkarską. Obiecał mu to najchętniej, ale żadną miarą słowa dotrzymać nie mógł, gdyż w sam dzień sesyi wypadło mu jechać z żoną do Warszawy. Pani Augustowa przerażona tem, że jej dzieci zaczynały mówić przeciągle, akcentem litewskim, poszukiwała bony z Królestwa; rekomendowano jej właśnie jedną, chciała ją wprzód obejrzeć, a nie odważając się polegać na własnym sądzie, brała ze sobą męża. Zabawili dłużej, niż się spodziewali, znalazłszy jeszcze to i owo do załatwienia. Z panią Zdzisławową przed wyjazdem nastąpiło oficjalne pojednanie, ale nie w plebanii, bo hrabina Augustowa dowiedziawszy się o zamiarze księdza Wojciecha, wyprzedziła go, udając się sama do siostry. Co zaszło między niemi nikt nie wiedział; wszakże odtąd formy światowej grzeczności zachowywały już względem siebie.

Zaraz za powrotem wziął się hrabia August z zapalem do powierzonej mu sprawy, a gdy on do czego ręki przyłożył — pewnym był skutku. Na dowód swej popularności przytaczał sam fakt, że dla przypodobania się mu przyspieszono o trzy dni datę następnej sesyi. Odbyła się wczoraj; ale ksiądz Wojciech nie wiedział jeszcze o jej rezultatach.

Niepokoił się cały ranek, wreszcie w południe zdecydował się pójść sam do hrabiego Augusta.

Zastał go przy rannej kawie i pana Zdzisława u niego. Obaj w doskonałych humorach.

— Oho! ksiądz proboszcz! Wiem, co mnie czeka za późne wstawanie! — zawołał hrabia August ze śmiechem, zapinając szlafrok na piersi — ale tym razem nie boję się gromów. Od wczorajszego wieczora do 4-ej z rana pracowałem dla księdza dobrodzieja, więc mi się pewne względy należą.

— I wygrał sprawę — dorzucił pan Zdzisław.

W istocie wszelkie dane były po temu, że się sprawa pomyślnie zakończy. Roztrząsano ją szczegółowo, omawiano pro i contra i już mieli podpisać zgodzenie się, gdy jeden z członków zaproponował balotowanie.

Za późno było tego wieczora, więc odroczone je na następną sesyę, teraz chodzi tylko o tę formalność. De facto zaś rzecz skończona, bo nie

ulega wątpliwości, że większość się zgadza. Hrabia August tryumfował:

— A widzisz, księżę proboszczu! czy nie zasłużyłem się społeczeństwu? Zapijaliśmy potem tę sprawę, naturalnie, i była partyjka. Wiadomo, że kto smaruje, ten jedzie, a smarowidło różnego bywa gatunku.

— Najrozmaitszego — potwierdził pan Zdzisław — dla kobiet, naprzykład, pochlebstwo jest maścią, gojącą wszystkie bolączki. Smaruj jednym grubo, drugim cieniutko, a daleko zajdziesz. Ja się tam w to nie wdaję — chyba czasem ze swoją żoneczką, i to, aby mieć spokój w domu. W ostatnich czasach, to się nawet nie potrzebowałem uciekać do tych środków — ciągnął dalej wesół jak nigdy — bo Irena przekonała się do mnie nareszcie.

I rozповідаł szeroko i długo o swem pożyciu małżeńskim, o biedach, przez jakie przechodził i o korzystnej zmianie, zaszłej w usposobieniu żony.

— Wierzcie mi, moi drodzy, najlepszą metodą jest otwarte rozmówienie się. Zaczęły krążyć jakieś niedorzeczne plotki po mieście. Ja zamiast się gryźć pytam prosto z mostu: »Irenko, jak to tam było z tym spacerem? aż okazuje się, że jedynie zbyttnia troskliwość o mnie tej kaszy nawarzyła.«

— I nie dajesz sobie w nią dmuchać — dobrze robisz! — rzekł hrabia August, wyciągając rękę do papierośnicy, którą pan Zdzisław otwie-

rał; trącił o filiżankę i rozlał całą zawartość na obrus.

— Fil quel mal apris! — wykrzyknął sam winowajca, przykrywając plamę serwetką. — Rzadko mi się to wprawdzie zdarza i nie pojmuję tych, którzy gotowi psuć, niszczyć, marnować rzeczy, bez skrupułu, na mocy tego, że mają prawo ze swoją własnością robić, co się im święcie podoba.

— Własność musi istnieć prawnie... — odrzekł ksiądz Wojciech wolno i z namysłem, wyszukując najprostszycy słów dla sformułowania dawno wyrobionego poglądu i zabierając się do odejścia.

— Jaktó, odchodzisz?...

— Muszę, obowiązki czekają.

Ksiądz Wojciech pożegnał się i wyszedł. Na placu nie było ani jednej dorożki; tknęło go to na razie, ale że zdarzało mu się już niekiedy znajdować pustki na tym posterunku, nie zwrócił na to wielkiej uwagi. Zresztą miał zamiar iść pieszo.

W domu Maryanna oznajmiła mu, przybierając tragiczną minę, że Lipnowska z za Żelaznej Chatki jest konająca i że przysyłała po niego.

— Co drugi dzień umiera! — rzekł ksiądz Wojciech obojętnie, gdyż znał dobrze histeryczkę i jej ataki. Jeździł do niej na początku tygodnia i przekonał się, że żadne niebezpieczeństwo jej nie

grozi; dzisiaj zaś zbyt dużo miał zajęcia, aby daremnie przejażdżki odbywać. Do ksiąg metrycznych od wieków nie zaglądał, a trzeba je było uporządkować koniecznie, bo ludzie dopominali się o swoje papiery. Zabrał się ksiądz Wojciech do roboty i parę poobiednich godzin nad nią przesiedział. Przerwała mu w końcu Maryanna, donosząc, że Grablowski gwałtem dobija się do proboszcza. Kazał go wprowadzić niezwłocznie.

— Co z tego będzie, księżę proboszczu? — zaczął dorożkarz, nachylając mu się do nóg. — Proszę dać choć jaką radę, bo żona mówi, że ksiądz nie pozwalasz do buntów należeć.

— Waryactwo! — wykrzyknął ksiądz Wojciech zrozpaczony. — W porę zachciało się wam bunt podnosić. Wasza sprawa już prawie była wygrana, a wy śmiertelny cios jej zadajecie. I cóż wy sobie wyobrażacie, chciałbym wiedzieć? — mówił, chodząc po pokoju, bo już dłużej usiedzieć nie mógł. — Struchleje przed wami władza. Co?... Alboż chcecie dobrowolnie gardło pod nóż nadstawić? chcecie, żeby żony i dzieci na żebraninę poszły?

Grablowski słuchał wystraszony.

— Jak Boga kocham ja nie winien. Ja jeden przeciwko nim — to co ja zrobię?...

Ksiądz Wojciech nie mógł się uspokoić.

— I co z tego wyniknie? — rzekł — w najlepszym razie z miejsc was powypędzają i obsadzą innymi dorożkarzami. Wozić nie sztuka—to każdy

potrafi! W zastępstwie jednego znajdzie się dziesięciu innych.

Ksiądz Wojciech stanął przed nim.

— Myślisz, że zmowa wasza długo potrwać może?

Zmarszczył brwi i znów chodził milczący ze spuszczoną głową.—Ratować sytuację! Tak, ale w jaki sposób?... Zjawić się na zebraniu i próbować ich poskromić... w roli kapłana — niepodobna, bo przy takim wrzeniu umysłów i wpływ wątpliwy i można się narazić na publiczną zniewagę.

— O której macie się zebrać? — zapytał.

— Siódma biwszy, na Popławskiej, w domu Chatzkiela.

Ze znajomością rzeczy ksiądz Wojciech skombinował: »Nie będą im przeszkadzali przynajmniej do dziewiątej, gdyż policja, doskonale poinformowana w takich razach, poczeka, aż się wszyscy zbiorą; byłoby więc czasu dosyć, gdyby się tylko udało trafić do serc i przekonań buntowników i wpłynąć na nich, aby się rozeszli spokojnie i w porządku! Co mam począć? Panie Boże natchnij mnie!« modlił się w myśli, nie widząc przed sobą nic, prócz ciemności. I przyszło światło, które napełniło go otuchą! Pozostaje mu jedna jeszcze możliwość i tę obierze ufny w Boga, że go doprowadzi do celu. Z powziętem postanowieniem zwrócił się do Grablowskiego.

— Przyjedziesz po mnie o szóstej i zawieziesz do chorej za Żelazną Chatkę.

— Ależ tam trzeba przez Popławy jechać, a oni na czatach ludzi rozstawiają — objaśniał do-
rożkarz.

— Jeżeli masz sumienie, człowieku, usłuchasz
mnie.

— Słucham; za godzinę będę. Niech tylko
Matka Boska strzeże od jakiego nieszczęścia —
i zrobił na sobie znak krzyża, wychodząc.

Pozostający mu czas spędził ksiądz Wojciech
na odszukiwaniu księdza Jaunisa, z którym chciał
się naradzić.

Nie zastał go w domu, więc puścił się za
nim w pogoń wszędzie, gdzie miał nadzieję go
spotkać.

Niestety, rozminęli się i za powrotem dowie-
dział się, że wikary zachodził do niego, lecz nie
mógł dłużej czekać.

† Punktualnie o naznaczonej godzinie stanęła
dorożka przed plebanią i pojechał ksiądz do chorej,
nie zaopatrzywszy się wszakże w Oleje święte,
ponieważ wiedział, z kim będzie miał do czynienia.
Powietrze było przenikliwie chłodne i niebo zaciąg-
nięte chmurami. Kałuże i wyboje na przedmieściu
utrudniały jazdę, a zupełny prawie brak oświetle-
nia zmuszał do ostrożnego posuwania się naprzód.
Przed Ostrą Bramą spotkali kilka prywatnych za-
pręgów, dalej pustka zupełna z wyjątkiem nie-
licznych przechodniów na chodnikach. Przejeź-
dzając mimo szynkowni, z której niezastłoniętych

okien padały smugi światła w poprzek ulicy, obrócił się Grablowski.

— Tu będą, ale tymczasem nie ma ich. Dwóch tylko siedzi na ławce i to psiakrew najpodlejsza.

Wiorstę całą mieli jeszcze przed sobą; przeredzały się domy coraz bardziej; wyjechali na gołe pole, potem znowu gdzieś ukazały się drewniane chałupki. Przed jedną z nich zatrzymał się dorożkarz.

— Dalej trochę — zawołał ksiądz Wojciech i po chwili stanęli u celu.

Lipnowska nie spodziewała się tak późnych odwiedzin, lecz z przełknięcia dostała nowego, tym razem słabiutkiego ataku. Efekt wszakże chybił, bo ksiądz Wojciech dziś mniej niż kiedy był usposobiony do pobłażania nerwom. Nasłuchały się słów prawdy wszystkie obecne baby, a kazanie trwało długo; odetchnęły wreszcie, gdy ksiądz, spoglądając na zegarek, zapytał, czy niema jeszcze kogo chorego.

— A jakże, jest studniarz, który sobie nogę złamał na Snipiszkach, Piotrowa, suchotnica, pod Kalwaryą zamieszkała, i tercyarka tuż obok, co jej pod łyżeczką boli.

Każda o kimś cierpiącym wiedziała, ale ksiądz Wojciech wybrał tę, której nie trzeba było szukać za górami.

Oddawszy duchowną posługę prawdziwej służebnicy Pańskiej, ciężko chorej i nie mogącej powstać z posłania, zbudowany jej męstwem

w znoszeniu cierpień i niezłomną wiarą w mądrość wyroków Bożych, wracał ksiądz Wojciech tą samą drogą, którą przyjechał.

Gdy się wydostali z gościńca na bruk przedmiejski, rozległ się przeciągły gwizd; odpowiedziało nań ponowne gwizdanie o kilkadziesiąt kroków dalej i równocześnie dwóch ludzi zaczęło biedz obok dorożki, nie dając się jej wyprzedzić. Opodal szynku Grablowski ściągnął lejce.

— Jezu, ratuj! A toż wziąwszy się za ręce, zagrozdził calutki przejazd!

— Jedź! — odrzekł spokojnie ksiądz Wojciech. — Pan Bóg nas wiedzie.

Zaturkotały znów koła i ruszyli w sam środek zbiorowiska niezrównanie większego niż się ksiądz spodziewał, a które się wciąż zasilalo tłoczącemi się ludźmi. W słabem świetle gazowego płomienia widać było głowę przy głowie tak gęsto, że i w ciemnościach do koła można się było domyślać wielkiej ciżby...

Stali nieruchomi w złowroziej ciszy. Nagle z przeraźliwym wrzaskiem i miotaniem przekleństw otoczyli podjeżdżającą dorożkę, a kilku przywódców wskoczyło na koła i ująwszy Grablowskiego za kark, ściągnęli go z kozła. Jeden chłop podniósł na niego kij ogromny, lecz w tejże chwili wychylił się ksiądz Wojciech i wytrącił mu go z ręki, zanim zdążył uderzyć. Gwałtowność, z jaką się rzucił naprzód, zachwiała księdza na nogach, przechylił się, aż mu czapka na ziemię spadła i ledwie

uchwyciwszy się pudła, równowagę odzyskał. Wyprostował się z odkrytą głową.

Poznali go wówczas i z ust do ust przeleciał okrzyk zdziwienia.

— Nasz proboszcz!...

Nie wiedząc co dalej robić, zmieszani i zawstydzeni przycichli.

Niektórzy odzywali się: »Od chorego wraca, puścić ich!... niech jada!...«

Ksiądz Wojciech ogarnął całą doniosłość tej chwili wahania i górując nad tłumem jak na ambonie, począł mówić:

— I ja dziś zawołam: Precz z marnotrawcami! Precz z bogaczami, którzy nie umieją skarbów swych zużytkować! Niech ginie ich pokolenie! Niech przykładem złym nie zrażają drugich!...

Po ciszy, jaka zapanowała, nagle odgadywał budzącą się wśród słuchaczy niedowierzającą ciekawość; lecz zrozumienie dalszych słów jego nie zmniejszyło wrażenia.

— Do was zwracam się bogacze, którzy macie posiadać ziemię! Do was zwracam się, którzy nazwani będziecie synami Bożemi! Ubodzy duchem!... Pokój czyniący! Wasze jest Królestwo Niebieskie, a zły duch kusi was, abyście się rzekli dziedzictwa swego!... Powiedziano: »Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, gdzie rdza i mól psuje i gdzie złodzieje wykopują i kradną, ale skarbcie

sobie skarby w niebie, gdzie ani rdza, ani mól nie psuje i gdzie złodzieje nie wykopują, ani kradną. Kto taki skarb posiędzie, ten jest panem ponad pany tego świata! ten jałmużnę czynić może królom i księżętom — hojniejszą, niżli miedź i złoto — jałmużnę modlitw, łaskę wstawiania się za nimi, przed Tym, który was nazwał synami Bożemi!

Zatrzymał się ksiądz Wojciech i spoglądając na zbitą masę ludu, miał złudzenie, że przemawia do pracujących rzesz całego świata.

-- Bracia, znużeni pracą! Nie sądźcie, abym żądał od was zupełnego zapomnienia o własnej biedzie, w nadziei zapłaty nieskończonej, lecz dalekiej. Gdybym wierzył, że ujęcie tym, którzy posiadają więcej od was, może zapewnić wam szczęście, że zdoła poprawić wasz los, obstawałbym za tem w imieniu ludzkości i sprawiedliwości. Ale gwałtem wobec innych nie wiele zyskać można, jeżeli się nie zada gwałtu samemu sobie, jeżeli się nie wykorzeni zła, które niby chwast rozplenilo się w waszych duszach. Lenistwo, wyłamujące się z pod przykazania: »Będiesz pracował w pocie czoła twego«; pijaństwo, marnotrawiące zarobek; rozpusta, wycieńczająca siły; zazdrość, niepozwalająca ocenić otrzymanych darów Bożych — oto nieprzyjaciele, których zgnieść potrzeba! Nie oglądajcie się na tych, którzy w opieszałości pędzą żywot próżniaczy, litujcie się raczej nad nimi, bo i dla nich wybiję godzina rozrachunku. Liczba ich ma-

luczka w stosunku do was, a każdy gwałt na nich dokonany byłby wynikiem pożądlivości...

— W wążem ciele łatwiej, niżeli w silnem, gnieźdzą się choroby. Dla czego? Bo ciało wążle nie może chorób zwyciężyć, lecz im się poddaje bez oporu. Stańmy się więc, jako ciało zdrowe, którego nie imie się słabość, w którym żaden człowiek nie żywi się krwią innych. Rozpadłyby się dawno fortuny nadmierne, rozdrobiłyby się fundusze zebrane, gdyby nie tworzyły się w łonie waszem nowe, powstające zrazu z kilku groszy uczciwie lub nieuczciwie zebranych. Wolno każdemu kosztem swej pracy polepszać byt swój, ale komu Pan Bóg szczęści, niech podaje rękę mniej silnym i mniej zdolnym i w miarę wzrostu dobytku niech rośnie szczodroblivość jego, a nie wymaganie. Nie wyzyskujcie jedni drugich, nie wypychajcie się naprzód z krzywdą słabszych; dążcie całemi siłami do zrównania losów, ale przez pracę wewnętrzną, przez ulepszenia stopniowe, im powolniejsze, tem trwalsze. Od was samych zależą losy przyszłych pokoleń, wśród waszych potomków zasłynie ogólny dobrobyt, albo też i nadal nędza stać będzie, wedle tego, jak się dzisiaj miłość braterska wśród was rozwinie.

Poczuł ksiądz Wojciech, że jeszcze w zbyt wykwintną szatę przywdziewa myśl swoją; że iskry, wydobyte z wykształconego umysłu wobec intelektualnie upośledzonych, rażą tyleż samo, co jedwabna tkanina przy siermiedze. Miłość jedna

zdołała przebić wszystkie warstwy nierównie wydzielonego człowieczego dziedzictwa aż do głębi, gdzie się duch z duchem bezpośrednio łączy; miłością wiedziony znalazł słowa, torujące mu tędy drogę.

Wzruszenie ogarnęło tłumy. Pojedyncze głosy wołały:

— Dobrze mówi!... Oby więcej takich!... Żle nam radzono!...

Książd Wojciech słysząc to, dodał:

— Strzeżcie się fałszywych doradców! Albowiem kto za dni naszych nie mieni się przyjacielem ludu i kto z tego zysków nie ciągnie? Siła wasza leży w łączności. Nikt dokładniej od was samych nie zna potrzeb waszych; wybierajcie wśród siebie najlepszych, ci niech się naradzają między sobą, a co oni uchwalą — tego słuchajcie, pamiętni na to, że dowodem największego rozumu jest cnota. Wówczas będziecie silni, wówczas i wyzyskiwacze rachować się z wami zaczną.

— Daliście się wciągnąć w nedorzeczny bunt, cofnijcie się póki czas! Podpalanie, odgrazanie się pięścią i nożem, nie są to środki godne ludu chrześcijańskiego. Rozejdźcie się teraz w obecności mojej, abym wam błogosławić mógł w imię Tego, który powiedział: »Błogosławieni pokój czyniący, albowiem [nazwani będą synami Bożemi.«

Odpowiedziało mu głucho westchnienie z se-
tek piersi i jednocześnie tłumy zaczęły się poru-
szać, rozsuwać się, potem rozpraszać się zwolna,
w ciszy...

Nad nimi wznosiła się modlitwa księdza.





ROZDZIAŁ XVIII.

Tymczasem w zarządzie miejskim cofnięto niezatwierdzoną jeszcze obietnicę. Dla przykładu—powiadano; bo nie podobna nawet dopuścić z pozorów, żeby zuchwały bunt wymógł jakiegokolwiek ustępstwa. Ksiądz Wojciech kołatał do drzwi kilku tak zwanych »tuzów« wileńskich, lecz go nigdzie nie przyjęto: jednych w domu nie było, drudzy nie domagali. Dowiedział się o tem hrabia August i na wszystko prosił księdza Wojciecha, aby zaniechał prowadzenia osobiście dalszych pertraktacyi i jemu pozostawił tę sprawę, a on, co będzie w granicach możliwości — to uczyni. Wyglądał zaniepokojony nieprzychylną postawą członków zarządu i nie wielką miał nadzieję załagodzenia ich, ale stanowczo oponował temu, aby ksiądz Wojciech sam robił jakiegokolwiek zabiegi. Umówili się z panem Wołyńskim i póty nalegali, aż dopięli swego. Ksiądz Wojciech nie bardzo rozumiał, dla czego ma

pozostać bezczynnym. Ponieważ jednak początki nie powiodły mu się, przystał na to w przekonaniu, że bierne jego zachowanie się zniewoli hrabiego Augusta do tem większej działalności.

Nie omylił się. Hrabia August poruszył wszystkie sprężyny, jakie mu się przydatnymi wydały i włożył całą swą ambicyę w zwyciężenie opozycji. Do plebanii wpadał po kilka razy dziennie, najczęściej z takim pośpiechem, że nie zdejmował ani futra ani kaloszków.

Pewnego razu ku wieczorowi gwałtowny odgłos dzwonka oznajmił jak zwykle jego wizytę. Wszedł do sieni cały zaśmieżony.

— Co za paskudne powietrze — rzekł, witając się z proboszczem. — Iza wzięła karetkę, więc rozbijam się po mieście w dorożce... Nie, dziękuję — nie wejdę do gabinetu, bobym podłogę zawałał. Przyszedłem tylko powiedzieć, że na jutro zaprosiłem wszystkich tych panów na obiad: czterdziestu ich będzie. Zejdą się wcześniej i będą najpierw debatowali nad sprawą. Jestem dobrej myśli, bo ostatecznie gdyby nasz wniosek miał być odrzucony, toby nie przyjęli zaproszenia do mnie. Księżę proboszczu, przyjdiesz koniecznie, ale przed samym obiadem, wcześniej nie radzę — dowidzenia.

— Dziękuję za dobrą nowinę. Dowidzenia.

Już go nie było. Wtem uderzono pięścią w drzwi. Ksiądz Wojciech otworzył.

— Zapomniałem powiedzieć, że moja matka przyjechała na kilka dni ze Snopówki. Odwiedź ją proboszczu i postaraj się wpłynąć, aby zamieszkała na całą zimę w mieście.

— Byle mnie tylko usłuchała! — odrzekł ksiądz Wojciech — nie łatwo jej będzie rozstać się z grobem córki.

— Proszę się o to starać. Będziemy bardzo wdzięczni.

Hrabina nie przestała interesować się swemi zakładami dobroczynnemi i właśnie dla kontroli i uregulowania rachunków przybyła do Wilna. Ksiądz Wojciech udał się do niej nazajutrz przed nieszporami, które się miały odbyć uroczyście w Ostrej-Bramie, jako w wigilię święta Opieki Matki Boskiej.

Hrabina, przyjęła go ze zwykłą serdecznością i niezwłocznie naprowadziła rozmowę na ostatnie wypadki.

Skończyło się na tem, że hrabina przychyliła się do zapatrywania proboszcza. Zaśmiał się do brodusznie ksiądz Wojciech.

— Ej, chciałbym i w innych kwestyach z równą łatwością nawrócić panią hrabinę do moich poglądów.

— Proszę spróbować—może się uda.

Udało mu się rzeczywiście powtórnie, bo na wzmiankę o potrzebie zamieszkania w mieście dla lepszego czuwania nad przytułkami, przyznała mu słuszność hrabina i zapowiedziała, że przyjedzie

na parę miesięcy zaraz po świętach. Na Boże Narodzenie przyjadą do Snopówki Augustowie, Zdzisławowie i Hanka Wołyńska — na księdza Wojciecha też liczy, i to wcześniej, aby użył wypoczynku.

— Dobrze, ale cóż będzie z moim siostrzeńcem?

— Zapraszam go także, naturalnie. Nie wiedziałam, że można na niego liczyć.

— Powinien się zjawić lada dzień — opowiadał ksiądz Wojciech — bo przysyłając portret dla Hanki, pisał, że staje do konkursu, na który bardzo wysokie są naznaczone nagrody. Ponieważ pracować musi na to samodzielnie, a życie u nas tańsze, więc zamieszka w Wilnie do przyszłych letnich wakacji.

Hrabina skombinowała widocznie coś w głowie. Nagle spytała:

— A niema innych powodów?

— Może i są — odrzekł ksiądz Wojciech nieco zmieszany. — Ale lepiej udać, że się ich nie widzi. Będzie, jak Bóg zechce.

— I ja tak myślę. Pomówimy jeszcze o tem — dodała, spostrzegłszy wchodzącego syna. — Tyle serca doznałam od Hanki, że się poczuwam do prawdziwych względem niej obowiązków.

Hrabia August przyszedł prosić matkę na górę dla orzeczenia, czy dostatecznem będzie oświe-

lenie w białej sali, gdzie się mają zebrać panowie przed obiadem. Zapalono w niej żyrandole na próbę i zamknięto okiennice. Hrabina przystała na prośbę syna i namówiła księdza Wojciecha, aby rzucił okiem na rozkład miejsc przy stole.

— Mamy z tem biedę, jak z układaniem łamigłówek — mówił hrabia August — bo jakże zrobić, żeby koza była cała i wilk syty?...

Weszli do jadalnego pokoju, gdzie hrabina Augustowa doglądała ubierania stołu.

— Ktoby się domyślił po tej ilości pachnących kwiatów, że to obiad dla samych mężczyzn? — rzekł ksiądz Wojciech.

— Trzeba choć w ten sposób zastąpić im brak naszej nieobecności — odpowiedziała hrabina Iza, uśmiechając się.

— Ksiądz proboszcz będzie miał po prawej stronie p. Wołyńskiego, po lewej — marszałka — oznajmiła hrabina, przeglądając kartki. — Zdzisława pomieściłabym obok pana Strzemki. Pan Bogacki naprzeciw Augusta — dobrze; ale doktor Okołowicz powinien zająć wyższe miejsce.

Własnoręcznie pozmieniała kartki i wnet pogodziły się wszystkie wymagania; bo też mistrzynią była w sztuce towarzyskiej, pomimo, że się od dawna usunęła z wiru światowego.

Biała sala nie uległa jej krytyce; kazała tylko przynieść z dołu dwa swoje kandelabry i czekała

na nie, aby się przekonać, czy będą odpowiednie. Hrabia August uspokojony poszedł się przebrać.

Widok pustej, rzeźbiście oświetlonej sali, w której kilkadziesiąt par mogło stanąć do tańca, wywołał napływ wspomnień, uśpionych w pamięci hrabiny. Ożywiła się i jęła opowiadać księdzu Wojciechowi, jak to dawniej bywało, jak się w tych murach hucznie bawiono i jaką cechę dużego miasta miało Wilno naonczas. Zjeżdżało się obywatelstwo z najdalszych krańców. Przytaczała różne fakty i anegdotki, dotyczące znanych osobistości, a opisywała tak żywo, że się w oczach księdza Wojciecha zaludniła sala. Roily się złotem wyszywane mundury, powłóczyste stroje dam i czarne fraki...

*

*

*

Spóźnił się ksiądz Wojciech na nieszpory. Iskrzyła się od świateł Ostra-Brama: u jej szczytu jaśniał na ciemnym tle nieba krzyż z lampionów, poniżej szeregi gorejących płomyków zarysowywały jego podstawę i zlewały się z świetlną ramą, obejmującą rozwarte podwoje kaplicy. Wewnątrz przed odsłoniętym obrazem Matki miłosierdzia celebrujący w asystencyi dwóch księży, intonował litanie. Płonęły świece na ołtarzu, błyszcząły srebrne wota gęsto porozwieszane, a z długiej, wąskiej ulicy, przepełnionej ludem, niby z olbrzymiej

na wy kościelnej, której sklepieniem firmament, podnosiło się responsorium tysięcznych głosów.

Nie było sposobu przedostania się na schody, wiodące do kaplicy, więc ksiądz Wojciech pozostał w tłumie. Wrażenie uroczystej chwili, oddziaływając na myśl jego, której nieustannym przedmiotem było zbratanie serc ludzkich, pobudziło ją do gorącej modlitwy o powodzenie dla zadania swego i o specjalne błogosławieństwo dla siebie, jako wskrzesiciela i wykonawcy tej wielkiej idei.

Modlił się za popędem serca, nie rozumując, ani analizując stanu duszy. Nagle ocknęło się w nim jasne poczucie swego stanowiska jednostki wśród miliardów równych sobie jednostek i przejrzał całą czczość i pychę poprzedzających modłów, ofiarowanych w swem imieniu. »Pan Bóg widzi w nas intencję, nim ją sami w sobie rozpoznamy« — zastanawiał się ksiądz Wojciech skruszony — widzi egoizm zajęty sobą tam, gdzie my upatrujemy cnotę. Stając w obecności Jego, powinniśmy здаwać mu sprawę z roli, którą nam każe odgrywać na świecie, ale zarazem wyzuć się z tej roli i być duszą czystą przed obliczem Ducha Bożego. My zaś nie słowami, ale wewnętrzną pamięcią na swą osobistość przedstawiamy się niejako Panu Bogu, iżby wiedział z kim ma do czynienia. I tak, naprzykład, ja, pan X, rzeczywisty radca stanu, potrzebując takiej to, a takiej łaski, zwracam się do Ciebie, Panie Boże... Ja, pani Z., właścicielka męża, dzieci

i mnogich dóbr w dodatku, błagam Cię o wysłuchanie prośby... Ja, ksiądz Wojciech, kapłan i spójnik społeczny, proszę o specjalne błogosławieństwo z racji dążeń...«

Z uczuciem ogromnego wstydu schylił ksiądz Wojciech głowę jak mógł najniżej: chętnie by się ukrył pod ziemię.

W kaplicy chór śpiewał naprzemian z ludem:

»Królowo Apostołów, Królowo Męczenników, Królowo Wyznawców — Módl się za nami!«

Wyzutego z siebie, ukorzonego w swej nicości napełnił Duch Boży i uznał on odtąd nieodwołalnie, że człowiek musi piastować urząd, wysoki lub niski, który mu Opatrzność wyznaczyła; piastować, ale nie zrastać się z nim w jedno. Pozbawione doczesnej powłoki zmysłowej i umysłowej, wszystkie dusze ludzkie są jednakie, a poszczególne ich powołania: czy to uczących rozumem, czy pracujących rękami, czy silnych mężczyzn, czy słabych, poddanych cierpieniu kobiet — mogły by być za dopuszczeniem Bożem poprzemieniane bez wywołania zmiany istotnej. Dla tego przestać być sobą — w znaczeniu ziemskich stosunków, umieć zdejmować z siebie szatę indywidualności swej, gdy staje dusza w obec Stwórcy — a stawać powinna w każdej chwili istnienia swego — jest to fundament, na którym jedynie zbudować można prawdziwe zrozumienie równości i braterskiej miłości. Przyjdzie śmierć i ogołoci nas ze wszystkiego — obcując

z Bogiem za życia bądźmy więc tem, czem prze-
trwamy w wieczności.

*

*

*

Ksiądz Wojciech klęczał na śniegu z odkry-
tą głową, lecz nie czuł zimna, bo mu się rozgrzało
serce gorącą miłością ku Bogu i ludziom. Dopiero
potem, gdy wchodził do ciepłych, wonią kwiatów
napęcznionych salonów, gdzie wrzało jak w ulu,
przejął go chłód tak silny, że przy mniej roznieco-
nym ogniu wewnętrznym, ścięła by mu się lodem
powierzchnia serca.

Witano się z nim uprzejmie, mówiono grzecz-
ności tonem protekcyjnym, kładąc nacisk na
gotowość przysłużenia mu się w każdej po-
trzebie.

— Na mnie proszę polegać jak na Zawiszy.

— I na mnie także.

— Trzeba było wcześniej ze mną pomó-
wić — (nie domagał przed kilku dniami ten, co to
mówił).

— Servus księdza dobrodzieja, gotów na
każde zawołanie.

Ksiądz Wojciech dziękował na prawo i na
lewo, bo czuł, że tego od niego czekają, ale sam sie-
bie pytał — za co?

Hrabia August szepnął mu do ucha:

zażegna, minie obawa burzy. Teraz rozumiał, że powietrze ciężkie i parne nowe chmury wytworzy i że się one zbierać będą, aż się nie odświeży atmosfera moralna, którą ogół oddycha...

»Niebios spuśćcie rosę!

A z obłoków

Niech zstąpi Sprawiedliwy.«





ROZDZIAŁ XIX.

Pod koniec listopada przyjechał Stefan, ale zamieszkał w plebanii »tylko na popasie«, jak mówił, zanim wynajmie i urządzi własną pracownię. Udało mu się wynaleźć parę odpowiednich pokoi na Nadbrzeżnej z urozmaiconym widokiem z trzeciego piętra na Wilię, na białe mury dawniejszego pałacu Paca, sięgające fundamentem aż do samej rzeki, oraz na kościół świętego Piotra z napisem na facyacie: »Regina pacis funda nos in pace.« Stefan przechwalał się swym wzrokiem, dowodząc, że z tak daleka każdą literę odróżnić może, lecz zapomniał dodać, że posługuje się lornetką. Umeblowanie kawalerskiego mieszkania dużo czasu nie zajęło, ostateczne jednak przenosiny miały się odbyć dopiero za powrotem ze Snopówki. Ku wielkiemu zmartwieniu Stefana wyjazd był odkładany z dnia na dzień, co mu pomieszało szyki; liczył bowiem na dłuższą idyllę zimową. W dodatku drę-

czyło go to poczucie, że Hankę zraził zbytnią poufałością; dała mu to do zrozumienia na wyjeździe, a że nie zdążył wytłomaczyć się przed nią, więc parła go niepohamowana chęć gonienia za nią dla obiecania poprawy. Ksiądz Wojciech nie wiedział jeszcze nic o tych komplikacjach i chcąc dotrzymać słowa siostrzeńcowi, uprosił sobie zastępcę i dokładał starań, by uwolnić się choć na tydzień przed Bożem Narodzeniem.

Nadszedł dzień wyjazdu. Maryanna nakryła do śniadania, po którym należało zaraz ruszyć w drogę. Proboszcz frasował się, że ma zajęcia wyżej uszu. Z wielkiego pośpiechu zarzucił notatkę do kazań wielkopostnych, które zamierzał opracować wolnym czasem na wsi. Wyciągnął szuflady z biurka i przetrząsnął wszystkie papiery — ale nadaremnie.

— Jak kamfora! — mruknął zniecierpliwiony i zarył się znów w swych szpargałach, gdy zaś niespodziewanie wszedł pan Zdzisław, nawet nie obrócił się na przywitanie.

— Siadaj i opowiadaj — rzekł do brata. — Służę ci uszami i językiem, ale oczu i rąk w żaden sposób oderwać nie mogę.

Po chwili widząc, że pan Zdzisław milcząco usposobiony, zagadnął:

- Czy Irena już w Snopówce?
- W Snopówce.
- A ty wybierasz się do Zapola?
- Wybieram się.

— I nie zrobisz nam zawodu na wigilię?
Milczenie.

— Osieł, osieł ze mnie! — uderzył się ksiądz Wojciech w czoło. — No powiedzcież! w książce zostawiłem, a byłbym przysięgł, że schowałem do szuflady. Chwałaż Panu Bogu! Teraz przejrzę jeszcze na prędce, co mi poczta przyniosła. Pozwalasz?

-- Nie! — zawołał pan Zdzisław stanowczo, kładąc rękę na nierozpieczętowanym liście. — Dla twego spokoju, dla zbawienia twego — nie pozwalam! Drżały mu wargi i żyły na skroniach nabrzmiały od napływu krwi do głowy. Ksiądz Wojciech zdumiał się.

— Może to list obojętny — daj Boże! Ale czarne kreski na białym papierze to czasem śmiertelny jad przez oczy wsiąkający w duszę. Co jest w tej kopercie nie wiadomo i dobrze ci z tą nieświadomością; a za chwilę oddałbyś może połowę życia, ba! całe życie twoje, żeby mózg nie wiedzieć nic. I nie będziesz mógł nie wiedzieć i żadna ludzka ani nadludzka siła tego nie zmieni.

Otworzyły się drzwi i pędem wpadł Stefan, za nim Maryanna z salaterką.

— Wujaszku! pociąg nie czeka!

— I kołduny ostygną — dodał pan Zdzisław, odzyskując w tej chwili panowanie nad sobą i pozorną wesołość.

Ksiądz Wojciech wziął go na bok.

— Co ci jest Zdzisławie?

— Chyba nie znasz się na żartach. Nic mi nie jest. Poczciwa Maryanna i dla mnie nakrywa... Ot, siadajmy lepiej, a jak każdy z nas zje całą kopę, to może zechce, żeby jej nie był jadł, ale będzie po czasie. Prawda Stefanie?

Pan Zdzisław był z nich najrozmowniejszy przy śniadaniu. Dokuczał Stefanowi, nazywając go wygłodniałym gryzipezlem, on zaś nie mógł się bronić, bo mu chodziło o połknięcie jak największej ilości kołdunów w jak najkrótszym czasie. Ksiądz Wojciech co chwila wstawał od stołu, przypominając sobie różne rzeczy do załatwienia. Przed samym wyjazdem wezwał brata do sypialnego pokoju.

— Masz ze mną do pomówienia?... to zostanie dzień dłużej; przecie nic nie nagli.

Pan Zdzisław patrzył w okno, unikając wzroku księdza.

— Przyszedłem pożegnać się z tobą — nic więcej.

— A potrzeba wywnętrzenia się zmoęła postanowienie milczenia. Czy tak?

— Alboż ci co powiedziałem? Nie, nie, zostać było by na próżno. Mam interesa w mieście i za parę godzin sam wyjeżdżam.

Wziął rękę brata i trzymał ją długo ściśniętą w swej dłoni.

— Czy to ostatnie twoje słowo? — zapytał ksiądz Wojciech, ociągając się.

— Ostatnie słowo: Bądź zdrow!... Bo to widzisz, komu w drogę, temu czas!

Na tem się rozstali.

Z drogi na kolej chciał ksiądz Wojciech zawrócić, lecz rozważył, że nie będzie wiedział, gdzie brata odszukać. W wagonie zrobiło mu się jeszcze przykrzej i byłby wyskoczył na trzeci dzwonek, gdyby nie interwencya Stefana. Już ruszyli — już pędzą całą siłą pary. Stała się rzecz bezpowrotna.

Bolące oczy razi światło, w tej samej mierze ból serca drażnią wybuchy wesołości, z którą łączyć się nie jesteście w stanie. W Snopówce nic podobnego nie spotkało księdza Wojciecha; przeciwnie minorowy ton przeważał ogólnie. Panią Irenę zastali mocno cierpiącą — podług powszechnego mniemania na influencję—lecz, według zdania lekarza, była to raczej silna gorączka nerwowa. Nie wpuszczano do niej nikogo. Ksiądz Wojciech nie dobijał się o to. Tylko Hanka przed samym przyjazdem Stefana ofiarowała swoje usługi i odtąd nie wychodziła prawie z pokoju chorej.

Nie zanosilo się na częste okazje do rozproszenia myśli, to też od pierwszego ranka wypakował ksiądz manuskrypty i księgi, malarz zaś ołówki i kredki, w które się byli zaopatrzyli. Hrabina miała długą konferencyę z księdzem Wojciechem; po obiedzie zaproponowała dla dywersyi głośne czytanie. Hrabia August pospieszył wymówić się od tego jakimś pilnem zajęciem, tylko hrabina

Augustowa przysła z robotą. Stefan ziewał za stalugą.

Trwało to blisko półtorej godziny, poczem zachęcony cudowną pogodą wziął ksiądz Wojciech siostrzana na przechadzkę.

Uginały się gałęzie jodeł i świerków pod ciężarem spoczywającego na nich śniegu; z po za nich przezierał jasny błękit nieba. Wzdłuż starannie zmiecionych ścieżek parku potworzyły się wały śnieżne; mróz skrzypiał pod nogami; z ust buchała para.

Stefan nastawił kołnierz i wsunął ręce w kieszenie: »Idealny klimacik! żyć w nim i umierać!« mruknął przez zaciśnięte zęby, a po chwili dodał:

— Przyjechał młodzieniec na karnawał i — balujel...

— Waćpan sam sobie winien — odrzekł ksiądz Wojciech — co miała znaczyć owa serya obrazków portretowych zatytułowana: »Pani Stefanowa u siebie«?

— Nie pokazywałem nikomu — a że mi z rąk wyrwała, to nie moja wina.

— Dość, że Hanka uczuła się dotkliwie zdraśniętą i oświadczyła hrabinie, że o nikim jeszcze, a tembardziej o tobie nie myśli.

Stefan stanął odrętwiały.

— Proszę wuja, jak mam rozumieć to »tembardziej«?

— Jużci, że nie pochlebnie.

— Ale niby jak? Czy, że pierwszy lepszy z ulicy byłby jej miłszym ode mnie?

Ksiądz Wojciech tak dalece na złe tego nie tłumaczył. Owszem, był przekonany, że Hanka dała by się ująć wytrwałością i taktownem postępowaniem, bo na zapytanie hrabiny, czy wołała by, żeby Stefan wcale do Snopówki nie przyjeżdżał, odpowiedziała przecząco i wyjaśniła, że jej tylko chodzi o to, żeby dał pokój wszelkim sentymentom.

— Nie wiedzieć co sobie upatrzyła — rzekł Stefan z powracającym dobrym humorem. — Obiecałem przecie, że będę czekał tak długo, jak zechce, bylebym miał jakąkolwiek pewność: a ona wciąż i tak, i nie.

— To wolisz może nie, i kwita?

— Ho, ho! — wykrzyknął Stefan, aż się echo rozeszło po parku. Zerwała się siwowronka z ukrycia i rąchem uderzeniem skrzydeł wzniosła się ponad różowo oświecone, skryształizowane wierzchołki drzew; na puszystym śniegu ciągnął się sznurkiem świeży trop zajęczy: jedyne oznaki życia wśród zamarłej przyrody.

Ksiądz Wojciech moralizował: Nigdy jeszcze miłość nie rozwinęła się pod przymusem; skrepowana przedwczesną obietnicą karłowacieje, lub zrywa swe pęta. Ten tylko ma prawo narzekać na czas próby i denerwującą niepewność, komu o związek chodzi więcej, niż o miłość; bo miłość nie zdobywa się jednym zamachem na wieczne czasy, żyje z dnia na dzień ciągłą ofiarą z siebie. Pozyskać szacunek więcej nieraz znaczy i dalej prowadzi, niż rozpaścić wyobraźnię, lecz kto tego nie

potrafił, a o tamto się nie stara, ten nie może do niczego pretendować.

— Hanka coś podobnego mówiła — przypomniał sobie Stefan — tylko więcej obrazowo. Panny, powiadała, to jak oliwne jabłuszka; kto w porę przyjdzie i potrafi wstrząsnąć ich uczuciem i przekonaniem, temu same wpadają w objęcia; ale ludzie głupi nie zadają sobie tej pracy. Wybierają zielone, niedojrzałe, byle zerwać — i dziwią się potem, że kwaśne. Inne znów przejrzałe i pomarszczone na gałęzi zostają.

— Stąd morał wychodzi: nie bądź głupi! — rzekł ksiądz Wojciech, skręcając ku domowi.

— Niema obawy! nauczyłem się mądrości od przyjazdu i popamiętam!

Zaszło słońce za węgiel pałacu; mróz szczypał coraz silniej, a że księdzu Wojciechowi skostniały ręce i nogi, więc pospieszył naprzód dla rozgrzania się. Przed gankiem obrócił się i spostrzegł Stefana wpatrującego się pilnie w jedno górne okienko, którego zasłona poruszała się z lekka.

— Może czekasz, żebym ci uszu natarł! — zawołał ksiądz Wojciech, nachylając się po garść śniegu.

Stefan w trzech susach skoczył do domu.

W halli rozgrzali się przy kominku, poczem przeszli do salonu. Zastali tam hrabinę, robiącą jakieś uwagi synowi, który je przyjmował wesoło, wykrzykując: »Jeszcze czego! tego tylko brako-

wało!« Na widok księdza Wojciecha zaczął się uskarżać żartobliwie:

— Moja matka chce mieć ze mnie świętego, malowanego, jak na obrazku, a ja powiadam, że kto za wiele żąda, nic nie wskóra. Żebym ja miał się bawić w rozmyślenia pobożne, to tak, jakby mamie zaproponować co wieczór baczka!

— Jeżeli karty uważasz za ogólnoludzkie dobro, wolno ci każdego do nich zachęcać — odparł ksiądz Wojciech, siadając na kanapie obok hrabiny.

— A ja właśnie nie widzę ogólnoludzkiej potrzeby w egzaltowanych medytacjach i mam poprostu wstręt do tej wygórowanej pobożności, co to przedewszystkiem oparta na pokorze, unicestwieniu się i wyrzuceniu się swej indywidualności. Dla tego też nie znoszę książek w tym duchu pisanych.

Hrabia August wziął z kolan matki »Naśladowanie Chrystusa« i przewracał kartki wyszukując zdań, mogących służyć za próbę całej treści. Stefan zajął się utrwaleniem pastelu przy oknie.

— Na czymże polega ta indywidualność, za którą tak obstajesz? — zapytała hrabina.

— Nie łatwo wytłomaczyć — rzekł syn, bo jeżeli powiem, że na odrębności w zapatrywaniu się na rzeczy, to mi zarzucą, że zapatrywania muszą się zmieniać dopokąd nie będziemy w posiadaniu wszechwiedzy — co nigdy nie nastąpi. Wady

i cnoty w nas zakorzenione nie stanowią indywidualności, bo jednych pozbywamy się, a drugie nabywamy, chociaż często odwrotnie do tego, jak być powinno. Wrodzone zdolności, to także rzecz względna, wytrwała praca nieraz dalej sięga. Stanowisko w świecie, stosunki rodzinne zmieniają się: synem będąc, stałem się mężem i ojcem. Ale te wszystkie zmiany, to jakby rozwijanie się mojej indywidualności; w gruncie pozostaję sobą i mogę bić się w piersi, żałując za grzechy, ale nie widzę racji zapierania się samego siebie i wyrzekania się swej godności człowieczej.

Hrabina spojrzała na księdza Wojciecha, jakby wyczekując od niego wyjaśnienia prawdy, tymczasem hrabia August otworzył znów książkę i czytał głośno:

»Ucz się pogardzać rzeczami zewnętrznymi, a oddawać się rzeczom wewnętrznym, a ujrzysz Królestwo Boże, wchodzące do ciebie...« To jeszcze pół biedy!... Ale to drugie: »Gdybyśmy doskonale zamarli sobie samym, a wewnątrz mniej byli splątani, wtedy zdołalibyśmy wznieść umysł w Niebiosy i w Bożej zatapiać się mądrości...« Albo to: »Rzuć wszystko, a znajdziesz wszystko...« Cóż to za logika? — »Synu, o ile wynijdziesz sam z siebie, o tyle we mnie wnijść zdołasz...«

Te ostatnie słowa przywiodły na pamięć księdzu Wojciechowi Ostrą-Bramę i uczucia, które nim owładnęły podczas litanii owego wieczora, a że się poczuwał do obowiązku dzielenia się nimi i roz-

powszechniania ich, więc przelał je teraz w słowa wymowne, bo z przekonania zrodzone. Potem zbijał zarzuty hrabiego Augusta: »Godność człowieka! Czyż mamy ją zasadzać na tem, co z natury rzeczy przejściowem jest i czego volens nolens w końcu pozbawieni będziemy? Przemija wszystko — lecz my trwamy dalej. To nasze stałe wewnętrzne »ja«, nie podlegające zmianom, stanowi istotę naszą, o którą troszczyć się mamy, aby nie posiadając nic z siebie, posiadała wszystko przez połączenie się z Bogiem — źródłem wszech-prawdy wszech-piękna i wszech-dobra. Kto stracił grosz, a odnalazł dukat, o tym absolutnie powiedzieć można, że nic nie zgubił. Kto wyrzekł się żywota doczesnego, a ukochał żywot wieczny — nic nie traci; bo żywot wieczny może się w nas rozpocząć każdej chwili jednym aktem miłości. Kto zaś wyrzekł się matki, braci, sióstr, jako takich, czyli tej zewnętrznej szaty, którą są obleczeni, a ukochał Boga, objawiającego się w ich duszach, ten zaiste odnalazł matkę, braci i siostry, i złączył się z nimi miłością wieczną.«

Stefan, odstawiwszy pastel, zbliżył się do rozmawiających: »Widziałem kiedyś u jednego z kolegów szkic, węglem narysowany, przedstawiający głuchą puszcę wśród zimy: nic prócz śniegu i огоłoconych drzew. U spodu napis: »Cherchez la femme.« Po długim wpatrywaniu się rzeczywiście ujrzałem wśród gałęzi białą postać kobiety i odtąd biła mi w oczy zdaleka, tak, iż nadziwić się

nie mogłem, żem jej wpierw nie zauważył. Artystycznych zalet nie miał ów rysunek, ale dla mnie był pełen znaczenia, jako symbolizujący postawę różnych umysłów względem nauki kościoła. Wszyscy patrzą na ten sam przedmiot, lecz jedni odwracają się od niego, nie widząc nic prócz ciemnego lasu; drugich przykuwa uosobienie prawdy, która nie znika, skoro raz wzrok na niej spoczął.

— Oczy mając, nie widzicie i uszy mając, nie słyszycie! — westchnął ksiądz Wojciech.

— A ja — rzekła hrabina — powracam do tego, że codzienne rozmyślanie jest właśnie takim wpatrywaniem się oczami duszy i dla tego ogólnoludzką potrzebą.

Hr. August oznajmił, że wobec takiej »obławy« na niego musi się poddać; ale wnet przerzucił się na temat rzeczywistego polowania, które chce urządzić u siebie na Polesiu jeszcze przed świętami. Stefan, zaproszony do udziału w niem, wahał się chwilę: »Otóż pojedę!« zdecydował wreszcie i już nie mógł się wycofać, chociaż wieczór zszedł mu tak przyjemnie, że mu się odechciało opuszczać Snopówkę. Hanka bowiem, dowiedziawszy się o projektowanej ekspedycyi myśliwych, zeszła na kolacyę i do późna bawiła gości z ożywieniem i rzadką uprzejmością. To też kłął Stefan na niedźwiedzie i na lasy poleskie, ale nazajutrz o świecie wyjechał.

Następne dwie doby ciągnęły się w iście klasztornej ciszy. Ksiądz Wojciech unikał bez-

czynnej samotności, bo się bał swych myśli i jakiegoś dręczącego niepokoju, który go napastował. Chętnie przesiadywał w salonie na gawędce z hrabiną i jej synową, chodził na przechadzki z dziećmi, zwiedzał mieszkania parobków, byle się czemś rozerwać; a że jeszcze bardziej lękał się bezsenności i majaczenia wyobraźni, więc zasiadał wieczorem do pracy i dopiero nad rankiem gasił światło.

Drugą noc tak spędzał pochylony nad księgami; zabrakło nafty w lampie, zapalił świecę, lecz i ta miała się już ku końcowi. Nagle z korytarza dały się słyszeć przyciszone na dywanie kroki. Przy drzwiach proboszcza ustały. Zapukano. Ksiądz Wojciech nie miał ani chwili wątpliwości.

— Telegram?

— Tak jest — z Zapola.

Rozerwał i przeczytał lakonicznie o nagłej śmierci pana Zdzisława, bez szczegółów żadnych. Spojrzał na zegarek i wydał rozporządzenie o konie na piątą, by zdążyć na pierwszy pociąg, ze spokojem i zimną krwią, jakby odegrywał rolę wyuczoną; potem napisał do hrabiny, z którą nie miał się widzieć przed wyjazdem, prosząc ją o za wiadomienie bratowej, zapieczętował list skrupulatnie i nie znajdując nic więcej do czynienia, skrzyżował ręce i patrzył przed siebie.

Na ścianach, na suficie, na podłodze widział czerwone plamy; tańczyły mu w oczach, nawet gdy oczy zamykał. Krew!... Krew!... Wzdrygnął się

ksiądz Wojciech. Winien był śmierci brata i potępienia jego duszy, winien — on jeden... bo czemu odjechał? — Stosował do siebie ostatnie niemal słowa, które słyszał z ust pana Zdzisława: »Zadna ludzka ani nadludzka siła już tego nie przerobi — żebym nie był wyjechał! Ale jak mogła na to zezwolić — Opatrzność?... Jak mogła?... Włos z głowy nie spadnie... a tu szło o duszę!...«

I stało się coś niepojętego w umyśle księdza Wojciecha. On, co wierzył w Boga, jak w istnienie słońca, leciał teraz na złamanie karku w przepaść zwątpienia. Zachwiało się wszystko, na czym świat stoi, nie było o co się uchwycić... Zamęt i rozpacz tak szalona, że ją mógł wywołać jeno mniemany tryumf potęgi złego nad wiecznym dobrem.

Biła godzina druga i trzecia. Ksiądz Wojciech siedział jak skamieniały. W końcu bezwiednie, z przywyknienia, nim na to rozum zezwolił, poruszyły się usta i wyszeptały: »Z głębokości wołam ku Tobie — Panie! Panie!...« Ocknął się, jak gdyby obcy głos posłyszał i odtąd zaczęły przed nim pierzchać ciemności. Tak dźwiga się dusza z pokusy wsparta na zdobyczach przeszłych zwycięskich walk. Łaska Boża działa w ciszy, niewidzialna ludzkiemu oku. Gdy wzywa, jeden przedśmiertny popęd wystarcza — a miłosierdzie Boże bez granic!...

Powstał ksiądz Wojciech i zbliżył się do okna. Dogorywająca świeca dawno już zgasła, na niebie

błyszczały jasno jak na silny mróz konstelacje zimowe. Znał teraz ucisk zwątpienia, dotknął granic niedowiarstwa. »Jacy oni biedni!... Jacy nieszczęśliwi!...«

Za nich, za siebie, za cały niewierzący i wątpiący świat, wydarł mu się okrzyk o zlitowanie: »Wierzę, Panie, ratuj niedowiarstwa mego!...«

A drogą, kędy natchnienie spływa, przysłała mu odpowiedź: »Chciej!«





ROZDZIAŁ XX.

Pan Zdzisław się otruł. Pomylił się w lekarstwach i zażył tak silną dawkę trucizny, że nie było ratunku.

Stwierdził to sam na papierze, między paroksyzmami, póki mu sił starczyło. Służba przywołana, gdy się już wił z bólu, straciła głowę. Rozbiegli się wszyscy: kto po doktora o mil kilka, kto po księdza do najbliższego probostwa.

Tymczasem w obecności przerażonego Józika pan zakończył życie.

Ksiądz Wojciech z powodu złej komunikacji kolejowej i zawianej drogi, przybył dopiero we dwadzieścia cztery godziny po zgonie brata. Zastał w domu policyę, doktora i sędziego śledczego, lecz ci panowie po skonstatowaniu przypadkowej śmierci i przeprowadzeniu formalności, w takich razach wymaganych, zaraz wyjechali. W pustych pokojach pozostał ksiądz Wojciech sam.

Do papierów brata nie chciał się dotykać, odczytywał tylko po kilka razy ostatnie słowa, jego ręką skreślone. Pismo zanadto wyraźne i czytelne, zdania zbyt prawidłowo powiązane, jak na umierającego. Ksiądz Wojciech westchnął głęboko. Wziął Józika na indagację, lecz ten nie widział pana Zdzisława piszącego i nic z ust jego nie słyszał, prócz jęku od czasu do czasu, ze słowami: Jezus! Marya!... Tak się pospolitują te imiona w potocznej mowie, tak często bywają użyte jako pusty wykrzyknik, że zawahał się ksiądz Wojciech i teraz przypisać im głębszego znaczenia; wiara jednak w miłosierdzie Boże, o którym nie miał już wątpić, odezwała mu się w sercu spokojna i niewzruszona, jak samo oblicze zmarłego. Leżał na łóżku, niby uśpiony.

O trumnę dopiero ksiądz Wojciech telegrafował do Stefana, licząc, że się zatrzyma w Wilnie między pociągami. W odpowiedzi przyszło oznajmienie o przyjeździe siostrzeńca i hrabiego Augusta nazajutrz. Po panią Irenę wysłano konie przed wieczorem, bo miała przyjechać następnym pociągiem.

Ksiądz Wojciech postanowił czuwać całą noc przy zwłokach brata. Wysunięto je ku środkowi pokoju, nad głową stał krzyż i paliły się dwie świece woskowe. Po bokach ustawiono większej objętości świece w wysokich kościelnych lichtarzach, posadzkę wysypano jedlinką. Z przezorności trzymano okna otwarte cały dzień i powietrze tak się

oziębiło, że woda święcona zamarzła w kropielnicy. Ksiądz Wojciech usiadł i modlił się z książki, potem w duchu.

Przed udaniem się na spoczynek przyszły kobiety i dziewczęta dworskie, i uklękłszy w półkole, śpiewały. Każdą zwrotkę żałobnej pieśni rozpoczynały wysokie dyszkanty niedociągając; odpowiadał im cały chór o dwa tony niżej i rozlegał się śpiew rytmicznie monotony, jak żałosna kołysanka. W przerwach odważniejsze zbliżały się, aby popatrzeć na nieboszczyka, wreszcie jedna za drugą powychodziły.

Księdza Wojciecha przejmował ogromny żal, większy jeszcze po tem, co być mogło, niż po tem, co było. »Gdybyś był dostał inną... — mówił w myśli do brata — czegożby ona z ciebie nie zrobiła! Czemu wola ku złemu zawsze taka pewna siebie, a dążenia dobre — nieśmiałe i wystraszone, nie wiedzieć przed czem? Ludzie dobrej woli, wy często nie macie woli żadnej! Powtarza się bez końca historia malca, który chce umieć lekcyę i skakałby z radości, gdyby mu sama do głowy weszła, ale się nie uczy. W ten sam sposób chcemy dobra ludzkości, chcemy zbawienia dusz naszych, chcemy pojąć wiarę... I to się nazywa chcieć! A przecież aniołowie śpiewali: »Pokój ludziom dobrej woli«, bo nic naszym nie jest prócz woli naszej i zasługi innej niema, jeno w niej...«

Na twarzy księdza Wojciecha przebijało się wewnętrzne cierpienie; powiódł ręką po czole,

jakby chciał usunąć niepokojące myśli: »Sędzią Bóg, a nie grzeszni ludzie; dla tego, bracie, wierzę jeszcze, że zbudziła się w tobie ta wola dobra w ostatniej godzinie i żeś z nią odszedł przebaczo-ny... Pokój duszy twojej!...«

Z woli rodzą się czyny, z myśli uczucia; stąd ważność kontroli ciągłej nad czynnością umysłu. Ksiądz Wojciech zgubił się w rozmyślaniach i nie spostrzegł nawet jak zahaczył o najdrażliwsze kwestye, jak się w nich potem zagłębił, roztrząsając szczegółowo przyczyny straty, która go dotknęła i moralną wartość jej sprawców. Zawrzało w nim z gniewu i oburzenia. Wolno podnosiła się fala rozgoryczenia, lecz w końcu zalała wrodzone uczucia przebaczenia i miłości chrześcijańskiej.—Niechże mu się na oczy nie pokazuje, bo między niemi nie ma już nic wspólnego.

Weszła. Ksiądz Wojciech zerwał się na równe nogi. Nie słyszał zajeżdżających sanek, ani zważał na ruch w sieni; teraz otworzyły się drzwi i posuwając się cichutko wzdłuż ściany, zatrzymała się pani Irena po drugiej stronie łoża zmarłego. Księdza Wojciecha zdawała się nie widzieć wcale; w nim zaś toczyła się walka, tem zaciętsza, że nie był na nią przygotowany. Stali naprzeciwko siebie nieruchomi; dzieliła ich otchłań grobu, w którą zapaść się miały te zwłoki.

Czy odezwie się w niej sumienie? czy zadrży wobec grozy śmierci? — Znać na niej ślady choroby i gorączkę, trawiącą ją dotąd; zresztą chłodna obo-

jętność, czy też wielkie panowanie nad sobą. Ksiądz Wojciech obserwował i coraz bezwzględniej potępiał. Nie dopisały jej siły fizyczne, musiała oprzeć się o ścianę i powoli zsunęła się na ziemię, zakrywając twarz w dłoniach. Młotem poczęło bić serce księdza i już wyciągał rękę ku niej. — A jeśli to nie żal prawdziwy? — pomyślał i cofnął się. Minał popęd współczucia; ksiądz Wojciech zeszywniał znów. Dał jej klęczeć długą chwilę, dał jej powstać i wyjść, nie zamieniwszy z nią ani słowa. A jednak splakaną była!

Ksiądz Wojciech spojrzał na spokojne oblicze brata, którego ani ból, ani radość nie zdolne wzruszyć. »Ty już nie jej — i ona nie twoja; skończyło się wszystko między wami. Ale czy się kończy kiedy obowiązek względem duszy ludzkiej?« Tem uczuciem wiedziony poszedł za nią.

Nie było pani Ireny w gabinecie; nie było jej w salonie. Ksiądz Wojciech miał już powracać, gdy spostrzegł ją przy oknie, ochładzającą rozpalone czoło o zamarzłą szybę. Obróciła się szorstko:

— Nie zadawaj sobie gwałtu; wiem, co o mnie myślisz.

— Myślę przede wszystkim, że cierpisz.

Zmieszała się widocznie i spuściła oczy.

— Ale nie tak, jakbyś tego chciał.

— Z każdego cierpienia może być pożytek moralny — odrzekł spokojnie.

Miała coś powiedzieć i wstrzymała się. Ksiądz Wojciech czekał.

— Czy... czy myślisz, że on... dobrowolnie?...

— Napisał, że nie.

Wzruszenie tłumione dotąd opanowało panią Irenę ze zdwojoną siłą; wybuchnęła spazmatycznym płaczem, zagłuszającym urywane zdania.

— Chcę temu wierzyć... boby mię wyrzuty zadreńczyły... Myślałam, że znajdzie się z czasem... i znalazła się... szalona, bezpamiętna... dla innego... Jak zbawienia pragnęłam być wolną... ale nie takim kosztem...

Łkanie nie ustawało, lecz stopniowo przechodziło w cichsze objawy boleści, opuściła się na krzesło i gorącemi łzami płakała. Ksiądz Wojciech znał skuteczność szczerych i prostych słów w porę wypowiedzianych; nie była jeszcze pora ku temu, dlatego milczał.

Szyby, na które padało z dziedzińca światło latarni, lśniły się milionem brylantowych błysków i jak w transparencie ukazywały się fantastyczne desenie ręką zimy po mistrzowsku utworzone.

Ksiądz Wojciech dumiał.

— I skrucza, to mistrzyni taka, co z łez stwarza wzory moralnego piękna.

Po chwili odezwała się pani Irena, ocierając oczy.

— Nie możesz mnie więcej potępić, niż ja siebie...

Ale gdy jej ksiądz myśl swoją wyjawiał, rozplakała się na nowo.

— Zanadto doskonałym jesteś, abyś mógł zrozumieć taką, jak ja. Skruszoną czuję się aż do znieprawienia siebie, dlatego właśnie, że wśród skruchy przebija się zadowolenie, którego stłumić nie mogę pomimo całej jego potworności; chyba bym sama sobie kłamała.

Ujęła księdza Wojciecha jej szczerłość.

— Nie trwóż się. Ułomność natury ludzkiej wzbudza mnóstwo uczuć i myśli, które, pomimo że się w nas rodzą, obce nam są, dopóki nie przychyli się do nich wola. Spójrz raczej w przeszłość na ogrom występków woli — a przyszłość zostaw Bogu.

Mówił z bezstronnością kapłana względem chwiejnej i cierpiącej duszy. Nie wymagał nad siły. Żądał tylko, aby się nie odwracała od goryczy chwili obecnej i ciągnęła z niej korzyść, jaką ma chory z lekarstwa.

— W obec majestatu śmierci niech przyjdzie opamiętanie! — kończył ksiądz Wojciech. — Strzała, znacząca siłę woli ku złemu lub dobremu na szalach sprawiedliwości, waha się bezustannie. Oby się chwiała tylko między większym a mniejszym wysiłkiem ku dobremu, nie przerzucając się

już nigdy w stronę złego. Bo nie wiemy dnia ani godziny, w której śmierć położy rękę na wskazówce; a na czym stanie, to przetrwa niezmiennie, jak jest niezmienną wieczność...

— Wróć się tam—wskazał ksiądz na drzwi—
i w obecności Bożej rozważaj!





ROZDZIAŁ XXI.

Spieszono się z pogrzebem z powodu nadchodzących świąt, to też zaraz po przyjeździe hrabiego Augusta i Stefana zwłoki zostały przewiezione do parafialnego kościoła i po nabożeństwie żałobnem w grobie rodzinnym złożone.

Hrabia August dziwił się nieobecności żony, ale mu pani Irena wytłomaczyła, że nie zważając na gorączkę, przemocą wymknęła się z rąk siostry, gdyż nie życzyła sobie, aby jej ktokolwiek towarzyszył. To widocznie ubodło panią Izę tak dalece, że nie przyjechała wcale. Hrabinę zaś wstrzymały silne mrozy.

Z pogrzebu ledwie na kilka godzin wrócili do Zapola, poczem rozjechali się, zostawiając panią Irenę, zajętą uporządkowaniem i opakowaniem rzeczy przed ustąpieniem z mężowskiej siedziby. Willę »Słoneczną«, miała zatrzymać jak swoją schedę, co, obok nienaruszonego posagu, zapewniało

jej byt niezależny. Zapole zaś przechodziło na własność Stefana, najbliższego krewnego, po zrzeczeniu się księdza Wojciecha. Oczywiście dużo spląt ciężło na majątku, więc umówił się młody dziedzic z wujem i hrabią Augustem, że zjadą tam znów z początkiem wiosny dla ocenienia wartości i określenia sumy, należącej się innym spadkobiercom.

Zdrowie księdza Wojciecha ucierpiało bardzo skutkiem przebytych silnych, wzruszeń, wyglądał tak źle, że ujrawszy go, przeraziła się Maryanna.

— Na miłość Boską, niech proboszcz szanuje się! A to sam wygląda, jak gdyby z drugiego świata powracał.

— Oj, Maryanno! Na prawdę, nie wiem, skąd wracam, bo oprzytomnieć nie mogę.

Ksiądz Wojciech nie miał siły ruszyć się z fotela. Przyniosła mu kieliszek wina, roznieciła ogień w piecu i nadrabiała miną dla dodania sobie i jemu otuchy.

— Ja stara, za paszportem na tej ziemi; przyjdzie termin, odstawią do granicy i — bywaj zdrowa! Ale młodego bezprawnie turbuje choroba.

— Nie wyobrażaj sobie, żem niezdrów; tylko nie swój już jestem i dziwno mi, że to wszystko na jawie się stało..

Maryanna chlipała za fartuchem.

— Nie potrzebowałam sekretnej policyi, żeby wiedzieć, co się święci; ale ta, co potrafiła zakupić informację, a nie potrafiła ostrzec, niech ją zdep... wszyscy święci kochają!

— Czy ci się w głowie pomieszało, Maryanno?

— Na nic się nie przyda rozmazywać dawne dzieje, ale kiedy ksiądz proboszcz chce wiedzieć, to już opowiem, jak było.

Tu Maryanna, trzymając się swej metody, »ab ovo« zaczęła:

— Przepadły mi trzy ruble. Myślę sobie: »co się przyśni, to przyciśnij«, i czekam, nuż mi sen objawi, do czyjej kieszeni trafiły. Jedna noc mija i druga, nareszcie trzeciej nad rankiem widzę je związane na węzełek w chusteczce, którą zgubiłam w kościele. Budzę się i zaraz przypominam sobie słowa księdza proboszcza: »Sen mara, Bóg wiara.« Brednie to wszystko! A najpewniej pan Antek winien, bo skądże mu się tyle pieniędzy raptem nabrało? Grozę mu więzieniem i wyciągam z niego prawdę. Nie skradł moich, ale wzbogacił się w drugi sposób.

Rozejrzała się po pokoju dla zapewnienia się, że tam się nikt z ciekawości nie przyczaił. Ksiądz Wojciech, obezwładniony apatją, która go opadowała w drodze reakcyi, nie miał ochoty słuchać, ani przerywać, więc ciągnęła dalej tajemniczo:

— Panna Aniela od hrabiny Augustowej przycupiała gdzieś Antka i wypytywała, czy on przypadkiem od Józika nie słyszał, jak często doktor Okołowicz bywa w »Słonecznej.« Chłopiec nie wiedział. Ona tedy powiada: »Dowiedz się, a nie pożałujesz, bo moja pani frasuje się o zdrowie szwagra i za każdym razem chce być zawiadomioną.« Juźci, że Antek donosił i brał srebrniaki na piwo. Żeby to co pomogło, to by była kalkulacja...

Ks. Wojciecha przejmowały wstręt i obrzydzenie do ludzkich czynów.

— Maryanno! — rzekł — pan Zdzisław otruł się przez pomyłkę — to się stało. Grzech bawić się w domysły z ujmą cudzej sławy. Teraz zostaw mię — chcę wypocząć.

Przechylił głowę w tył na fotelu i zamknął oczy, starając się o niczem nie myśleć.

Wolno wracały siły księdzu Wojciechowi, ale się nie poddawał fizycznemu osłabieniu i wytrwale spełniał obowiązki stanu. Ze Stefanem widywał się zaledwie parę razy w tygodniu, gdyż tenże postanowił wykończyć konkursowe płótno, nim się weźmie do pracy na innem polu. Właściwie sam nie wiedział, czy się smucić, czy cieszyć ze swego spadku. Do gleby nie miał przywiązania i więcej z musu niż z zainteresowania umawiał się z Jerzym Bogackim o niezbędne narzędzia i maszyny dla prowadzenia gospodarki, przez pana Zdzisława dość zaniedbanej. Nowy skład rolniczy miał być

założony pod firmą Jerzego, który do spółki wziął Jarmunta; obiecywali sobie nie mały zysk z tego przedsiębiorstwa, prócz zasługi społecznej w ułatwieniu drobnym właścicielom nabywania towaru przy najkorzystniejszych warunkach. Stefan wychwalał teraz przed wujem tendencje i poglądy Jerzego, o którym zmienił zupełnie dawniejszą niekorzystną opinię. Przez pannę Wołyńską był ongi jakoby nie przyjęty i sam się do tego przyznawał, dowodząc, że jednak nie traci jeszcze nadziei. Zbliżenie się do Jarmunta dawało pod tym względem dużo do myślenia.

Długo była wyczekiwana w tym roku wiosna. Nim śniegi i lody puściły, nie mogło być mowy o jeździe do Zapola, więc dopiero w drugiej połowie marca, odbyła się ta kilkodniowa wycieczka. Hrabia August i Stefan z rządcą i leśniczym objeżdżali granice od świtu do nocy, chcąc jaknajprędzej skończyć ze swem zadaniem. Ksiądz Wojciech towarzyszył im niekiedy, gdy chodziło o sporne grunta, lecz po większej części pozostawiony sam sobie odwiedzał znajome strzechy, lub wędrował samotnie po rodzinnych łąkach i lasach. Gdzieś tam topniały w słońcu resztki śniegu; miejscami ukazywała się świeża trawka i pierwiosnki wyskoczyły z pod ziemi. Wody rozlały szeroko, tworząc bezbrzeżne moczary o niezliczonych wysepkach, zarosniętych jałowcem; z zachodu ciągnęły słomki i bocian przyleciał. Dawni przyjaciele księdza Wojciecha, stare lipy, omszone kamienie, krzy-

że przydrożne przechowały zwierzenia jego i witały go przypomnieniem myśli i uczuć, które, bez ich pomocy, może by się już nigdy w jego pamięci nie odezwały. Błogosławiony, prowadzący ku udoskonaleniu się, szereg lat, w których ze spokojem spoglądać możemy nawet na cofnięcia się wstecz, bo z nich pochodził silniejszy rozpęd i wytrwalszy bieg naprzód!

Ulubioną swą topolę ksiądz Wojciech za ledwie poznał. Stała dawniej na rozgraniczu między bujnie porośłym torfowiskiem, a złotymi polami: teraz, zalana dokoła wiosenną powodzią, odbijała się w niej, jak w lustrze. Ksiądz Wojciech zawstydzony swą pomyłką, przystanął i słuchał, co mu topola z daleka mówiła: »Nie widzę siebie inaczej, jak w zwierciadle wód — i ty, przechodniu, nie znasz duszy swej, jeno w topieli przeszłości poznajesz jej wizerunek. Im częściej wejrzysz w nią, tem się więcej doskonalić będzie; bo ja — bezwiednie, ty — świadomie rośniesz.«

* * *

Ksiądz Wojciech wejrzał w siebie i z pobytu w Zapolu wywiózł nowe siły ducha. Z księdzem Jaunisem i Krystyną dzielił w części swą pracę dla dobra ogółu. W ochronce dawno nie był, a że obiecał zwiedzić ją w porze obiadowej, więc,

nie naznaczywszy dnia, pewnego razu wszedł tam niespodzianie.

Zastał pannę Wołyńską w otoczeniu kilkunastu dzieciaków, z których najstarsze liczyły zaledwie lat sześć. Zabawiała je w różne gry, starając się utrzymać zgodę i porządek wśród hałaśliwej bandy, podczas gdy dozorczyńi obiad gotowała. Mając dwoje na kolanach i trzecie uczepione u szyi, nie mogła ruszyć się z miejsca, więc śmiejąc się, wyciągnęła rękę do proboszcza:

— W niewoli tatarskiej jestem, bo czyż może być gdzie większy despotyzm, niż pod rządami tych małych barbarzyńców?

— Czy to cały komplet? — zapytał ksiądz Wojciech, przyglądając się każdemu po kolei.

— Prawie. Czworga nie przyprowadziły dziś matki z powodu niezdrowia.

— Dziwna rzecz, jak po tych twarzyczkach zaraz poznać można, od jak dawna które z nich przychodzi. Ten malec, naprzykład, to z pewnością najnowsza akwizycja — zwrócił ksiądz uwagę na wątłego chudziaka.

— Zgadł ksiądz proboszcz — odpowiedziała Krystyna, rada ze spostrzeżenia — ale nie wiem, czy co z niego będzie nawet po dłuższym pobycie u nas, bo to rachityczne dziecko. Chciałam go umieścić w klinice doktora Okołowicza, niestety, otrzymałam odmowną odpowiedź. Tłumaczy się pan doktor tem, że żadnych nowych pacjentów

nie przyjmuje, ponieważ klinika wkrótce będzie zamknięta.

— Doprawdy? Ależ to nieodżałowana szkoda dla całego miasta!

— Nie pojmuję, co go skłonić mogło do tego, chyba że się przesiedla gdzieindziej. Może ksiądz proboszcz zechce teraz wstąpić do mego biura? — zapraszała, uwolniwszy się z dziecinnych rączek.

Ksiądz Wojciech wszedł za nią do małego pokoiku, gdzie się odbywały konferencje z matkami i rozdawała obfita jałmużna duchowa. Panna Wołyńska pootwierała szafy, w których były starannie złożone zapasy odzieży dzieciennej; dała księdzu do przejrzenia księgę wpisową, w wielkim porządku prowadzoną, a we wszystkim znać było jej troskliwość i prawdziwe zamiłowanie do tej pracy.

— Przyjmujemy dzieci tylko w najmłodszym wieku, ponieważ nie wolno ich uczyć niczego, nawet katechizmu — mówiła, przysuwając księdzu Wojciechowi krzesło. — Dla starszych bezczynność taka byłaby demoralizująca, ale ten drobiazg bezwiednie uczy się jednej z najważniejszych rzeczy: miłości ku ludziom. A może i na dalsze życie coś z tego pozostanie.

— Kto chce uczyć, musi sam wpierw umieć — odparł ksiądz Wojciech — tobie można by zaraz wydać patent na tego rodzaju nauczycielstwo, bo widocznem jest, że bardzo dzieci kochasz.

— Tak dalece, że nie umiem darować krzywdy jakiemukolwiek dziecku wyrządzonej — głos Krystyny zniżył się niemal do szeptu. — Jedno z nich stanęło między mną, a tem... coby mogło być dla mnie szczęściem i... chociaż stało się pewnego rodzaju zadośćuczynienie... waham się jeszcze.

Ksiądz Wojciech zrozumiał.

— Co jest potępienia godne, potępić trzeba; ale w chwili, gdy się po raz pierwszy otwierają oczy na życie, jesteśmy może skłonni zbyt surowo sądzić?

— Od kiedy tu pracuję, mam je szeroko otwarte. — Jak gdyby na potwierdzenie tych słów patrzyły na księdza Wojciecha jej duże łagodne oczy, pełne inteligencji, która w połączeniu z nieskałaną jasnością wyrazu nadawała im wdzięk niezrównany. — Naraziłam się nawet na ostrą krytykę — ciągnęła dalej panna Wołyńska — bo wymagam tylko metryk chrzestnych. O dobro dzieci jeszcze więcej dbam, niż o matki, o przyszłość więcej, niż o przeszłość, dla tego nie przebiegam. Zresztą, gdybym którekolwiek odrzuciła, jeszcze silniej odezwałby się głos wewnętrzny, wołający: »Krzywda! Krzywda!« -- Księżę proboszczu! jak mnie ten głos prześladował dniem i nocą. Uległa bym dawno osobistym względom, gdyby nie to wewnętrzne poczucie, że nie zdołamy nigdy zbudować szczęścia na cudzej krzywdzie! Spuściła głowę, chcąc ukryć wzruszenie i cisnące się

do oczu łzy. — Dowiedziałam się przypadkiem... U znajomego introligatora zamieszkała schorzała i zapracowana szwaczka, nie wiele starsza ode mnie...

— Wiem — przerwał jej ksiądz Wojciech, przypominając sobie dokładnie chorobę i śmierć przygarniętej przez Mrozowiczów kobiety.

— Tem lepiej! Nie potrzebuję tłumaczyć... Podobieństwo musiał ksiądz proboszcz sam zauważyć. Rozmówiliśmy się na ślizgawce, ale trzeba wiedzieć, żeśmy byli przedtem po słowie...

Krystyna, odzyskując powoli zupełne panowanie nad sobą, opowiadała księdzu przebieg swej znajomości z Jerzym Bogackim. Zaczęło się od stosunków czysto światowych podczas karnawału dwa lata temu. W poście widywali się rzadziej i nie przechodziło im nawet przez myśl, że może się między nimi rozwinąć coś głębszego od sympaty. Dopiero jednego pamiętnego wieczora zbliżył ich traf, czy też przeznaczenie. Pan Wołyński wyszedł na przechadzkę z córkami; w ogrodzie botanicznym spotkali dużo znajomych, przywabionych tam urokiem wiosennego zmroku, ciągnącego się do późnej godziny. Grono ich zwiększało się coraz nowszymi przybyszami, między którymi znaleźli się i panowie Bogaccy. Wśród gwaru rozmów i wybuchów wesołości młodzieży, rozsiedli się wszyscy rzędem na ławkach pod kwitnącym bzem. Zabrakło miejsca i Krystyna z Jerzym musieli usiąść opodal, skąd dolatywały ich urywane

słowa z ogólnej rozmowy, lecz udziału w niej brać nie mogli. Odosobnienie takie nie było im po myśli i z początku wymieniali zdania od niechcienia, przysłuchując się raczej zdaleka temu, co inni mówili:

»Patrzcie państwo! cała kopalnia porte-bonheur'ów na tej gałązce!—zawołała Hanka, znalazłszy pięciolistne kwiecie. Na to Jerzy zwrócił się do Krystyny z zapytaniem, czy jest zabobonna? Ona zaś odpowiedziała mu, że zabobon czepia się zwykle umysłów niewykształconych, które Boskich rządów nad światem nie rozumieją, albo przemądrzałych, wierzących w jakieś siły tajemnicze, byle nie w Opatrzność. »Les extrêmes se touchent«, zacytował wówczas ku jej zdziwieniu, gdyż nie spodziewała się znaleźć w nim poparcia. Inne jeszcze podobne czekały ją niespodzianki. Z wróżb szczęśliwych nieuniknionem było przejście na temat samego szczęścia, a stąd maluczki krok dalej do źródła, skąd ono wypływa. Dyskutowali ogólnikowo tylko, ale zgadzali się w swych poglądach, jak nie można lepiej. Na rozstaniu się spytał raz jeszcze Jerzy: »A więc zdaniem pani podstawą wszystkiego jest poświęcenie się i wzajemna wyrozumiałość?«—Tak, z tem tylko zastrzeżeniem, że wyrozumiałość a pobłażliwość nie są bynajmniej synonimami. Pół roku potem, gdy z nim zerwała, odwołał się do tej rozmowy w niemy sposób, posyłając jej na pożegnanie wiązanekę bzu. Była wówczas w takim stanie rozdrażnienia i zdener-

wowania, że bez namysłu oddała kwiaty tej, której, według niej, one się najbardziej należały.

Krystyna, skończywszy opowiadanie, zwróciła się o radę do proboszcza. Śmierć położyła kres dalszym losom pokrzywdzonej; dziecko, którego matka za życia oddać nie chciała, ma przyszłość zapewnioną. Ale czy na tem koniec zadośćuczynienia? Czy godzi się na tych gruzach budować?

Zamyślił się ksiądz Wojciech.

— Skrucha bez zadośćuczynienia jest fałszem, i fałszem także zadośćuczynienie bez skruchy; lecz jedno z drugim połączone stanowi odrodzenie człowieka. Miara zadośćuczynienia przeróżna, według okoliczności, o których może sądzić tylko sumienie, jednakże u wszystkich, gdy się jego głosu słucha bez ograniczeń żadnych. Gotowość woli na wszystko, czego by sumienie zażądać mogło — to warunek niezbędny odrodzenia duchowego; pozatem nie przesadzajmy wyroków miłosierdzia Bożego. W gruzach pogrzebion stary człowiek, odrodzony nie ma przeszłości...

Zgodziła się z tem Krystyna i dziękowała proboszczowi za uspokojenie. W przyległym pokoju odmawiały dzieci modlitewkę przed jedzeniem.

— A jednak — rzekła, wstając — nie móż się przyznać do swej przeszłości — to przykrość nielada. I on to rozumie, po czasie!

Stanęli w otwartych drzwiach, skąd widać było na niziutkich ławeczkach usadowione dzieciaki przy obiedzie.

Główka przy główce, śmiejące się, wesołe, tworzyły śliczny obrazek zarania ludzkości.

— Różnorodne jest zło na świecie, ale często bezwiedne; wielka to odpowiedzialność wychowywać młode pokolenie, tak, iżby z nieświadomości nie bładzili — ...Świła Krystyna, zastanawiając się.

— Nieświadomość nie gładzi winy, tylko ją zrzuca na tych, którzy, mogąc, nie oświecali, lub, co gorsza przeszkadzali oświacie! — odrzekł smutnie ksiądz Wojciech. — Ciężko będą nam sądzone grzechy cudze, jeśli kamień młyński u szyi nie wystarczy. Ale czy wielu o tem pamięta?

Ksiądz Wojciech opuścił ochronkę z wrażeniem, że tu przynajmniej w ukryciu rośnie siejba Boża. Ile przeszkód, ile złej woli ludzkiej, ile nadużycia władzy dokoła! A przecież za każde, nawet bezwiedne zło, odpowiedzialnym ktoś będzie!

I począł przetrząsać własny spichrz, wyrzucając sobie, że za mało z niego ziarna na siew poszło.





ROZDZIAŁ XXII.

Jednocześnie ogłoszone zostały z ambony zapowiedzi panien Wołyńskich, bo jednocześnie miały się odbyć ich śluby. Nie było powodu dłużej zwlekać, a że w miesiącu, poświęconym Najświętszej Pannie, dawny zwyczaj nie pozwala kojarzyć małżeństw, rozesłano zawiadomienia na ostatni dzień kwietnia. Ksiądz Wojciech obiecał dać ślub obu parom w kaplicy świętego Kazimierza, pod warunkiem, że w zebraniach weselnych uczestniczyć nie będzie. Pani Irena także stroniła od towarzystwa i już w wielkim tygodniu wyjechała do krewnych na wieś, aby uniknąć powinszowań świątecznych.

Do zwiedzania grobów w Wielką Sobotę sprzyjała pogoda, to też ciągnęły niezliczone tłumy od kościoła do kościoła; pozamykano sklepy i co żyło w mieście ruszyło gromadnie składać hołd umęczonemu Zbawicielowi. Ksiądz Wojciech

spotkał się z księdzem Jaunisem u świętego Jana i stamtąd wyszli razem.

— Dokądże teraz Ojczulku?

— Do świętego Rafała. Pójdziemy przez Cielećnik i Nadbrzeżną.

Ksiądz Wojciech dowiedział się był tylko co o mianowaniu księdza Jaunisa proboszczem na miejscu księdza Karaniewicza, naznaczonego na wakujący dziekanat na prowincyi. Ucieszył się tem, że szersze pole do działania będzie miał teraz wikary, dla którego zachował wielkie uznanie, pomimo, że mu się nie udało, jak sądził, nakłonić go do swych poglądów. Winszował mu nowej godności i wyraził nadzieję, że znajdzie tam dużo materiału, nad którym najbardziej pracować lubi. Uśmiechnął się ksiądz Jaunis znacząco.

— Łamiesz nade mną ręce, Ojczulku, i myślisz w duszy: nic z niego nie będzie! A ja ci powiem, że nikt mi tyle nie dał, co ty, i nikt takiego wpływu na mnie nie miał. Przyznałem ci słuszność dawno i od tego nie odstępiałem: spójnikami powinniśmy wszyscy być. Ale są małe ogniwka u łańcucha, są też i większe, łączące kilka łańcuszków w jedno. Ot widzisz! — mówił, spoglądając na księdza Wojciecha z uwielbieniem — dla tego trzymam się ciebie, mój wielki spójniku, a robię swoje podawnemu, jak mi sumienie nakazuje.

Ksiądz Wojciech był wzruszony i zrazu nie odpowiedział nic.

— Dałby Bóg, żeby większe ogniwo było z tego samego kruszcu co i mniejsze! — wyszeptał wreszcie, wzdychając głęboko.

Po drodze spotykali mnóstwo żebraków, dla których nastaly obfite żniwa; najohydniejsze rany i kalectwa odkrywano dla wzbudzenia litości przechodniów. Na widok wstrętnego lupusa mimowolnie odwrócił ksiądz Wojciech głowę.

— Biednaż to dusza, co w takim ciele przemieszkiwać musi! — zawołał.

Ksiądz Jaunis zaś zaczął porównywać życie narodów do życia pojedynczych istot.

— Normalne rozwijanie się — mówił — powinno by doprowadzić do doskonałego trybu istnienia i ducha i ciała. Lecz za naszych czasów dziwotwory prym dzierżą. Rozrasta się wielkolud z krwi i kości, a wyekspensowawszy siły na zewnątrz, w duchu pozostaje niemowlęciem. Inny znów kaleka, bez rąk i bez nóg, rośnie na ducha — olbrzyma i żyć będzie — dopóki ziemskiej nieśmiertelności starczy, jeżeli skupi pracę swą i wysiłki na wewnątrz.

— Byle nie rozdrażniał wielkoluda — rzekł ksiądz Wojciech — to go ułaskawi i będzie go wiódł mocą swej moralnej przewagi.

Weszli księża do przybytku, gdzie się ta przewaga czerpie.

Wieczorem w różnych godzinach odbyły się rezurekcyje w kościołach wileńskich, z wyjątkiem świętego Michała, gdzie się utrzymał dawny zwy-

czaj czekania do świtu, aby zaraz po przeniesieniu Najświętszego Sakramentu z grobu do ołtarza, mogła być odprawiona solenna msza wielkanocna. Po nabożeństwie w swoim kościółku, wrócił ksiądz Wojciech do plebanii samotny i smutny. Wesoły dziś dzień nastał, ale nie dla niego; nie odwalił się kamień, przygniatający mu serce. Maryanna otrzymała polecenie nie przyjmowania nikogo, oprócz panicza, rozumie się.

Przyszedł panicz w południe i winszował wujowi świąt z taką miną, jakby jakie kondolencye składał.

Ksiądz Wojciech nie mógł znieść zasepionej twarzy u młodych, więc chociaż przed chwilą sam potrzebował otuchy, rozweselał siostrzeńca, starając się wniknąć w przyczynę melancholii.

— Marność nad marnościami! — filozofował Stefan. — Trzeba oderwać się od świata i żyć dla ideału, dla sztuki; myśl wzniosłą w sobie wytwarzać i karmić się nią, bo wszystko inne na tyle się przyda, co zdrowemu lekarstwo. Mdłości napędzi i basta!

— W ilu miejscach byłeś już na święconem, dobrodzieju?

— Nigdzie, i nie wybieram się zgoła.

— Czy Hanka dokąd wyjechała?

Na wspomnienie Hanki zamilknął Stefan i dopiero po długich wykrętach zwierzył się wujowi z tego, co słyszał o zamiarach Witolda Bogackiego. Można to uważać za rzecz skończoną, bo,

że mu Hanka nie odmówi, za to mógł Stefan dać sobie rękę odciąć.

— Czyż wujaszek nie przypomina sobie, jak za dawnych jeszcze czasów Zochna drażniła ją tem, że ma słabość do epoletów? Od zaręczyn brata służy Witoldowi przywilej bywania u Wołyńskich, kiedy mu się tylko zamarzy. A czy wiele potrzeba dla podobania się pannie? Przedewszystkiem »gładkiej pozytury«, jak w tej śpiewce Bartelsa »Comme il danse joliment, jakie pali kury« — Witoldowi nic z tego nie brakuje, a więc macie pociechę!

Zacny, kochany wujaszek, pomimo niezbitych dowodów siostrzeńca żył jeszcze w illuzyach. Wdzięczny mu był Stefan za jego dobre chęci i nie zapomni tego nigdy, chociaż pociechy nie może mieć ani krzty.

— Dajmy na to, że masz rację — próbował ksiądz Wojciech innego sposobu. — Czy nie lepiej przekonać się o tem dokumentnie? Wiesz co? Nie miałem dziś nigdzie wychodzić, ale tak zastanowiwszy się, ze starym przyjacielem należałoby podzielić się jajkiem.

— Nic z tego nie będzie, bo wszyscy zaproszeni do hrabiego Augusta.

— Hm! — zamyślił się ksiądz Wojciech. — Względem hrabiny są też pewne obligacye... Idziemy!

Najbliżsi znajomi tylko mieli być u hr. Lidzkich na święconem, a więc prócz domowych, pan Wołyński z córkami i dwaj narzeczeni, ale

młodzież tak się wesoło zachowywała, że z przed-
sionka można było domyślać się znacznie większe-
go zebrania!

— Szabelka stoi w kąciku—zauważył ksiądz
Wojciech.

— Gdzie? — wykrzyknął Stefan, rozgląda-
jąc się.

— Witek ją tam zostawił — z tajonym
uśmiechem wyjaśnił ksiądz Wojciech, wchodząc
do sali.

U samych drzwi bawiły się dzieci na podło-
dze. Z kartonowych liter układały słowa: m a m a,
t a t a, b a b a i t. d., przez które Stefan przeko-
czył, ksiądz Wojciech zaś ostrożnie obszedł do-
koła.

Zebrane przy święconem towarzystwo oto-
czyło wnet nowych gości. Hrabiny, stara i młoda,
jako gospodynie domu, podały każda ze swego ta-
lerza ćwiartkę jajka wielkanocnego.

Hrabia August zachęcał do kieliszka starki.

— Tyle, co w naparstku, księżu proboszczu,
zaręczam, że nie pójdzie do głowy.

Panienki rzuciły się wnet do szynek i indyka,
chcąc księdzu czempredzej usłużyć; przy nich dy-
żurowali nieodstępni kawalerowie.

— Przy najlepszych chęciach wszystkiego
skonsumować nie zdołam — bronił się ksiądz Woj-
ciech, zasiadając przy małym stoliczku między hra-
biną a panem Wołyńskim.

Stefan, przeczuwając, że nie opłaci się wycze-kiwać, aż się kto jego osobą zaopiekuje, w ogromny nóż się zaopatrzywszy, obchodził stół dokoła, nie mogąc się zdecydować, od czego zacząć.

Zbliżyła się do niego Hanka, przyśpiewując:

— I to pachnie, i to neći — osiełeczek głową kręci!

— Panna Hanka wojowniczo usposobiona temi czasy — odparł zachmurzony.

W mig uchwyciła jego myśl i zapłonęła z lekka.

— Wojować lubię, ale nie dosyć broń w ręku trzymać, aby mię podbić.

Złote były to słowa! Stefan miał ochotę ka-zać je wyryć na tabliczce ku wiecznej pamiętce. Ożywił się natychmiast i melancholia rozwiała się, jak mgła poranna.

Wśród ogólnych śmiechów i żartów rozległ się nagle głośny bek Gusi i przytłumiony płacz Witka.

— Już dobrze! Już dobrze! — pocieszała je Krystyna.

— Co za śliczny cukrowy baranek, tam, o, o! widzi Gusia na tym placku? — wołał Czesław, stara-jąc się zająć dziecinną wyobraźnię. Jerzy odcze-pił gwizdawkę z łańcuszka i podał ją Witkowi do zabawy. Uspokoili się dzieci i poszły bawić się w drugi kąt sali; tymczasem starsi zagarnęli po-zostawioną na ziemi grę i dobierali litery do słów, które jedni drugim dawali do odgadywania.

— Nigdy nie potrafię złożyć tego wyrazu dla pana: zz, ss, cc, ęę, i, ś — pan się pomylił — mówiła Wanda do narzeczonego.

Stefan zbliżył się także i przezornie, żeby go nikt nie podpatrzył, wyszukiwał dla Hanki: k, o, c, h, a, j!!

Do bawiących się przyłączyła się reszta towarzystwa.

— Już mam! — wykrzyknęła Hanka figlar-
nie, układając litery Stefana po swojemu: »och!
jak!«

Rażnie szła gra, wśród której ostrzyły się dowcipy, pobudzając młodzież do niepohamowanej wesołości.

Hrabina, odurzona gwarem, oddaliła się nieco z księdzem Wojciechem. Cofnął się też za nimi pan Wołyński i rozmawiali na uboczu.

Po niejakiem czasie Stefan, dopytawszy się widocznie u Hanki czegoś niezbyt przyjemnego, usiadł przy nich.

— Czy ci już zabrakło konceptu? — spytał ksiądz Wojciech.

Młodzieniec nie raczył nawet odpowiedzieć.

— Dwadzieścia kilka liter w alfabecie — mówił pan Wołyński — a niepodobna sobie zdać sprawy, jak niezliczona ilość słów i zdań najróżnorodniejszych z nich powstać może.

— W gamie jeszcze mniej tonów, a przecież co za bogactwo w muzyce — odparła hrabina.

Stefan, obejrzawszy się, że Hanka zdaleka przysłuchuje się rozmowie, stał się naraz elokwentnym.

— Ze słusznej uwagi pani hrabiny wynika, że artysta właściwie sam nic nie tworzy, ale posiada jakby szósty zmysł, którym subtelnie odczuwa pokrewieństwo tonów, myśli, lub barw; jedno z drugiego wyprowadza, kombinuje i łączy w harmonijną całość, z której nie dałaby się potem usunąć żadna cząstka. Nim którą z tych cząstek dobierze, przeczuwa ją niejako; wie, że chociażby jej nigdy nie znalazł, ona przecie istnieje i że jej korzystnie zastąpić nie zdoła niczem. Największy artysta jest tylko niewolnikiem muzy, którą sobie obrał za panią!

— Pan Stefan opiera się na własnem doświadczeniu — wtrąciła hrabina.

— Każdy zwraca wodę na swój młyn — odparł ksiądz Wojciech. — Mnie znów, z punktu widzenia kapłana, przychodzi na myśl, że jak utwory piśmienne mają za podstawę jeden alfabet, muzyczne — jedną skalę tonów; podobnie serce ludzkie uderza w jednakową u wszystkich klawiaturę uczuć. Kto swoją własną poznał, ten w sercach bratnich będzie czytał jak z nut. Prawda, że taka to struna głośna u jednego, bywa czasem ledwie dosłyszalna u drugiego, ale siła z jaką dźwięczy, nie zmienia jej tonu i najcięższe uderzenie znajdzie echo tam, gdzie jest objętość całej skali. Niestety większość wypróbowałszy kilka klawiszów, brzą-

ka na nich z upodobaniem, a gdy się przypadkiem te same odezwą gdzieindziej, woła wnet o jakimś misternem powinowactwie dusz. Zapomina się, że trzeba wyrabiać słuch, by wszystkie struny rozpoznać i do czystych tonów je naciągnąć; a wówczas jakąkolwiek nutę oddamy, przyswoją ją sobie serca bratnie i rozejdzie się po świecie, budząc niezliczone głosy, które dotąd milczały.

— Mało dziś mistrzów w tej sztuce! — zauważył pan Wołyński.

— Bo mało takich, którzyby chcieli kształcić się w tym kierunku — dopowiedziała hrabina.

W tej chwili ktoś z więcej przedsiębiorczych zaproponował wielką wyprawę łódkami do Zakretu. Ksiądz Wojciech pewny teraz, że Stefan świętuje należycie, wrócił sam do plebanii.

Następnych dni kilka spędził w nieprzerwanej ciszy, używając zupełnych wakacyi, bo potrzeba wypoczynku dała mu się wreszcie odczuć. Odbywał długie przechadzki za miastem, wśród uroczej, wiosennej zieleni; nawet do Kalwaryi raz w pielgrzymkę się wybrał. Gdy zaś przesiadywał w domu, Maryanna z własnej inicjatywy nikomu nie dawała dostępu do niego.

Pewnego razu jednakże weszła nieśmiało, oznajmując, że doktor Okołowicz chce się widzieć z księdzem proboszczem.

— Kto...? — zawołał ksiądz Wojciech, sądząc że mu się przesłyszało. Chwilę tylko zawahał się z odpowiedzią.

— Plebania dla wszystkich otwarta — powiedz mu, że ksiądz czeka!

Pierwszy raz mieli się spotkać od czasu, gdy się wykryła niska rola, jaką odegrał w rodzinie jego doktor; ostatnie słowo pozostało przy nim i ksiądz Wojciech nie wątpił, że przychodzi hardo obwieścić nowe swe prawa, do których otworła mu drogę śmierć pana Zdzisława. Spodziewał się w znajomych, twardych rysach, ujrzeć spotęgowany wyraz cynizmu i zuchwalstwo zwycięzcy bez sumienia. Tak dalece był na to przygotowany, że w złamanym, o dziesięć lat postarzałym człowieku narazie nie poznał doktora.

Krótki był wstęp do rozmowy, bo żelazna wola doktora, powziąwszy raz decyzję, szła prosto do celu.

— Spodliłem się tchórzowskim czynem, za który muszę życie dać i jeszcze go nie zmazać, a straciwszy szacunek dla siebie, nie dbam, czy ktokolwiek uszanuje pamięć moją.

Ksiądz Wojciech wlepił oczy w jeden punkt i słuchał, jak na spowiedzi.

— Śmieszmem to się może wyda w moich ustach, ale żal mi jednej kobiety, dla której jestem wszystkim... chciałbym oszczędzić jej cierpienia i nie umiem zdać sobie sprawy, czy lepiej, żeby dowiedziawszy się prawdy, piekielnym kamieniem pogardy wytępiła do szczętu uczucie swe dla mnie... czy też... zostawić jej jedyne usprawiedliwienie przeszłości... miłość, dla której wszystko inne po-

święciła. Pasowałem się ze sobą i nie mogłem przyjść do żadnej konkluzji, bo bezstronnego sądu wyrobić w sobie nie jestem w stanie. Proszę mię wysłuchać, a potem zrobić z tem, co znajomość duszy ludzkiej podyktuje.

Doktór Okołowicz zaczął opowiadać o stosunku swym z panią Ireną, jako o rzeczy zupełnie naturalnej. Wedle niego rzeczywiście zbrodnią było zaślubienie pana Zdzisława, gdy nie czuła do niego najmniejszego pociągu. Pisywali do siebie często, nie dziw więc, że się korespondencya wykryła.

— Jednego wieczora — mówił doktor — poszedłem, jak zwykle, do klubu i, nie mogąc się doczekać partnerów, ze zgranych kart układałem pasyans. Wtem zbliżył się do mnie pan Zdzisław; był blady, ale zresztą zupełnie spokojny. Odebrał mi karty z rąk i podając do wyboru rzekł:

— Pojedynek amerykański — czarna czy czerwona?

Ksiądz Wojciech zakrył twarz dłońmi — jak gdyby w niego grom uderzył.

— Z początku nie chciałem wierzyć, że to mówił na seryo — ciągnął dalej doktor Okołowicz przyciszonym głosem — starałem się to w żart obrócić; ale natarł na mnie tak stanowczo, że straciłem przytomność i dałem się opętać złej myśli, która wnet czynem się stała. Czerwona, rzekłem, wyciągając kartę z rozdwojonym różkiem — którą znałem.

— Morderco! Do mnie, do brata, śmiesz przychodzić z tem zeznaniem? Nikczemny! Podły!

Na rozwartych ustach księdza Wojciecha zamarły te słowa, nie wydostało się żadne. Podniósł się na poręczach fotela gotów rzucić się na doktora. »Do księdza przyszedł nie do mnie!« Opaмиętał się i ciężko opuszczając się na siedzenie, zwiesił głowę.

— Co dalej? — zapytał po chwili, gdy doktor milczał.

— O samobójstwie pana Zdzisława nikt nie wątpił, dla tego sądziłem, że pewnego rodzaju pociechą będzie dla księdza proboszcza wiadomość o honorowej śmierci, przez którą dotrzymał danego słowa. Gdybym o sobie to samo mógł powiedzieć, szedłbym na śmierć, jak na gody weselne. Teraz zaś muszę spełnić na sobie to, co w napadzie tchórzostwa dozwoliłem jemu dopełnić niesłusznie. Nie pozostaje mi nic innego. Zwlekałem nie z przywiązania do życia, bo mi ono zbrzydło, ale przez wzgląd na chorych w klinice. Dzisiaj wszystkie sprawy załatwione, tylko ta jedna... Oddaję ją w ręce księdza proboszcza... Jak nią pokieruje?... wolę nie wiedzieć.

Ksiądz Wojciech w jednej chwili ogarnął położenie, które dla zasad czysto-światowych doktora, zdawało się bez wyjścia. Wstał i chodząc zamysłony po pokoju, usiłował przejąć się ich ciasnotą, aby je obalić i oswobodzić skazanego przez niego na zatracenie.

— Najfałszywsze zasady zdają się mieć czasem rację bytu — rzekł — dopóki nie doprowadzą do ostatecznego wyniku, z którego dopiero można się przekonać o ich wartości. Ząb — za ząb; zbrodnia maże się powtórzną zbrodnią, bo tego prawidła honoru wymagają. Ale gdy chodzi o oczyszczenie się ze zrobionej samemu sobie plamy na honorze — niema ratunku.

Doktór Okołowicz wsparł się łokciem o stół i nie odpowiadał nic.

— Krzywda musiała być krwią opłacona; krwią winowajcy lub pokrzywdzonego — na los szczęścia! Zginał jeden zamiast drugiego; teraz sprawca jego śmierci musi sobie życie odebrać, bo był związany słowem honoru w razie, gdyby los padł na niego. Ale czy się wobec siebie samego zrehabilituje? Nigdy. Jest to nowe wymaganie honoru, któremu zadośćuczyniwszy, pomimo wszystkiego, nie będzie mógł, że tak powiem, sam sobie ręki podać. Jakże innem jest stanowisko moralne tego, który bezustannie za mistrzem swym powtarza: »nie wódź nas na pokuszenie,« albowiem wie, że nie o własnej sile stoi. Nie rzuca kamieniem na nikogo i na siebie nie rzuca, gdy upadnie; lecz na zadośćuczynienie składa życie swoje w ofierze, ku pożytkowi bliźnich i ku chwale Bożej. Czyż nie jest to logiczniej pojęty i zgodniejszy ze znajomością natury ludzkiej punkt honoru?

— Być może! — odezwał się doktor cicho, jakby sam do siebie.

— W kraju, lub też poza krajem — wszędzie ulżyć można cierpiącej ludzkości; a zatopiwszy ciężar swój w morzu poświęcenia, znajdzie się tam spokój, z szerokich widnokręgów idący.

Stanął ksiądz Wojciech przy oknie i zamyślił się nad zagmatwaną siecią czynów i zdarzeń, w którą się zawikłać jest zdolne serce ludzkie. Z jakąż ostrożnością wydostawać je trzeba z tych pętów, żeby w nich nie pękło. A cóż dopiero z sercem kobiety!...

Gdy się obrócił po długiej zadumie, nie było doktora.





ROZDZIAŁ XXIII.

Nie przebrzmiały jeszcze rozliczne roztrząsania i komentowania faktu zagadkowego i bez wieści zniknięcia z miasta doktora Okołowicza, którym się oddawał prawie cały ogół wileńskich mieszkańców, gdy wręczono księdzu Wojciechowi bilecik od pani Ireny. Miała spędzić jedną dobę przejazdem w »Słonecznej«; wzywała go usilnie, aby ją odwiedził. Musiało dojść i do niej to, o czem powszechnie mówiono. »Biedna!« — westchnął ks. Wojciech, machinalnie zwijając papier w trąbkę. Pomimo długoletniej praktyki w tych rzeczach, nie mógł się oswoić z widokiem cierpienia ludzkiego i kiedy się z niem spotkać musiał, zawsze pierwszy popęd był — uciec gdzieś daleko, żeby mu tylko w oczy nie zajrzeć. Przewycieżał się natiychmiast, ale odczuwał nieraz głębiej ból tych, którym niósł pociechę, niż oni sami.

Daleka droga na Antokol. Ksiądz Wojciech uszedł był spory kawał, gdy obejrzał się, że niebo się chmurzy i że go ulewa zaskoczyć może, wrócił więc po parasol. Nie było mu lżej z tą podporą; nogi zdawały się z ołowiu ulane. Po półgodzinnym marszu zatrzymał się przed żelazną furtką »Słonecznej.« Przystanąwszy, przez chwilę skupiał się w sobie. Gdy podniósł oczy, ukośne promienie słońca oświecały wille, a wysmukłe jej wieżyczki przecinały łuk olbrzymiej tęczy, malującej się na ciemno-granatowych obłokach. We tramudze występującego okna, podobna wśród egzotycznych roślin do wybujałego kwiatu, stała pani Irena z założonemi rękoma i śledziła ruchy chmur na niebie. »Zaciągnęło się na długo... czy się jeszcze kiedy rozjaśni dla niej?« — pomyślał ksiądz Wojciech. Wczas chronił się przed deszczem, bo już dużemi kroplami zaczynało padać.

Pani Irena przybrała na samym wstępie sarkastyczny ton zranionej dumy.

— Byłam ciekawa wiedzieć, jak się zapatrujesz na takie postąpienie — mówiła księdzu Wojciechowi, siadając z nim przy oknie.

— Właściwie na jakie? — zapytał dla zyskania czasu.

— Zmuszasz mię, abym dokładniej wyraziła upokorzenie moje, a więc mniejsza z tem! Porzucił mię doktor Okołowicz ni stąd, ni z owąd, jak ci się to podoba?

-- Miał pewnie powody ważne.

— Phi!... — syknęła. -- Może skrupuły religijne? W porę by się odezwały, rzeczywiście! — a widząc, że proboszcz nie odpowiada nic — słuchaj Wojciechu! — zawołała — tak się z kobietą nie postępuje, nawet z ostatnią. Jeżeli nie chciał się ze mną ożenić, mógł to otwarcie powiedzieć. Zginał, jak kamień w wodzie, zostawiwszy rozporządzenia, z których domyślać się można, że nie wróci nigdy. Ty jeden wiesz o wszystkim, gdyż przed wyjazdem był w plebanii, i od ciebie żądam wyjaśnienia. Utkwiła w niego wzrok przenikliwy, zdecydowana wydostać prawdę, chociażby ta ją miała do ziemi przygnieść.

Ksiądz Wojciech milczał.

— Odechciało mu się? Spowszedniałam mu? Czy tak? możesz śmiało mówić, nie zemdleję!

— Sądzę, przeciwnie, że głębszego przywiązania nie miał dla ciebie nigdy — z powagą rzekł ksiądz Wojciech.

Spasowała i dwie duże łzy wytrysły z jej oczu.

— A więc czemu?...

— Dla przywrócenia sobie czci.

— Zmysłasz! — krzyknęła. — Nie od wczoraj go znam i wiem, czego się trzymać pod tym względem.

— Sam siebie niedawno poznał — teraz inny z niego człowiek.

Nerwowo kurcz skrzywił twarz pani Ire-

ny, podniosła chustkę do ust i przygryzła ją zębami. Po chwili zaśmiała się histerycznie.

— Nawrócenie godne świętego Augustyna... jeżeli przyłożyłeś ręki do tego... powinszować ci...

Na dworze deszcz nie ustawał. Przyspieszonym krokiem biegli przechodnie, rozmijając się obojętnie, każdy zajęty sobą i mikroskopijnym światkiem spraw osobistych. Dwóch przestępców odprowadzono do poblizkiego więzienia pod strażą wyciągniętych pałaszów — nikt się na nich nie oglądał — ani też na biedną skaleczoną kobietę, którą widział ksiądz Wojciech jednocześnie prawie, więzioną bez opieki w stronę szpitala Czerwonego Krzyża. Zewsząd uderzał go obraz jakiegoś cierpienia, wezbrała litość w jego duszy. »Dzisiaj oni, jutro my«, pomyślał, »ale gdyby nad wszystkimi była spójnia miłości, podzielony ciężar stałby się o wiele znośniejszym.« Zwróciwszy się znów do pani Ireny, przemówił do niej o niezbadanej sumienia ludzkiego tajni, która się naprzód nie zawsze da obrachować. Głos niespełnionego obowiązku, uchodząc przed nami, wzywa nas raz jeszcze z od dali i chociaż już zapóźno, na skrzydłach żalu puszczamy się za nim w niedościgłą pogoń, wzbijając się nieraz w ten sposób wysoko ponad pierwotnie chybiony cel.

Słuchała go z rozszerzonymi od natężonej myśli źrenicami; wreszcie uchwyciwszy jego dłoń, chciała ją przemocą ucałować.

— Nie sądz, że ja tego nie rozumiem... tak czarną nie jestem, jak się wydaję... wszystko ci obiecuję i poprawę życia i dążenia lepsze. Zobacysz, będziesz miał pociechę ze mnie... tylko niech wróci, niech mnie nie opuszcza!... Przecież nic nam nie staje na przeszkodzie. Ty jeden wiesz, gdzie on przebywa, każ mu wrócić... ja jestem bezsilna... zlituj się nad osamotnieniem mojem!..

Drżała. Krew odpłynęła jej z policzków, zostawiając śmiertelną błądź na twarzy.

Ksiądz Wojciecha dławilo wzruszenie.

— Nie pytał o radę, poszedł w nieznanę mi strony, skąd... powrotu niema.

Oniemiała z bólu. Zasłoniwszy oczy, po długiej chwili dopiero przyduszonym głosem spytała:

— I nic nie kazał mi powiedzieć na pożegnanie?

W zaległej ciszy słychać było padanie kropeł z dachu, jakoby wbijanie ćwieków w zakrywające się wieko przeznaczenia.

— Gotów był na największe zaparcie się siebie, gdyby mógł przez to oszczędzić ci cierpienia.

Ksiądz Wojciech zapragnął przeschepić na nieśmiertelne grunta namiętne uczucia tej kobiety, bogato obdarzonej z natury i nie znającej w niczem miernoty.

— Nie usiłuj dochodzić tego, co się rozgrywało w głębi jego duszy; jeżeli kochasz prawdziwie, z miłości twojej powinna płynąć wiara w niego. Podnieś uczucia twoje do wyższego ideału!

co ziemskie niech ustąpi przed potęgą zjednoczonych dusz.

Mówił jej jeszcze o bezskuteczności walczenia z tem, co nieodwołalne. Póki los był w naszym ręku, kierowaliśmy nim wedle zadowolenia egoistycznego—i miały sposobności ku dobremu jedna za drugą. Dowodem więc zlitowania Bożego nad słabością naszą jest pozbawienie nas dobrowolnego wyboru z pozostawieniem, jedynej, ale i nie mniejszej zasługi poddania się wyższym wyrokom. Przeciągły szloch wydobył się z piersi pani Ireny, jakby ostatni wykrzyk żalu za niknącą uciechą życia. Potem opanowawszy się, z pozornym spokojem rzekła :

— I cóż mi pozostaje? zawisłam w próżni, gdzie sięgnę ręką, napotykam próżnię, i tak bez końca, bez wyjścia. Daj mi rok, drugi, trzeci, dziesiąty czekać, ale z tą myślą, że kiedyś wróci nadzieja, to odżyję jeszcze. A teraz nie mam nic, nic na świecie! Widok z tego okna odpowiada zupełnie zapatrywaniom moim wewnętrznym na przyszłość.

Uśmiechnęła się gorzko.

—Widzisz jak leje bez przestanku?—tak wsiąkać mi będzie w duszę nieprzerwanym ciągiem melancholia. A od ludzi przechodzących koło mnie, oddzieli mnie, jak ta szyba, oziębłość wypróżnionego serca.

Ks. Wojciech powstał szybko i odkręciwszy rygiel, otworzył okno na rozcież.

— Wynijdz z siebie! Oddychaj! Żyj! Miłość dana jest sercu, aby rozszerzać je w nieskończoność

i nieskończoność niem obejmować. Przykuta do egoizmu dźwiga najcięższe jarzmo niewoli. Wypuść ją na swobodę. Tam odnajdzie wszystko, do czego przywiązana była, ale w postaci nieśmiertelnej, w wywyższeniu ponad czas i zmienność losu. Kto żyje w sobie i dla siebie, ten wegetuje, jak roślina... Wniknąć w dusze bratnie; wznosić się z lepszymi, mniej doskonałe podnosić i żyć życiem wspólnego ducha w milionach dusz—ten ci jest pełny rozwój świadomego siebie istnienia!...

Jakby zbudzona z głębokiego snu, napół przytomna, odezwała się pani Irena: «Czuwaj ty nade mną... kiedyś pójdę za twoim głosem; teraz zawcześniej... nie mogę»...

Zostawił ją ksiądz Wojciech w przedświcie nowego dnia, a odchodząc przemyślał, jak ma pokierować tą duszą, która mu się sama w opiekę oddała.

*

*

*

W zapowiedzianym dniu odbyły się śluby pańien Wołyńskich. Kaplica św. Kazimierza tak piękna sama przez się, ze swą wyniosłą kopułą, marmurowymi ścianami i srebrnymi posągami królów polskich, została na tę uroczystość od mnóstwa roślin przemieniona w ogród; ołtarz zaś udekorowano rzędami białych lilii. Pomimo że wejście do kaplicy było za biletami, wielu nieproszonych przedostało się do niej z pośród tłumu ciekawych, którzy już na

parę godzin przed obrzędem poczęli zapełniać katedrę. Ks. Wojciech czekał w zakrystyi, aż mu oznajmiono, że orszak się zebrał, poczem wyszedł w złotolitej kapie, ofiarowanej niegdyś skarbcowi katedralnemu przez jednego z przodków hr. Lidzkich. Przed ołtarzem klęczały obie młode pary w jednym szeregu: za nimi mieniły się różnobarwne, wykwintne stroje dam, dalej czarny kolor grupy męskiej. Drużek nie było wcale, bo ich zabrakło w kojarzących się rodzinach, a dalsi znajomi proszeni nie byli, więc Hanka jedną funkcję tę spełnia przy siostrach. Rozrzewnienie ogarnęło panny młode dopiero za ozwaniem się hymnu »Veni Creator«, wszakże bez drżenia w głosie powtórzyły stanowczą formułę: »Ja... biorę sobie ciebie...« Krystyna z Jerzym pierwsi zostali związani stułą; po nich Wanda z Czesławem.

Ks. Wojciech wzięwszy wszystkich obecnych za świadków dopełnionego aktu, zeszedł ze stopni ołtarza ku nowożeńcom i serdecznie przemówił do nich :

— Najmilsi moi! Pamięć nie jest zdolna przechować niezliczonych wrażeń, które z biegiem lat w niej się nagromadzają. Przeszłość szarzeje w miarę jak się od niej oddalamy. Jednak niektóre szczęsne chwile, stanowiące epokę w życiu naszym, nie przestają jaśnieć wśród ogólnego mroku i oświecają wokoło siebie wszystko, co miało z nimi jakikolwiek związek. Stąd idą w niepamięć ważniejsze rzeczy, a pozostają niezatarte drobne szczegóły dla

tego jedynie, że się znalazły w promiennym obrębie. W ten sposób, dzięki dzisiejszej uroczystości, cokolwiek wam powiem może się uwiecznić, przechodząc z serc waszych w serca pokoleń, które z was wyjdą. Jedno więc tylko najważniejsze usłyszycie z ust moich: Bądźcie doskonałemi. Fałszywi pokorni powiadają, że byle mogli dostać się do nieba—gotowi poprzestać na ostatnim miejscu. Nie kwapią się też z poprawą, twierdząc, że inne są prawidła dla świętych, a inne dla zwykłych śmiertelników. Byle oczyścić się z grubego i uniknąć piekła, do świętości nie mają żadnej pretensyi. Ale, proszę was, czemże jest świętość? czem jest doskonałość?—Oto ustawicznym współdziałaniem woli naszej z łaską Bożą, objawiającą się w sumieniu naszym. Do tego wszyscy powołani jesteśmy i na tem jedynie będzie oparty sąd ostateczny. Skryte są przed nami tajniki serc bratnich, dla tego zestawic się z nimi nie możemy, ani wywyższać się, nad jawnymi grzesznikami; ale do nas należy zastanawiać się czy byliśmy, posłuszni natchnieniu Bożemu, czy dążymy tam, gdzie nas ciągnie nasze lepsze «ja» nasz ideał wewnętrzny? Jeżeli już tu na ziemi, oglądając nędzę naszą, czujemy jakąś niewymowną tęsknotę za tym nie osiągniętym ideałem, cóż będzie gdy staniemy wobec istoty doskonałości, gdy ją poznamy, jako poznani jesteśmy przez nią.

Nadmienił jeszcze ks. Wojciech krótko o charakterystyce przeciętnych chrześcijan dzisiejszych,

których zasługa przybiera zwykle tylko negatywną formę: nie kradną, nie zabijają, nie kłamią, nie złorzeczą, ale wyzuwszy się zwad bez nabycia odpowiednich cnót, pozostają okrągłemi zerami. Nie dość powstrzymywać się z od kłamstwa—trzeba dawać świadectwo prawdzie; nie dość się strzedz obmowy i zgorszenia—trzeba budować i oświecać, młodszemi i słabszemi umysłami kierować. Ponieważ człowiek odrazu nie może się stać doskonałym, lepiej zacząć pracę od wszczepiania cnót, niżli od wykorzenia najpierw wszystkich wad.

— Idźcież więc ręka w rękę przez życie doczesne do wiekuistego—rzekł na zakończenie—i niech wam Duch święty raczy oświecić umysły, aby zapamiętania wasze, od których kierunku życia zależy, były zgodne z trwającą mądrością. Amen!

Po tych słowach uklękli wszyscy—i wbrew zwyczajowi, zamiast wesołych powitań i pogawędek nastąpiła dziwnie poważna chwila ciszy i modlitwy.

Rozstał się tłum, aby dać przejście nowożeńcom; za niemi postępowali parami członkowie ich rodzin i zaproszeni goście: pan Wołyński z panią Bogacką, p. Bogacki z hr. Augustową, hr. August z matką. Do Hanki przysunęli się jednocześnie Witold i Stefan. „Mnie przynajmniej drużbów nie zabraknie“—rzekła półgłosem i oparłszy się z godnością, na ramionach obu kawalerów, wyszła z kościoła; a rozpromieniony uśmiech jej twarzy zdawał się mówić: „Zostawcie mi jeszcze swo-

bodę mej młodziutkiej wiosny! Na stateczne obowiązki będzie jeszcze czasu dosyć!“.

Nazajutrz Stefan z całym weselnym gronem odprowadzał młode pary na kolej, poczem przybył do plebanii, aby opowiedzieć ks. Wojciechowi wrażenia z pożegnalnych chwil. Wesoły to był smutek, nikt nad nikim nie rozczulał się zbyt; Krysztyna jedna ocierała oczy przy rozstaniu się z ojcem. Chwali się jej ten objaw przywiązania, ale Stefan jest przekonany, że nim dojedzie do pierwszej stacyi, już się dadzą wycierać z pod rzęs te ostatnie łezki. Niechby on był na miejscu Jerzego, toby dopiero potrafił pocieszać...

— A że tymczasem odpowiadasz za siebie, a nie za drugich, więc chciałbym wiedzieć, kiedy wybierasz się po wawrzyny do Paryża?

Siostrzeniec spuścił skromnie oczy ku ziemi.

— Wolę o tem nie myśleć, bo czyż godzi się zdobywać sobie oklaski i sławę, narażając na niechybny szwank świętą cnotę pokory?

— Rozpróżniaczony łobuzie! Sądzisz, że się dam złapać na tę wędkę? Tego się nie spodziewaj...

Tu począł ks. Wojciech obrazowo tłumaczyć młodzieńcowi czem jest prawdziwa chwała i jak dostawszy ją w udziale, odnosić się do niej mamy. Gdy do ciemnego pokoju przez szczelinę wpada promień słońca, oświeca krążące w powietrzu drobne pyłki i nadaje im blask, jak gdyby same przez się świeciły. Wiadomo czem jest pyłek — osta-

teczną marnotą! Miałżeby nosa do góry zadzierać i brać do siebie to, co się przynależy słońcu?

Stefan roześmiał się w głos.

— Dobrze, to ja teraz coś opowiem, o czym musiałbym zamilczeć przed wujem, gdyby nie ta przypowiadka. Raz w zimie na mężkiem zebraniu, do którego należałem, rozważane były szeroko wszystkie sprawy i działalność wuja w różnych sferach. Jeden z ludzi poważnych — kto, nie powiem — tak owo rozważanie zakończył. Ten, to się zna na sercach ludzkich, cóż dziwnego, że jego wpływ tak powszechny! — Drugi zaś jeszcze poważniejszy — także zamilczę kto — potwierdzając dodał: »Tak, tak, wykrzykników społeczeństwu naszemu nie brak, oby jednak coraz więcej było spójników! Niechże teraz wuj dobrodziej stara się być pyłkiem, nim na mnie kolej przyjdzie.

We dwa tygodnie potem podpisywał się Stefan w liście do wuja: »jaśnie oświecony pyłek.« A serce księdza Wojciecha rosło z radości i dumy.

* * *

Kwitły lipy, ocieniające plebanię, a silny ich zapach przedostawał się przez otwarte okna do wnętrza pokoju. Ks. Wojciech przysłuchiwał się echom śpiewanych pieśni nieszpornych u świętej Anny. Na drzewa pobernardyńskiego ogrodu padał cień

zapowiadającej się nocy, tylko górujące wysoko nad niemi strome urwiska Wilejki opromienione były jeszcze od zachodzącego słońca. Wśród ciszy wieczornej dolatywało poważne brzmienie organu, w którym nastrój przyrody znajdował odpowiedni wyraz.

— Jak harmonia przenika wszystko, co obdarzone słuchem; miłość — wszystko co odczuć zdolne, tak obecność Boża przenika wszelki stworzony rozum... — zastanawiał się ksiądz Wojciech, puszczając wodze myśli. — Można zatkać uszy, zaryglować serce, zamknąć umysł na świadomość obecności Bożej; bo mocen jest każdy odebrać sobie życie i fizycznie i moralnie, kto przekłada próchno nad piękno żyjącej przyrody. Ciało zachowuje życie ciąglem wciąganiem powietrza w płuca; duch nasz żyje ciąglem obcowaniem z Bogiem!..

Wśród biegu codziennego życia oddychał niem ksiądz Wojciech bezustannie, chociaż bezwiednie nieraz; bo myśli, w zarodku poświęcone Bogu, odrywał ku sprawom, dotyczącym chwały Jego na ziemi. Teraz nastąpiła chwila uciszenia po skwarze dnia; z dalekich wzgórz niósł powiew wieczorny woń skoszonych traw i jak ongi nad wodami unosił się Duch Boży nad stworzonym światem.

Ksiądz Wojciech świadomie głęboko oddychał...

Ucichły organy — opustoszała ulica — zbliżała się noc.

Od wschodu zapalały się gwiazdy jedna za drugą, począwszy od najjaśniejszych.

— Na ziemi, w niebie i na każdym miejscu— powtórzył ksiądz Wojciech słowa z katechizmu.— Nie ulęknie się ciemności grobowej, gdy mu śmierć oczy zamknie, kto w prostocie tych wyrazów poznał nieśmiertelną prawdę. Nigdy, nigdzie, pod żadnym warunkiem z obecności Bożej zejść nie możemy. Pamięć na nią za życia budzi uduchowioną szczęśliwość wewnętrzną, a w obec śmierci daje zwycięstwo nad paniczną trwogą, albowiem, gdziekolwiek odzyszczemy świadomość siebie, tam jest nierozdzielna z nią, błogością tchnąca, świadomość obecności Bożej. Gdzie jest zwycięstwo twe, śmierci? Gdzież jest, śmierci, oścień twój?

Noc obejmowała swym całunem usypiającą ziemię; nad nią, rysująca się coraz wyraźniej, zasiana gwiazdami, mleczna droga, wiodła myśli ludzkie w nieskończoność...

K O N I E C .

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 069627



1000173441